NR. 1—4 STYCZEŃ — KWIECIEŃ 1936 ROK XI

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW I WILEŃSKIEGO TOW. WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS"
pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Str.

POGLĄD MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NA SPRAWĘ DOCHODÓW Z WÓDKI 1
MIN. DR. WITOLD CHODŹKO. — Alkoholizm a umieralność mężczyzn. (Z 9 wykresami). 2
PROKURATOR S. N. STANISŁAW CZERWIŃSKI. — Człowiek a narkotyk 11
KS. DR. MICHAŁ SOPOĆKO, DOC. UNIW. S. B. — Alkoholizm, a moralność ... 18
ALEKSY RŻEWSKI. — Wspomnienia i refleksje 24
B. SEN. TOMASZ NOCZNICKI. — Z moich przeżyć alkoholowych 27
STANISŁAW BIERNACKI. — „Niech żyje wódka!" 33
CZESŁAW KACZMARCZYK. — Tradycja (rysunek). 35
B. SEN. ALEKSANDER IŻYCKI. — Czy monopol spirytusowy jest potrzebny? .. 36
MIKOŁAJ SKIBA. — Ofiara, odwaga, silna wola. 38
STANISŁAW BIERNACKI. — Sąd. (wiersz) 41
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Z dziejów obyczaju w Polsce 42
JULJUSZ WIRSKI. — Jej uśmiech. (Nowela) 63
MICHAŁ GODLEWSKI. — Wpływ alkoholu na porażkę Napoleona pod Waterloo 78
MICHAŁ KLIMOWICZ. — Przez pryzmat sądu 85
ZOFJA OLSZEWSKA. — Gdowa po Walosiu, czyli spuścizna po alkoholiku 93
BIESTAN. — Amnestja! 95
NELA KRZEPKOWSKA. — Świetliczanin. (Nowela) 97
JÓZEF LIPIŃSKI. — Wiersz o małym Janku 101
EUGENJUSZ KŁOSOWSKI. — Hulaj dusza! Satyra. (wiersz) 102
MIKOŁAJ SKIBA. — „W walce o człowieka" 103
MICHAŁ KLIMOWICZ. — Higjena Psychiczna 105
MARJA SOKALÓWNA. — Walka z narkomanją w Polsce 110
KRYZYS, A WYDATKI NA ZDROWOTNOŚĆ PUBLICZNĄ W POLSCE 111
EUGENJUSZ KŁOSOWSKI. — Apel abstynencki. (wiersz). 112
JAN SZYMAŃSKI. — Choroby weneryczne w Polsce 113
MARJA SOKALÓWNA. — Handel środkami odurzającymi, a Liga Narodów 114
MICHAŁ GODLEWSKI.—Psy na usługach przemytników i Straży Granicz. (5 rys.) 117
MICHAŁ KLIMOWICZ. — Prawo zwyczajowe, czy pisane? 124
K. PIWOWARCZYKOWA. — Włoskie prawo sanitarne w sprawie narkomanji ... 128
PROTOKÓŁ POSIEDZENIA POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZWALCZANIA NARKOMANJI 129
ETERYZM 136
AKADEMJA TRZEŹWOŚCI (z rys.) 138
KURS ALKOHOLOGJI W KRAKOWIE. (z rys.) 140
KURS ALKOHOLOGJI W TOW. TRZEŹWOŚĆ (z rys.) 142
UCZCZENIE P. DYR. R. HERCOD'A 147
NIEUZASADNIONY ATAK 148
Z ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWEJ (5 rys.) 149
PRZEGLĄD PRASY 145 KRONIKA 159

Cena 2 zł.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.
REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Oboźna 4 m. 28, telef. 511-07.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Kazimierz Kalinowski. — W walce o człowieka. Warszawa. Dom Książki Polskiej. Str. 197. 3nl.

Edward Cros. — Dejanira. Tragedja. Warszawa 1936. Skład główny Gebethner i Wolff. Str. 62.

Dr. Tadeusz Klimowicz. — Jak się rozwija psychika dziecka? Nakładem „Naszej Księgarni“, Związku Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa 1936. Str. 56.

Jan Starczewski. — Materjały o organizacji i działalności Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie. Tom I — rok budżetowy 1934/35. Str. 162.

Dr. K. Mitkiewicz. — Nauka o zdrowiu. Podręcznik dla kl. VII-ej szkoły powszechnej. Warszawa 1935. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska“. Str. 144.

Sprawozdanie z działalności Patronatu w Warszawie (Tow. opieki nad więźniami) za czas od 1.IV. 1934 r. do 1.IV. 1935 r. Warszawa. Str. 24.

Ks. Dr. Władysław Padacz. Walka o powszechną trzeźwość. Warszawa. Str. 43.

Internationales Bureau zur Bekämpfung des Alkoholismus. Jahres-Bericht 1935. Lausanne 1936. Str. 14.

H. Łuczyńska. — Über den Formensinn und das Gedächtnis für optische Eindrücke bei Eidechsen. Kraków 1935. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. (Str. od 323 do 342).

Jednodniówka Katolickiego Koła Abstynentów S. U. J. P. Warszawa 1936. Str. 16.

Przyjaciel Domu. — Kalendarz dla ewangelików. Warszawa 1936. Str. 196.

Referaty wygłoszone na posiedzeniu Sekcji Przeciwwenerycznej Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia w dniu 13.XI. 35. *Dr. Wiktor Borkowski:* „Stan walki z chorobami wenerycznemi zagranicą“. *Dr. Franciszek Małkiewicz:* „Stan walki z chorobami wenerycznemi w Polsce“. Warszawa 1936. Nakładem Ministerstwa Opieki Społecznej. Str. 33.

W. M. Kozłowski. — Rapports présentés aux Congrès Internationaux de Philosophie. „Bibliothèque Internationale de Philosophie“. Praga Czeska 1935. Str. 95. (Z dwoma portretami).

Ks. Karol Bliziński. — Do walki z największym wrogiem ludzkości. Str. 16.

Juljan Firstenberg. — Walka z narkomanją i handlem narkotykami na terenie sądowym. Wydanie drugie rozszerzone. Warszawa 1936. Str. 59.

T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
i INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 1—4 STYCZEŃ — KWIECIEŃ 1936 Rok XI

POGLĄD MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NA SPRAWĘ DOCHODÓW Z WÓDKI.

„DNIA 6 LISTOPADA 1930 ROKU WEZWANI ZOSTALIŚMY NA RADĘ GABINETOWĄ DO PREZYDJUM RADY MINISTRÓW.

PRZEWODNICZYŁ SAM KOMENDANT OSOBIŚCIE. WYGLĄDA DOBRZE I JEST PEŁEN ENERGJI.

PO OMÓWIENIU OGÓLNYCH WYTYCZNYCH BUDŻETOWYCH, PAN MARSZAŁEK CIĄGNĄŁ SWE PRZEMÓWIENIE W SPOSÓB NASTĘPUJĄCY:

— „DRUGA PRACA MINISTRA SKARBU JEST ZWIĄZANA Z ISTNIEJĄCEM ZMNIEJSZENIEM ZŁOŚLIWEM DOCHODÓW MONOPOLOWYCH.

SŁYSZAŁEM ZDANIE PANA KONARZEWSKIEGO, ŻE WÓDKĘ PĘDZĄ NA MASZYNKACH AMERYKAŃSKICH, CO PRZESZKADZA PANU MATUSZEWSKIEMU, A POMAGA MINISTROWI ROLNICTWA...

Z DRUGIEJ STRONY JEDNAK PRZY BOJKOCIE MONOPOLI ZMNIEJSZA SIĘ PIJAŃSTWO, CO TAKŻE NIE JEST TAK ZŁE... PAŃSTWO BYŁOBY SPOKOJNE, NAWET GDYBY TO SIĘGAŁO DALEJ.

PAN MATUSZEWSKI BYŁ BARDZIEJ PESYMISTĄ, NIŻ JA, GDYŻ JA TEGO NIEPOKOJU NIE MIAŁEM".

(Sławoj Składkowski: „Strzępy Meldunków", Warszawa, 1936, Instytut Badania Najnowszej Historji Polski. Str. 255).

ALKOHOLIZM A UMIERALNOŚĆ MĘŻCZYZN.

(Przemówienie wygłoszone na otwarciu X-go Kursu Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w dniu 2 grudnia 1935 r.).

Szanowni Państwo!

Kurs, który dziś mam zaszczyt otworzyć zarówno w imieniu Ministerjum Opieki Społecznej, jak i Państwowej Szkoły Higjeny, jest 10-ym z rzędu kursem, urządzonym przez Państwową Szkołę Higjeny na zlecenie Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej w porozumieniu z naszem tak zasłużonem dla sprawy Towarzystwem „Trzeźwość“ — jest to niejako kurs jubileuszowy, a więc szczególnie nam wszystkim drogi. Witając więc najserdeczniej naszych łaskawych Słuchaczy, którzy nie szczędzili trudu i wysiłku, w dzisiejszej chwili tak niepomiernie ciężkiego kryzysu, aby na kurs ten przybyć do stolicy, pragnąłbym zająć ich uwagę zagadnieniem tak skomplikowanem, a zarazem tak spornem, jak twierdzili dotąd nasi przeciwnicy, jak sprawa wpływu alkoholizmu na nadmierną umieralność mężczyzn.

Ale zanim przejdziemy do dalszych wywodów, nie mogę nie uprzytomnić nam wszystkim tu zgromadzonym, iż w roku, który się kończy, spotkał Polskę ciężki i okrutny cios — wiecie Państwo wszyscy, co mam na myśli — wzywam Was do powstania i zachowania minuty ciszy w hołdzie dla Twórcy naszego Odrodzonego Państwa — Marszałka Józefa Piłsudskiego, Wielkiego Syna Ojczyzny, Największego Człowieka na przestrzeni naszych tysiącletnich dziejów, którego pamięć w Narodzie nigdy nie zaginie.

*

* *

Już nieomal od pierwszych chwil powstania naukowej statystyki ruchu ludności — a było to nie tak bardzo dawno, bo zaledwie około 250 lat temu i zaczęło się w Anglji — zaobserwowano zjawisko, iż jakkolwiek rodzi się naogół więcej chłopców, niż dziewcząt, liczba mężczyzn dorosłych jest zawsze mniejsza, niż liczba kobiet; było rzeczą oczywistą, iż zjawisko to może jedynie zależyć od zwiększonej umieralności mężczyzn dorosłych, co przypisywano całemu szeregowi przyczyn.

Na najważniejszą przyczynę tej zwiększonej umieralności rzuciła jaskrawe światło jednakże dopiero wojna światowa: w czasie wojny światowej i w okresie powojennym stwierdzono jedyne w swoim rodzaju wydarzenie, polegające na tem, że poraz pierwszy w dziejach Europy „specyficzna umieralność mężczyzn“ obniżyła się wyraźnie, okres zaś ten charakteryzowało masowe ograniczenie wyrobu i sprzedaży alkoholu w większości państw wojujących i niektórych neutralnych.

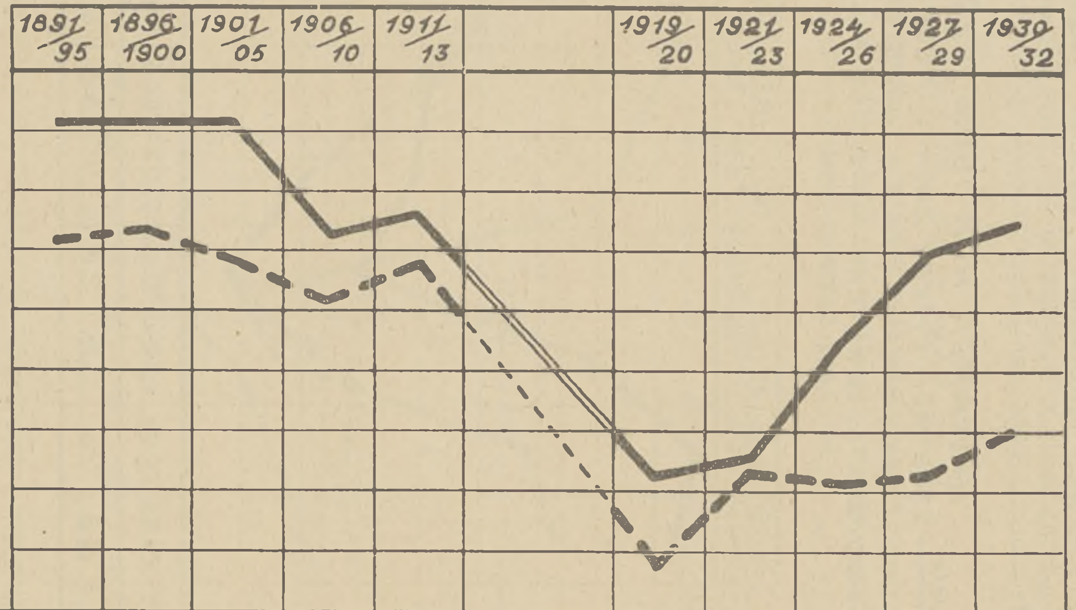
Przed trzema laty z tego miejsca miałem zaszczyt przedstawić słuchaczom naszego VII-go Kursu Alkohologji dzieło wielkiego duńczyka, *prof. Hindhede,* który w okresie wojny światowej uratował Danję od śmierci głodowej przez swoje mądre zarządzenia, ograniczające w dziedzinie spożycia wogóle i spożycia alkoholu w szczególności.

Sprawę umieralności mężczyzn w związku z ograniczeniem spoży-

BELGJA ROK 1891-1932

M/K —— STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET
WIEK: LAT 40-60

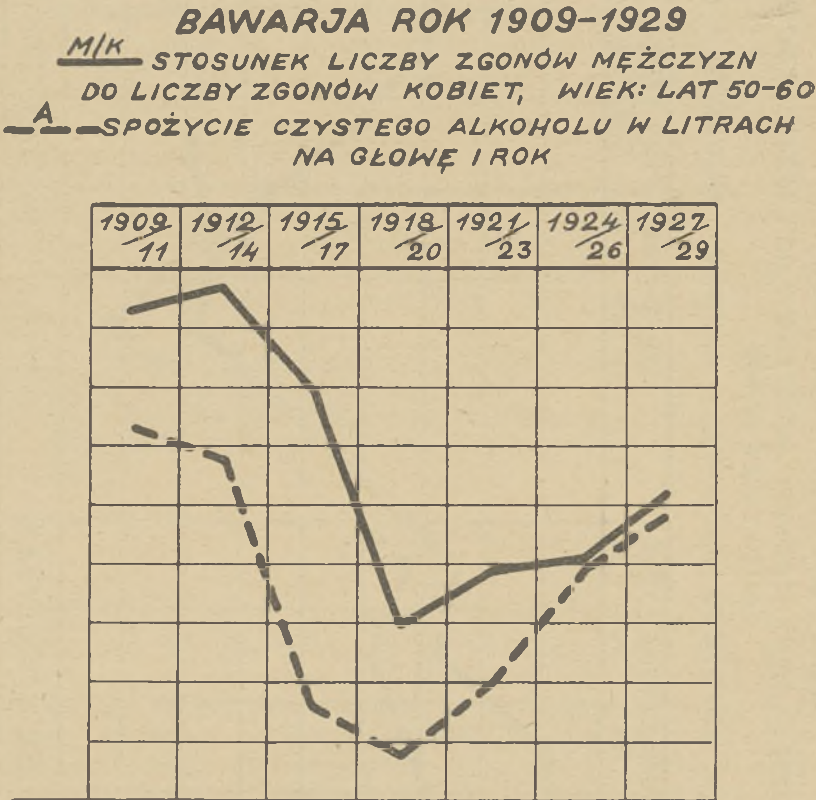
A — — SPOŻYCIE CZYSTEGO ALKOHOLU W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK



	1891-95	1896-1900	1901-05	1906-10	1911-13		1919-20	1921-23	1924-26	1927-29	1930-32
M/K	139,3	139,2	139,4	132,1	133,3		116,1	117,2	124,9	130,8	133,0
A	10,9	11,1	10,6	9,9	10,5		5,2	7,1	6,8	7,0	7,8

cia alkoholu w okresie wojny światowej omawiał niedawno w skali międzynarodowej *Dr. R. Bandel,* lekarz naczelny miasta Norymbergi podczas Londyńskiego Kongresu Przeciwalkoholowego w roku 1934.

Badania swoje *Dr. Bandel* ujął w szeregu tablic, niezmiernie jasno oświetlających interesujące nas obecnie zagadnienie — niektóre z tych tablic pozwalam sobie tu przedstawić; zaznaczyć należy, że tablice te obejmują jedynie osoby w wieku lat 40—60, gdyż dopiero w tym okresie życia ludzkiego alkoholizm, jako przyczyna zgonów, osiąga swój po-



	1909/11	1912/14	1915/17	1918/20	1921/23	1924/26	1927/29
M/K	128,2	129,6	122.4	106.6	110,4	111,4	116,0
A	8,2	7,6	3,4	2,5	3,9	5.5	6,7

ziom najwyższy. — *Dr. Bandel* w swych tablicach nie podaje liczb bezwzględnych, ale stosunek liczb zgonów mężczyzn w wieku lat 40—60 do liczb zgonów kobiet tegoż wieku, przyjętej za 100; w obliczeniach swych pomieniony autor wyklucza rok 1918, jako rok olbrzymiej pandemji grypy, która zmodyfikowała wszelkie cyfry umieralności.

Przyjrzyjmy się przedewszystkiem krajom zarówno wojującym, jak i neutralnym, które pośrednio albo bezpośrednio ograniczyły spożycie alkoholu w okresie wojny światowej i zaraz po wojnie.

Oto Belgja, gdzie spożycie alkoholu spada z 10,5 litra na głowę i rok w r. 1911 — 13, do 5,2 litra w r. 1919 — 20, a następnie podnosi się do 7,8 litra w r. 1930—32; jak widać z tablicy (patrz str. 3) krzywa umieralności specyficznej mężczyzn idzie zupełnie równolegle z krzywą spożycia alkoholu.

Zupełnie analogiczne zjawisko stwierdzono w tym samym okresie w Bawarji, w Prusach, Holandji, Szwecji etc. (str. 4, 5, 6 i 7).

Występuje tu wszędzie bardzo wyraźnie spadek umieralności męż-

PRUSY ROK 1909-1929

M/K — STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET, WIEK: LAT 50-60

A — — SPOŻYCIE CZYSTEGO ALKOHOLU W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK

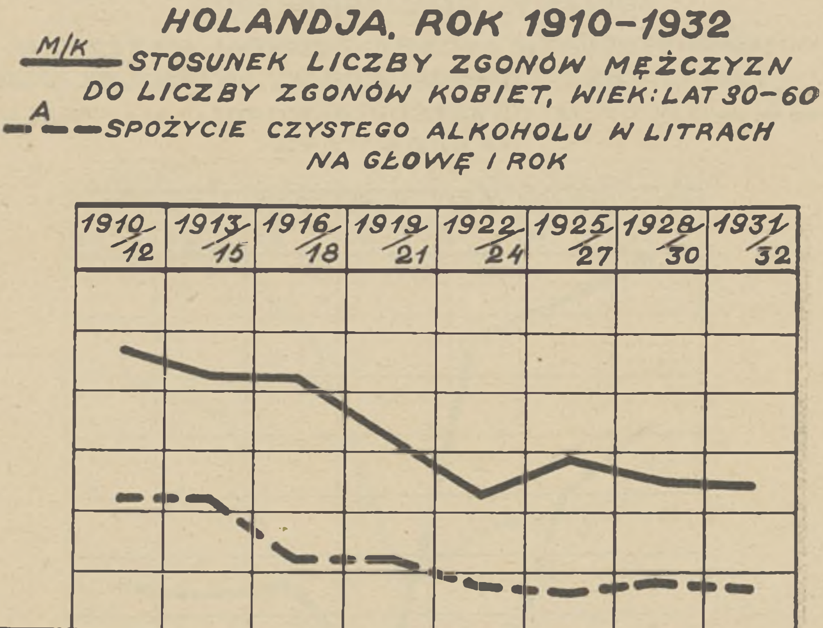


	1909/11	1912/14	1915/17	1918/20	1921/23	1924/26	1927/29
M/K	144,9	142,0	139,2	115,1	122,9	122,2	122,8
A	7,3	6,2	1,9	1,3	3,0	3,7	4,2

czyzn w wieku średnim i starszym — ponieważ w krajach tych spożycie alkoholu przez kobiety było i przed wojną umiarkowane, przeto wojenne i powojenne ograniczenia spożycia alkoholu nie wpłynęły wyraźnie na umieralność kobiet, tem wyraźniej zato wystąpił spadek umieralności mężczyzn; w niektórych krajach, jak w Holandji i Danji, wystąpiło nawet zjawisko odwrotne *mniejszej umieralności mężczyzn niż kobiet w wieku średnim i starszym — objaw dotąd nieznany w Europie.*

Wydaje się więc całkowicie uzasadnione zdanie, wypowiedziane przez słynnego statystyka duńskiego, *prof. Westergaarda*, już w roku 1901, a więc na kilkanaście lat przed wojną światową, iż „gdyby można było całkowicie uwolnić świat od alkoholizmu, długość życia mężczyzn zwiększyłaby się tak znacznie, iż dzisiejsza przewaga w tym względzie płci słabej znikłaby całkowicie“.

Jasne i usprawiedliwione jest zatem stanowisko kobiet, które we wszystkich krajach zwalczają wytrwale alkoholizm, pozbawiający mil-



	1910/12	1913/15	1916/18	1919/21	1922/24	1925/27	1928/30	1931/32
M/K	103,5	102,3	102,0	97,8	94,1	96,8	95,3	94,9
A	4,0	4,0	3,0	3,0	2,5	2,3	2,6	2,3

jony rodzin ich żywicieli właśnie w okresie życia najprodukcyjniejszym i dla utrzymania całości rodziny najważniejszym.

Przejdziemy z kolei do grupy państw, które żadnych ograniczeń spożycia alkoholu w czasie wojny światowej nie wprowadziły — są to przedewszystkiem państwa, których ludność spożywa głównie wino — Włochy i Hiszpanja.

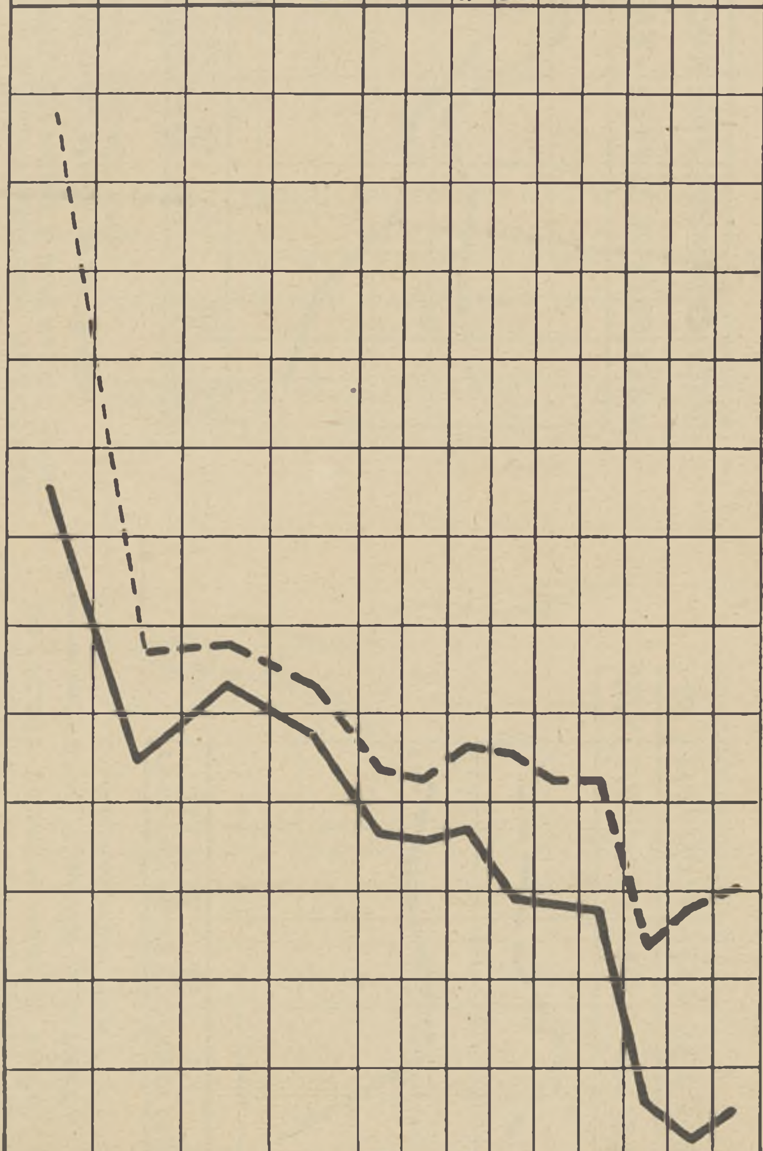
Jak widać z załączonych wykresów (str. 8), żadne zmiany w zakresie umieralności mężczyzn w krajach tych w okresie wojny nie zaszły, a natychmiast po wojnie umieralność ta znacznie wzrosła.

Osobne miejsce należy się Anglji i Walji — w krajach tych wprawdzie nastąpił spadek spożycia alkoholu w okresie wojny, jednakowoż stosunek zgonów mężczyzn do zgonów kobiet nie tylko nie obniżył się, ale przeciwnie, wzrósł — tłumaczy się to charakterystyczną dla alkoholizmu angielskiego okolicznością, a mianowicie znacznie rozwiniętym

SZWECJA ROK 1846-1930

M/K — STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET, WIEK: LAT 40-60

A - - SPOŻYCIE CZYSTEGO ALKOHOLU W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK

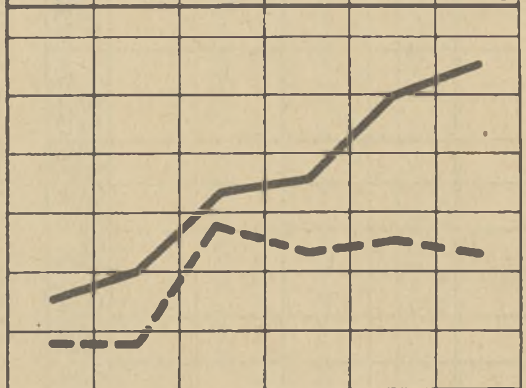


	1846-55	1856-65	1866-75	1876-85	86-90	91-95	95-1900	01-05	06-10	11-15	16-20	21-25	26-30
M/K	139,9	126,7	130,8	127,9	123,2	123,0	123,6	121,2	120,8	120,3	111,7	109,7	111,7
A	18,50	5,05	5,12	4,52	3,55	3,45	4,05	3,8	3,4	3,35	1,65	2,1	2,3

HISZPANJA. ROK 1911–1928

M/K ——— STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET, WIEK: LAT 30–60

W. — — — SPOŻYCIE WINA W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK

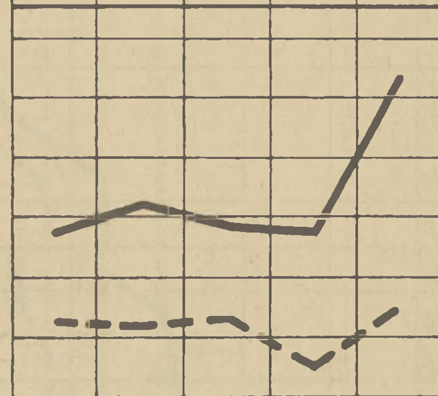


	1911/13	1914/16	1917/19	1920/22	1923/25	1926/28
M/K	116,7	119,1	124,5	125,0	130,9	132,7
W	70,7	70,7	110,6	102,9	104,3	102,8

WŁOCHY. ROK 1911–1925

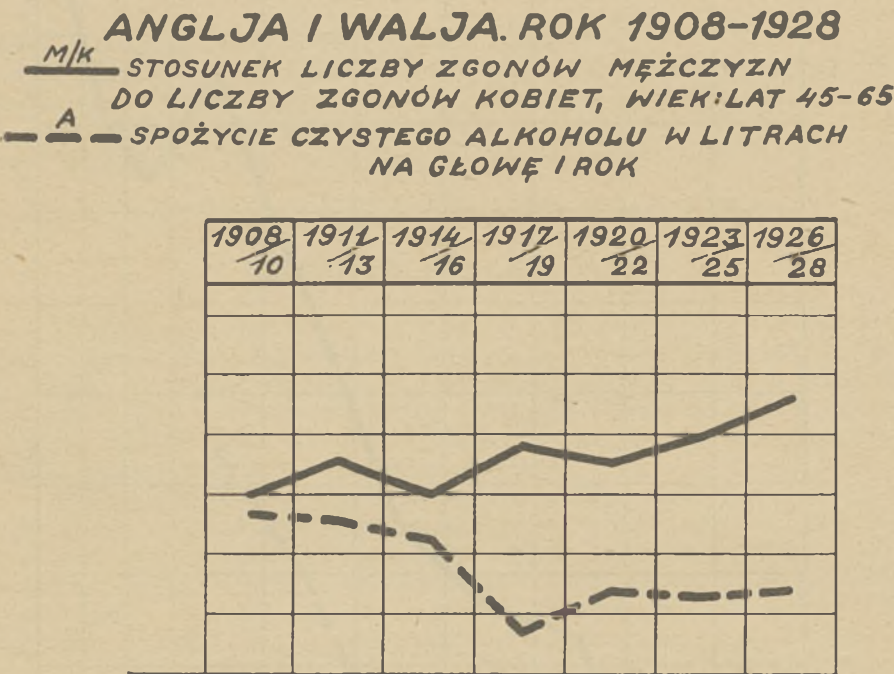
M/K ——— STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET, WIEK: LAT 50–60

W — — — SPOŻYCIE WINA W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK



	1911/13	1914/16	1917/19	1920/22	1923/25
M/K	118,4	119,8	118,8	118,5	127,8
W	116,6	107,0	113,2	95,7	112,8

w Anglji alkoholizmem kobiet: zaznaczyć należy, że w Anglji śmiertelność spowodowana alkoholizmem u kobiet w stosunku do takiejże śmiertelności u mężczyzn wynosi jak 1 : 1,5, podczas gdy w Niemczech i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej stosunek ten wynosi 1 : 7,5; tak samo mniej więcej sprawa ta stoi i w innych krajach. Ponieważ w Anglji alkoholizm odgrywa prawie identyczną rolę w umieralności *obu* płci, pomimo więc zmniejszenia się spożycia alkoholu w okresie wojny światowej i w Anglji, na stosunek zgonów obu płci wpłynąć to nie mogło i pozostał on bez mała ten sam, co i przed wojną światową z niewielką przewagą umieralności mężczyzn; ilustruje to wyraźnie poniższy wykres:



M/K	128,8	131,0	128,8	132,5	131,3	132,8	135,8
A	7,9	7,8	6,9	4,0	5,1	4,9	5,1

Na osobne omówienie zasługują również stosunki francuskie, uwidocznione na wykresie, umieszczonym na str. 10.

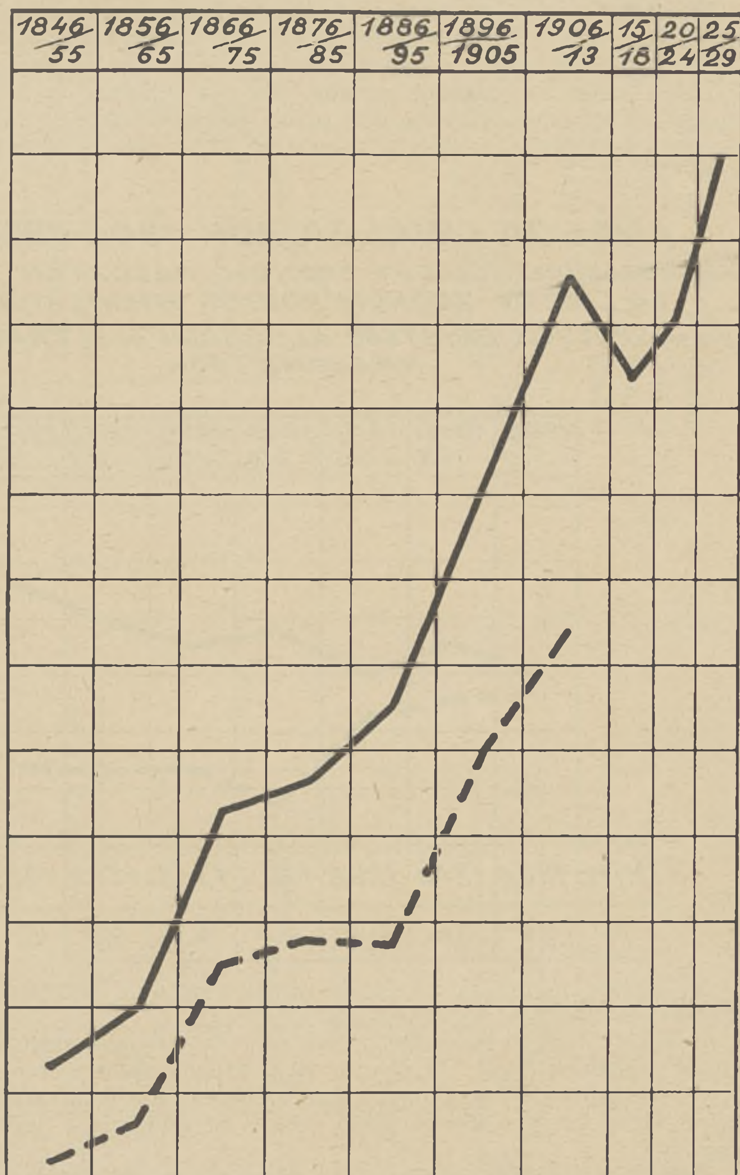
Kraj ten stanowi klasyczny przykład stale wzrastającego spożycia alkoholu i skutków tegoż. Od połowy XIX stulecia we Francji spożycie alkoholu podwoiło się i w związku z tem specyficzna umieralność mężczyzn w wieku lat 45—65 wzrosła o 40% w porównaniu z liczbami początkowemi.

Zestawienie dwuch wykresów — Szwecji z jednej strony i Francji z drugiej daje jaskrawą ilustrację różnicy obyczajów pijackich obu krajów i ich odpowiedników — umieralności mężczyzn.

FRANCJA ROK 1846–1929

M/K — STOSUNEK LICZBY ZGONÓW MĘŻCZYZN DO LICZBY ZGONÓW KOBIET, WIEK: LAT 45–65

A – – SPOŻYCIE CZYSTEGO ALKOHOLU W LITRACH NA GŁOWĘ I ROK



	1846/55	1856/65	1866/75	1876/85	1886/95	1896/1905	1906/13	15/18	20/24	25/29
M/K	106,6	108,9	118,2	119,4	123,3	132,4	143,4	137,9	141,7	148,9
A	10,0	11,3	14,8	15,2	15,0	18,7	22,9	—	—	—

Ludzkość w swoim pochodzie męczeńskim, ale nieustannym ku lepszemu i szlachetniejszemu życiu jutra, przedzierać się musi przez gąszcz nieświadomości i kłamstwa, które nieprzeniknioną, jak się wydaje, mgłą zakrywają jeszcze jej dalszą drogę.

Poznanie właściwej przyczyny zjawisk, zachodzących wśród nas, poznanie prawdy choćby w drobnym ułamku, przyczynia się skutecznie do ulżenia ciężaru dławiącej ludzkość straszliwej zmory, której alkoholizm jest jedną z najpotworniejszych macek.

Dr. Witold Chodźko.

ŹRÓDŁA.

Bandel R. — Alkoholismus und Sterblichkeit. Berlin 1935.

Chodźko W. — Statystyka, a działalność Służby Zdrowia („Zdrowie"—1928—Nr. 10).

Chodźko W. — Walka z alkoholizmem w świetle doświadczeń z okresu wojny światowej („Trzeźwość" — 1932 — Nr. 11—12).

Westergaard. — Die Lehre von der Mortalität und Morbidität. Jena 1901.

CZŁOWIEK A NARKOTYK.

Le style c'est l'homme, — powiedział niegdyś Buffon. W wieku XX będzie może trafniej powiedzieć: mózg — to człowiek. Styl stanowi tylko cząstkę człowieka. Analfabeta nie posiada żadnego stylu, a przecież jest człowiekiem i częstokroć wcale niegłupim. Wreszcie styl w czasie obecnym częściej służy dla ukrywania naszych myśli, niż dla ich ujawnienia, natomiast mózg — to dusza człowieka.

Mózg otrzymuje wrażenia ze świata zewnętrznego udzielane mu przez nerwy organami zmysłów; wrażenia te w różne sposoby utrwalają się w mózgu, stwarzając różnorodne obrazy, uczucia, urojenia i abstrakcje, jednem słowem, — cały świat wewnętrzny duszy ludzkiej. Mózg niemowlęcia — to „tabula rasa"; mały a subtelny, posiada jednak już wszystkie czynniki i pierwiastki, którymi natura go zgóry obdarzyła.

W ciągu całego życia mózg nagromadza wrażenia ze świata zewnętrznego i to nagromadzenie stanowi pamięć. Mózg ludzki w okresie swego rozwoju musi przetrwać wielką pracę, z której wychodzi zwycięzcą, jeżeli nie zostanie uszkodzony bądź wskutek odziedziczonych chorób lub usposobień patologicznych, bądź wskutek niepomyślnego wychowania, bądź wreszcie z powodu innych szkodliwych wpływów.

Niewątpliwie, że z pośród wszelkich szkodliwych wpływów, na które narażony jest nasz mózg, żaden nie jest tak niebezpieczny, jak nieszczęśliwy zwyczaj używania morfiny, kokainy lub alkoholowych piekielnych towarzyszy cywilizacji.

Działanie środków narkotycznych, nawet użytych w niewielkiej ilości, jak to stwierdza nauka medycyny [1]), polega na lekkiem podnie-

[1]) Kretschmer: „Körperbau und Charakter", r. 1926. Simon: „L'Etat d'ivresse" Wlassak: „Grundriss der Alkoholfrage". Grzywo-Dąbrowski: „Alkoholizm a przestępstwo" 1920 r. Wachholz: „Psychopatologja sądowa".

ceniu sfery ruchowej, połączonej z dyssocjacją działalności psychicznej. Ponadto narkotyk działa podstępnie, oszukując człowieka wszelkiemi bezskutecznemi iluzjami. Gdy różne inne trucizny wywołują zazwyczaj wstręt wskutek nieprzyjemnego smaku i bolesnego uczucia, wobec czego ludzie unikają ich nawet jako środka leczniczego, narkotyk dzięki swoistemu oddziaływaniu, które paraliżuje mózg, powoduje przyjemne samopoczucie, osłabia uczucie niezmiernego *zimna* i *gorąca, koi bóle fizyczne i troski duchowe.* Znajdującemu się pod wpływem narkozy świat się przedstawia w różowem świetle, wszelkie dolegliwości ciała i duszy znikają i człowiek żyje tylko chwilą obecną.

Przytoczone cechy charakterystyczne działania narkozy, skłaniały i skłaniają ludzi do częstszego, a nawet systematycznego używania narkotyków. Stwarza się wysoce szkodliwe przyzwyczajenie, sztuczny nieprzezwyciężony pociąg do używania narkotyku. Człowiek staje się jego niewolnikiem t. zw. narkomanem.

Obrazy i intensywność objawów patologicznych wskutek zatrucia narkotykami bywają bardzo różnorodne; w zależności przeważnie od indywidualnych cech danego osobnika, od rodzaju i ilości użytego narkotyku.

Używanie narkotyków, jak to zostało niezbicie stwierdzone przez wybitnych przedstawicieli nauki medycyny, wywołuje cały szereg zmian anatomo-patologicznych w organizmie ludzkim, a mianowicie: wzmożenie ciśnienia naczyniowego, miażdżycę naczyń wieńcowych, choroby wątroby, nerek i t. d. czasami porażenie ośrodka oddechowego i śmierć, lecz najwyraźniejszy wpływ mają narkotyki na duchowe życie człowieka, gdyż wywołują rozstrój funkcyj intelektu, utrudniają proces normalnej oceny wrażeń z zewnątrz, powodują utratę zdolności krytycznej oceny swoich czynów, paraliżują i niszczą dodatnie cechy ludzkiej psychiki, a co za tem idzie sprzyjają powstaniu i rozwojowi różnego rodzaju chorób umysłowych. Wbrew mniemaniu laików pozostaje niezaprzeczalnem, że nawet wstrzemięźliwe używanie środków narkotycznych nigdy nie może podwyższyć fizycznej lub duchowej twórczości, przeciwnie, zawsze ją obniża [2]).

Jeżeli takie są skutki spożycia narkotyków wogóle, to używanie alkoholu, który należy do tegoż samego rodzaju trucizn, jest o wiele niebezpieczniejsze, a to z powodów następujących: większość narkotyków, jak morfina, kokaina, heroina i t. d. stanowią wynalazki nowoczesne i porywały na początku niewielu ludzi: najczęściej lekarzy, aptekarzy i osoby, do których przez nieostrożność trucizna ta się dostała.

Używanie napojów wyskokowych, jako środka sztucznego uprzyjemnienia sobie życia, znane jest już z czasów zamierzchłej przeszłości. Dość przypomnieć sobie mitycznego Silona wychowawcę Bachusa i praszczura Noego, któremu się zdarzył, dobrze znany wszystkim, wypadek.

Walka z tak zastarzałą, można powiedzieć, odwieczną chorobą, jest oczywiście bardzo trudną. Dziś, kiedy używanie kokainy, morfiny, heroiny i t. p. jest szeroko rozpowszechnione, handel powyższemi narkotykami jest we wszystkich państwach surowo zabroniony.

W Chinach, w Pekinie, Tientsinie i Nankinie wydana została usta-

---

[2]) Legrand: „La folie devant les tribunaux". Delbrück: „Gerichtliche Psychopatologie" Kramer: „Klin. Wochenschrift" Berlin 1926, t. VI.

wa, zabraniająca sprzedaży opjum, i za przekroczenie tego zakazu grozi kara śmierci [3]). Przemytnictwo jednak kwitnie, gdyż niedawno w Paryżu w pewnej willi, przy rewizji przypadkowo wykryto 30 klg. heroiny i tyleż kokainy [4]).

Alkohol natomiast jest dostępny dla każdego i dla tego, jak to stwierdza obserwacja życia codziennego, alkoholizm robi nadzwyczajne postępy wśród wszystkich niemal warstw ludności i używanie trunków wyskokowych jest zwyczajowem i nałogowem. Nałogowe pijaństwo jest największą klęską społeczną, albowiem, według trafnego zdania b. ministra Gladstone'a, wypowiedzianego niegdyś w parlamencie angielskim, rujnuje więcej niż trzy klęski historyczne: głód, dżuma i wojna [5]). Alkohol niszczy przedewszystkiem podstawy życia rodzinnego i społecznego, wyrzuca bowiem na ulicę młode pokolenie, które od lat dziecinnych przyzwyczaja się do nędzy i, co zatem w konsekwencji idzie, do brudu, nierządu i do popełniania przestępstw.

Starożytni Grecy słusznie twierdzili, że „dziecko — ojciec dorosłego".

Wrażenia i uczucia doznane w wieku dziecinnym niepostrzeżenie wywierają wpływ na dorosłego i często podświadomie kierują jego czynami, wywołując w jego psychice dewiację podobną do tej, która zmusza strzałkę kompasu do odchylenia się od należytego kierunku.

Życie o głodzie i chłodzie, brak jakichkolwiek zdrowych wrażeń, kłutnie pijanego ojca, jęki pobitej przezeń matki, ciągłe wzajemne awantury z używaniem najohydniejszych wyrazów, wszystko to razem wzięte stwarza atmosferę zgubnie działającą na duszę dziecka!

Jeżeli wspomnienia z lat dziecięcych nie pozostawiły nic pogodnego, ciepłego i dobrego, jeżeli nie dają one możliwości wybrnięcia myślom i uczuciom z pośród nienormalnych i wstrętnych widm, to w wieku dorosłym trudno jest żądać czystych i moralnych bodźców. Bodźcem czynów już dorosłego osobnika będą tedy wyłącznie żądza i strach zwierzęcy!

Oprócz wpływu moralnego rodziców alkoholików na ich dzieci niemniej poważnym jest wpływ bezpośredni na tle odziedziczenia przez dzieci od rodziców różnorodnych chorób o charakterze psycho-fizycznym.

Badania genealogiczne w oświetleniu prawa Mendla wyrażają przedewszystkiem, że dziedziczy się nie tylko ogólne usposobienie do chorób psychicznych, ale raczej różne usposobienia, czyli skłonności do różnych psychoz [6]).

Aczkolwiek nie znamy jeszcze dostatecznie praw, które rządzą dziedzicznością, jednak praktyka życiowa, badania i obserwacje lekarskie wskazują, że w pewnych kategorjach chorób z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem, a nieraz niemal, że z pewnością należy spodziewać się przekazania chorobowych cech rodziców następnym pokoleniom. Do tej ostatniej kategorji lekarze - biolodzy odnoszą ciężki czyli chroniczny alkoholizm.

---

[3]) Nowiny Społeczno lekarskie, str. 336 Nr. 24/1935 r.

[4]) Nowiny Społeczno - lekarskie, str. 336 Nr. 24/35 r.

[5]) Alfrede Toulier: „Psychologie du peuple Français".

[6]) Dr. Bernhardt: „Studien über erbliche Belastung", 1932.

We Francji już od r. 1888 prowadzi się statystyka alkoholików, przebywających na kuracji w państwowych i prywatnych szpitalach dla umysłowo-chorych. Przez 22 lata statystyka ta ustaliła, że liczba umysłowo chorych na tle alkoholizmu bardziej wzrasta, niż liczba obłąkanych innych kategoryj, a mianowicie o *117,5%*, gdy liczba obłąkanych zwyczajnych powiększa się o 29,2% [7]).

Nie mniej interesującym jest związek pomiędzy nadużywaniem napojów wyskokowych a samobójstwem. Powody samobójstwa są zbyt różnorodne, a przeto trudno twierdzić, by alkoholizm był przyczyną samobójstwa w każdym poszczególnym wypadku, jednakże Dr. Brierre de Beismont w Paryżu opracował 4595 przypadków samobójstw i stwierdził, że 530 razy opilstwo było główną przyczyną samobójstwa, a w 250 przypadkach samobójcy byli nałogowymi alkoholikami [8]).

Sallivan w Liverpoolu stwierdził, że 84,4% mężczyzn samobójców było alkoholikami, wśród kobiet zaś 71,8%. Według statystycznych danych prof. Grzywo-Dąbrowskiego (r. 1925 — 1930) alkoholizm jako przyczyna samobójstw w Warszawie stanowi 20,9% [8]).

Dr. Jerzy Kowalczyk na podstawie opracowanych przezeń tablic statystycznych przyszedł do wniosku, że ilość samobójstw w województwie Wileńskiem stale wzrasta. Między rokiem 1922 — 1928 wzrosła o 67 przypadków.

Jako motywy samobójstw występują przeważnie urojenia niewierności małżeńskiej, obrazy i obelgi, wymówki otoczenia z powodu pijaństwa i t. p. [9]).

Na podstawie danych statystycznych Ministerjum Spraw Wewn. w Szwajcarji stwierdzono, że w Szwajcarji tak jak i gdzieindziej mapa umieralności pokrywa się mapą alkoholizmu.

Oczywiście nie może być mowy, żeby śmierć koniecznie nastąpiła bezpośrednio wskutek opilstwa. Częstokroć zdarza się, że osobnik umiera na chorobę przypadkową, jednak w rzeczywistości śmierć nastąpiła na tle osłabienia całego organizmu, spowodowanego alkoholem [10]).

Wreszcie cały szereg wypadków nieszczęśliwych, które wywołały bądź śmierć, bądź ciężkie kalectwo, ma ścisły związek ze stanem opilstwa ofiary.

Doświadczenie codzienne oraz statystyczne dane różnych państw dokładnie stwierdzają, że znaczna ilość przestępstw została popełniona bądź w stanie opilstwa przypadkowego, bądź przez alkoholików nałogowych.

W Stanach Zjednoczonych A. P. 72% skazanych wyrokami sądowemi popełniło przestępstwa na tle nadużycia napojów wyskokowych; w Anglji — 54%, w Belgji — 45% [11]).

Dr. Ostman (1928 r.), omawiając t. zw. normalną przestępczość

---

7) Jaquet: „L'alcoolisme".

8) Rhoden: „Arch. für Psychjatrie", 1926 r.

9) Prof. Grzywo-Dąbrowski: „Alkoholizm a przestępstwo", odczyt na Zjeździe Psychjatrów w Łodzi w r. 1930.

Prof. Grzywo-Dąbrowski: „Samobójstwa w Warszawie w r. 1928 i 1930".

10) Marcel: „De la folie causée par l'abus des boissons alcooliques" 1847 r.

11) Hindhede: „Raport to the Minister of the Interior".

alkoholików w Schlezwigu, na podstawie materjału zakładowego, stwierdza, że przestępstwa, popełniane przez alkoholików miały tło następujące: w 14,3% omamy, zakłócenia świadomości, 22,1% urojenia, 31,3% — opilstwo okresowe, w 39,8% alkoholizm przewlekły, w 59,8% padaczka [12]). Znany badacz przestępców, odbywających karę w więzieniach niemieckich, Krone, stwierdza, że 70% wszystkich przestępstw w Niemczech ma związek przyczynowy z używaniem napojów spirytusowych [13]).

Jest faktem znanym i uznanym, że walka o byt prowadzi się dziś nie za pomocą pięści lub z bronią w ręku, lecz za pomocą mózgu, któremu ludzkość zawdzięcza swe największe zdobycze, postępy i tryumfy. Jeżeli stwierdzono, że normalne przymioty mózgu ludzi kulturalnych pod wpływem używania środków odurzających ulegają ciężkim uszkodzeniom, to pierwszym naszym obowiązkiem jest usunięcie tych sztucznych uszkodzeń.

Powinniśmy, a przedewszystkiem lekarze, głośno stwierdzić, że alkohol jest trucizną, że alkohol w żadnym razie nie może być uważany nietylko za pożyteczny, ale nawet za obojętny środek przy używaniu go do wewnątrz.

Obserwacja życia codziennego natomiast doprowadza do wniosku, że alkoholizm robi znaczne postępy, a co należy uznać za najniebezpieczniejsze, że szerzy się wśród młodzieży szkolnej i nawet wśród dzieci.

Już w niemowlęctwie, twierdzi Dr. Kazimierz Koronkiewicz [15]), dziecko często przyzwyczaja się do ssania smoczka maczanego w wyskoku, a gdy przestaje być karmione piersią, zwyczajowo dają dziecku wino. Z referatu dr. Humberta na posiedzeniu Komitetu opieki nad dzieckiem Ligi Narodów (Vers la Santé Nr. 7, r. 1928) dowiadujemy się, że w Moskwie na liczbę 1751 badanych dzieci — 10,8% dostawało alkohol w pierwszym roku życia, a 43,4% od 2 do 5 roku. W Holandji na ogólną liczbę 4.300 badanych dzieci tylko 11,6% było zupełnych abstynentów, w Belgji 22% uczniów było abstynentami, 33% konsumowało piwo i wino okolicznościowo, 45% — bardzo często.

W innych krajach przeprowadzone ankiety potwierdzają również bardzo wysoki odsetek dzieci, używających alkoholu; między innemi w Niemczech wypada tylko 2,26% młodzieńców od 11 — 16 lat, nie używających napojów alkoholowych.

W Wiedniu młodzież konsumowała regularnie piwo od 12,3 do 32,2%, wino od 12,1 — 19,6%, wódkę od 2,4 — 4,1%.

Bardzo wielki procent spożycia alkoholu, nie zważając na kryzys gospodarczy, przypada na obywateli wiejskich. Niema święta, lub uroczystości rodzinnej bez pijatyki, zawsze połączonej z bójkami, które się kończą zazwyczaj spowodowaniem śmierci, bądź uszkodzeniami ciała.

Znakomity higjenista serbski Dr. Stompar skierował całą energję swego twórczego umysłu na zagadnienie uzdrowotnienia wsi. Jednym z najpotężniejszych sposobów takiego uzdrowienia, zdaniem Dr. Stompara, jest walka z alkoholizmem.

---

[12]) Bulletin de la Commission penitentiaire Internationale, 1900 r.

[13]) Prof. Grzywo-Dąbrowski: „Alkoholizm a przestępstwo“, r. 1930.

[14]) Baer: „Trunksucht und Verbrechen“, Berlin 1926.

[15]) „Opieka nad matką i dzieckiem“. „Lekarz Polski“, 1931.

Nastręcza się oczywiście pytanie, jakie są sposoby walki z alkoholizmem? Jako reakcję ze strony społeczeństwa często słyszymy głosy, domagające się zastosowania najradykalniejszego środka zakazania używania alkoholu zapomocą prohibicji.

Sama myśl w zasadzie jest doniosła i piękna, lecz niestety, jak to udowodniło doświadczenie życiowe, obecnie jeszcze niewykonalna.

Dane statystyczne stwierdzają, że w okresie trwania absolutnego zakazu sprzedaży napojów spirytusowych w Stanach Zjednoczonych A. P. i w Finlandji ogólna przestępczość nietylko się nie zmniejszyła, lecz wzrosła [16]).

Prohibicja stwarza nowy typ przestępstw, a mianowicie: potajemne pędzenie spirytusu i przemytnictwo, które osiągają rozmiary kolosalne [17]). Ponadto ludność zaczyna używać spirytusu denaturowanego, politury, nafty, co prowadzi do rozmaitych ciężkich chorób i śmierci.

Większość państw dążyło do zmniejszenia spożywania alkoholu, bądź przez dostarczenie do użytku publicznego najmniejszej ilości napojów spirytusowych, bądź przez zmniejszenie szkodliwości alkoholu zapomocą rektyfikacji, bądź przez powiększenie opłat akcyzowych.

Aczkolwiek jest rzeczą bezwzględnie słuszną, aby do państwa należało prawo kontroli nad produkcją i sprzedażą alkoholu, to jednak twierdzenie, że nie spirytus, a wyłącznie jego domieszki są szkodliwe dla zdrowia, jest conajmniej śmieszne.

Trudno twierdzić, żeby wszystkie państwa, powiększając opłaty akcyzowe na alkohol, miały na względzie wyłącznie walkę z alkoholizmem. Częstokroć rządy, „pecunia querenda", miały na względzie wyrachowania budżetowe, pomimo, że takie wyciskanie miljonów z ludności niszczy warsztaty pracy, a tem samem podrywa siły płatnicze narodu.

Drugi sposób walki polega na leczeniu alkoholików.

Utarło się zdanie, że leczenie alkoholików jest syzyfową pracą, bardzo kosztowną, a niedającą widoków powodzenia.

Za jedynie skuteczny środek uważano umieszczenie pacjenta na określony okres czasu w zakładzie dla alkoholików po to, aby po zwolnieniu zaczął on pić nanowo. W rzeczywistości tak nie jest. We wszystkich kulturalnych państwach urządzono dla narkomanów, alkoholików zakłady lecznicze różnych typów, a mianowicie: a) zakłady prywatne, popierane i kontrolowane przez państwo, b) zakłady samorządowe, uznane przez państwo, c) zakłady państwowe dwóch kategoryj: jedne — dla osób zdeprawowanych i trudno poddających się wpływom moralnym; drugie — dla włóczęgów, t. zw. — kolonje rolnicze. Osoby umieszczone w zakładach mogą korzystać z urlopów, lecz zawsze pod kontrolą, bądź członków komisji trzeźwości (ustawa szwedzka), bądź pod dozorem specjalnych kuratorów urzędowych, — probation officers (ustawa Stanów Zjednoczonych A. P.).

My mamy obecnie już takie dwa zakłady lecznicze dla narkomanów i alkoholików, które dają bardzo pomyślne wyniki.

---

[16]) W Finlandji w latach 1920 — 1923, gdy istniał zakaz wyszynku, ilość przestępstw wzrosła z 48.000 do 81.000.

[17]) W lipcu 1930 r. w Brooklynie władze wykryły i skonfiskowały olbrzymie składy trunków, ocenionych na 1½ mil. dolarów.

Lekarze-psychjatrzy już oddawna odrzucili wszelki sentyment względem pijaków, uważają bowiem słusznie pijaka nie za człowieka wyłącznie chorego, którego należy tylko leczyć, lecz za człowieka słabego charakteru, niezrównoważonego, wadliwie wychowanego, który wymaga gruntownego przeszkolenia moralnego i postawienia w takie warunki, ażeby można było przekształcić go na człowieka wstrzemięźliwego, uczciwego i zdolnego do pracy.

Takie psychologiczne oddziaływanie w większości wypadków daje bardzo dodatnie wyniki, szczególnie względem t. zw. „normalnych alkoholików", gdy przyzwyczajenie do alkoholu wywołane było przez szkodliwy wpływ otoczenia, a czynnik indywidualny, pobudzający do pijaństwa, nie jest zbyt gwałtowny.

Wobec powyższego większość alkoholików, jak to stwierdza Dr. Stanisław Deresz [18]), nadaje się najlepiej do leczenia ambulatoryjnego, które ponadto posiada dużo zalet, a to z tego względu, że chory nie odrywa się od zwykłych swych zajęć i wytwarza w sobie odporność na pokusy, jakie go otaczają przez całe życie.

Wreszcie koszta leczenia ambulatoryjnego są o wiele mniejsze od zakładowego, a przeto większa ilość osób może z niego korzystać.

Zbyt szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nam na szczegółowe przytoczenia ustaw różnych państw — dotyczących leczenia alkoholików.

Ustawa szwedzka, obowiązująca od r. 1919 nadaje prawo umieszczania alkoholików w zakładach leczniczych nie tylko na mocy wyroku sądowego, lecz i tak zw. „pijaków niebezpiecznych" dla rodziny, bądź otoczenia, bądź też dla siebie samego przez zagrażające targnięcie się na własne życie. Decyzje w tym przedmiocie wydaje odpowiednia władza administracyjna. Ponadto ustawa powyższa przewiduje dobrowolne wstąpienie do zakładu. W tym wypadku należy złożyć podanie i odpowiednie świadectwo lekarskie. Przyjęty chory obowiązany jest pozostawać w lecznicy nie mniej jak w przeciągu jednego roku [19]).

W niektórych Stanach A. P. na mocy ustawy z roku 1911-go w miastach, liczących powyżej 50.000 mieszkańców zostały zorganizowane specjalne rady—„board of inebriaty". Członkowie tych rad są mianowani przez burmistrza.

Rada posiada dla alkoholików nałogowych specjalne zakłady lecznicze i kolonje rolne, na których czele stoją lekarze specjaliści. W miastach mniejszych rada obowiązana jest utrzymywać określoną ilość łóżek w szpitalach ogólnych dla alkoholików nałogowych [20]). Wreszcie w 27 Stanach A. P., zaczynając od roku 1905-go, w różnych okresach czasu były wydane ustawy sterylizacyjne, które mają na względzie obronę społeczeństwa przed rozmnażaniem się dziedzicznie ciężko chorych osobników, jednocześnie uzdrowienie rasy i walkę z przestępczością. Na mocy tej ustawy osoby upośledzone umysłowo, w tej liczbie i alkoholicy, umieszczeni w zakładach zamkniętych w razie ich zupełnego, bądź warunkowego zwolnienia podlegają sterylizacji. Zabieg ten może być

---

18) „Stanowisko lekarza w sprawie zwalczania alkoholizmu", Warszawa r. 1929.

19) Revue internationale du droit pénal 3-me trimestre 1931.

20) Mis. E. P. Hayhes: „The probation system of Amerika".

wykonany na mocy uzasadnionego wniosku kierownika zakładu karnego, wychowawczo-poprawczego, lub leczniczego. Jeżeli jednak kierownik nie jest lekarzem, to niezbędny jest wniosek naczelnego lekarza zakładowego, przyczem wniosek ten powinien być zkolei przedstawiony do aprobaty naczelnemu lekarzowi „Board of Administration“ i sekretarzowi Państwowego Urzędu Zdrowia Publicznego. Pożądana jest ponadto zgoda pacjenta, bądź jego opiekuna lub osoby, która pacjenta w zakładzie umieściła.

Niemiecka ustawa sterylizacyjna, wprowadzona w życie z dniem 1 stycznia 1934 uznaje ciężki chroniczny alkoholizm, jako podstawę do przymusowego zastosowania zabiegu sterylizacyjnego na mocy wyroku t. zw. sądu zdrowia dziedzicznego (Erbgesundheitsgericht).

Znany prof. Forel przyszedł do wniosku, że „źródło alkoholizmu stanowią wstrzemięźliwi pijacy. Gdyby się udało w jakiś czarodziejski sposób wytępić wszystkich nałogowych pijaków danego państwa, twierdzi Forel, to po kilku latach przybędzie tyleż nowych. Przecież dużo pijaków umiera, ogólna zaś liczba ich się nie zmniejsza. Natomiast, gdyby się udało odrazu przekształcić wszystkich wstrzemięźliwych w absolutnych abstynentów, w przeciągu bardzo krótkiego czasu alkoholików jużby wcale nie było“.

Przytoczony krótki zarys daje nam prawo do twierdzenia, że alkoholizm stanowi najszkodliwsze zjawisko naszego współczesnego życia społecznego.

Starszych ludzi trudno przekształcić; rośnie nowe, młode pokolenie i przyszłość ojczyzny należy do niego.

Wielki problemat wychowania i edukacji zasadniczo rozstrzygają trzy czynniki: rodzice, szkoła i żywe słowo — propaganda.

Koordynacja wspólnych wysiłków w imię wzniosłych ideałów, a wyjątkowych dążeń i wartości ludzkich — jest tu konieczną. Ten bowiem kraj może poszczycić się postępem kultury w walce o byt, który posiadać będzie maximum zdrowych i wytrwałych w walce o byt obywateli. Odpowiednia organizacja walki z alkoholizmem stanowi przeto palącą potrzebę.

Stanisław Czerwiński.

ALKOHOLIZM, A MORALNOŚĆ.

(Referat wygłoszony na Kursie Alkohologji w Wilnie 25 marca 1935 r.).

„Trzeźwymi bądźcie i czuwajcie“ (I Piotr 5, 8).

W czasach ostatnich kultura materjalna znacznie wyprzedziła kulturę ducha. Ludzie współcześni, zapatrzeni są przeważnie tylko w świat zewnętrzny, oszałamiający dużym postępem techniki, i zapominają o świecie wewnętrznym tak dalece, że dla rzekomych praw przyrody poświęcają prawa moralne. Wskutek tego u wielu życie już nie ma stylu, ani wewnętrznej stałości i prawidłowości: coraz częściej widzimy skarłowacenie charakterów, wyrażające się w umiejętnem mydłkowaniu, uchodzącem niestety za dogmat życiowej mądrości; wszędzie spotykamy

takich obywateli, którzy bezczelnie kłamią, płaszczą się i pochlebiają dla zaspokojenia swoich najniższych namiętności, mając za jedyny motyw działania ambicję, żądzę zaszczytów i szukanie ordynarnego materjalnego zysku. Po ulicach miast naszych pełza dużo płazów ludzkich, zatruwających atmosferę poranku krwawo odzyskanej niepodległości wyziewem swego rozpasanego egoizmu, łapczywości i sprzedajności. I każdy człowiek uczciwy, nie mogąc nieraz mówić o tem publicznie, pocichu pyta sam siebie, gdzie jest przyczyna tego smutnego zjawiska? Niewątpliwie, na to składa się dużo przyczyn, ale jedną z największych jest alkoholizm, który burzy moralność.

Wyraz moralność pochodzi od łacińskiego wyrazu *mos* (zwyczaj, obyczaj) i jest równoznaczny z wyrazem polskim obyczajność, a oznacza postępowanie zgodne z prawem. W pojęciu tedy moralności zawierają się dwa zasadnicze momenty: pojęcie czynu ludzkiego, wykonanego świadomie i dobrowolnie, i uzgodnienie tego czynu z przepisami prawa naturalnego, lub pozytywnego. W mowie potocznej czyn moralny znaczy tyle co dobry; w rzeczywistości jednak należy rozróżniać czyny moralnie złe i moralnie dobre zależnie od zgodności, lub rozbieżności z prawem. Dobroć, lub złość czynu ludzkiego wymaga jego oceny, która może być dokonana tylko przez osobę, czyli istotę wolną i rozumną. A więc czyn tylko wtedy może być w pełni oceniony moralnie, jeżeli jest wykonany przy jasnej świadomości, ustosunkowującej go do zasady moralnej i przy całkowitem zezwoleniu wolnej woli w świetle tej świadomości. Moralność więc można określić jako zależność działania ludzkiego od wolnej woli i rozumu, uświadamiającego sobie normę moralności. Jakakolwiek byłaby norma moralna, zawsze w każdym moralnym czynie musi być wprzód poznana przez rozum i następnie zastosowana przez wolę w czynie.

Z powyższego wynika, że głównymi czynnikami moralności są rozum i wola. Oprócz tych głównych czynników, nadających moralności jednolitość i konsekwencję w czynach ludzkich, są jeszcze czynniki podrzędne, które bardzo często tę jednolitość rozrywają, a konsekwencje podkopują. Są to uczucia i namiętności, rozumiane jako poruszenia i objawy dążeń zmysłowych w człowieku. W mowie potocznej rozumiemy namiętność, jako utrwalone żądze zmysłowe, panujące nad rozumem i wolą, w nauce zaś różnica stopnia nie określa istoty rzeczy i dlatego przez namiętność rozumie się wszelkie poruszenie żądzy zmysłowej, czyli działanie w człowieku natury cielesnej. Takich namiętności naliczają jedenaście, a wszystkie one obracają się tylko około przedmiotów zmysłowych, czyli podpadających pod zmysły, zjawiają się niezależnie od świadomości i woli, są właściwe nawet i zwierzętom, mimo to wywierają wielki wpływ na moralność. Są to miłość, pragnienie, radość, obrzydzenie, bojaźń, smutek, nadzieja, gniew, obawa, odwaga i rozpacz.

Natura duchowa człowieka umysłem poznaje byty, a wolą swoją zwraca się ku tym bytom, które umysł poznał jako dobre: mogą to być przedmioty zmysłowe, duchowe lub abstrakcyjne. Ta dążność woli ku swojemu dobru (ewentualnie odwrócenie się jej od bytów nieodpowiednich) nazywa się pożądaniem umysłowem, albo chceniem. Każdej z wymienionych wyżej namiętności natury cielesnej odpowiada takież chcenie natury duchowej, a więc np. miłości zmysłowej — miłość duchowa, radości zmysłowej — radość duchowa i t. d. Ponadto w naturze ducho-

wej są jeszcze następujące chcenia: wybór, intencja, używanie, zezwolenie, użycie, proste chcenie i ogólny smutek. Chcenia tedy różnią się od namiętności źródłem swego pochodzenia, gdyż zależą tylko od rozumu i woli, liczbą i tem, że podlegają ocenie moralnej, wówczas gdy namiętności pod względem moralnym zawsze są obojętne; nadto różnią się jeszcze i tem, że chcenia obracają się nietylko około przedmiotów zmysłowych, jak namiętności, ale się skierowują i do duchowych lub abstrakcyjnych, jak np. ku cnocie cierpliwości, poświęceniu, ofiarności i t. p., którym się zwykle namiętności sprzeciwiają.

Przedmioty są bardzo złożone i może się zdażyć, że ten sam przedmiot, który pod jednym względem zaspakaja pożądanie jakiejś władzy zmysłowej, czyli namiętności, jednocześnie jest szkodliwy dla władzy duchowej, czyli chcenia. Jeżeli umysł jednocześnie spostrzega te zalety i wady, to wówczas między namiętnościami, a chceniami powstaje sprzeczność i walka. Ta walka przybiera tem silniejszy charakter, że w obecnym stanie natury ludzkiej niema harmonji między namiętnościami, a chceniami: pożądania władz zmysłowych czyli namiętności często pobudzają nas do czynów sprzecznych z rozumem, a więc do czynów moralnie złych czyli niemoralnych, jak przyjęto jest mówić w mowie potocznej. Nieraz się zdarza, że pod wpływem pożądania zmysłowego, sprzecznego z chceniem, rozum w swych funkcjach bywa zawieszony, albo przynajmniej osłabiony, a wola porwana i wówczas człowiek działa nierozumnie. A nawet przy świetle rozumu i wbrew jego praktycznej wskazówce — sumieniu — wola często daje się unieść namiętnościom, a człowiek wówczas dopuszcza się czynów, nie licujących z godnością istoty rozumnej.

Już dawno spostrzeżono walkę między namiętnościami a chceniami, a greccy filozofowie-stoicy dążyli do wyniszczenia namiętności, gdyż uważali je za nieuczciwe i występne, stawiając *apatję*, czyli stan zupełnego znieczulenia za ideał mędrca. Inni filozofowie greccy — epikurejczycy wpadli w drugą ostateczność i za ideał uważali dogadzanie namiętnościom we wszystkich ich pożądliwościach: szukali wszędzie rozkoszy zmysłowej i stąd zostali nazwani hedonistami (*hedone*—rozkosz). Te dwa przeciwne kierunki w zapatrywaniu na stosunek namiętności do chceń wzajemnie się wykluczają i w praktyce prowadzą do ruiny samej natury ludzkiej. Wszystkie namiętności są konieczne i potrzebne naturze do osiągnięcia swego celu, dlatego stoickie wykorzenienie namiętności byłoby zniszczeniem samej natury ludzkiej. Stąd też i stoicy swoich zasad nie potrafili wcielić w czyn i wreszcie musieli dojść do zasady, zawierającej się w znanem zdaniu: „Widzę lepsze rzeczy i uznaję je, ale idę za gorszemi". Epikurejskie zaś dogadzanie namiętnościom we wszystkich ich zachciankach sprzeciwia się rozumowi i prowadzi do zniszczenia, albo przynajmniej osłabienia władz duchowych człowieka, jak to widzimy z doświadczenia. Dlatego ideałem winno być zharmonizowanie namiętności z chceniami. Jak w społeczeństwie harmonja wówczas tylko panuje, jeżeli jest w niem przewodniczący, któremu ulegają członkowie, tak w naturze ludzkiej harmonja możliwa jest tylko wówczas, jeżeli władze niższe czyli namiętności ulegają władzom wyższym czyli rozumowi i woli. A więc moralność możliwa jest nie w stanie zupełnego znieczulenia, jak chcieli stoicy, ani też przy epikurejskiem dogadzaniu namiętno-

ściom, lecz tylko przy panowaniu nad niemi. Tylko akty woli, oświeconej rozumem, mogą być moralne, gdyż tylko ona posiada z siebie władzę działania lub niedziałania, jest odpowiedzialna za to lub za tamto i sprawia, że czyn ludzki można pochwalić i nagrodzić lub też zganić i ukarać. Stąd jasno wynika, że wszystko, co wpływa na przyciemnienie rozumu i osłabienie woli, tem samem zmierza do burzenia moralności, a całkowite pozbawienie rozumu i załamanie woli powoduje zupełne zniszczenie moralności.

Namiętności mogą podlegać woli w dwojaki sposób: jako przez nią chciane i jako przez nią spowodowane. Jeżeli wola jest pobudzona bardzo silnie, nadmiar chcenia przenika w sferę zmysłowości za pośrednictwem wyobraźni, a wszelkie wstrząśnięcie woli budzi odpowiedni ruch namiętności, które, rozwijając się w odpowiednim kierunku, stają się potężną dźwignią najwznioślejszych dążeń. Człowiek apatyczny nigdy nic wielkiego nie zdziała i nie wzniesie się ponad przeciętną mierność. Inaczej bywa, gdy wykonywa swą pracę z namiętnym zapałem: wówczas namiętności, jak dzielne rumaki trzymane na wodzy, szybko niosą człowieka do celu, rozkiełznane zaś i pędzące naoślep w przepaść go wtrącą. Dlatego namiętności nie są z siebie wrogie życiu moralnemu, ale poddane rozumowi i woli, otwierają jaknajszersze przestwory dążeń i zasług i nawet przy pracy czysto rozumowej podniecają i zapalają.

Jeżeli namiętność wystąpi z wielką siłą, a wola nie potrafi nią pokierować, wówczas ta namiętność pociąga za sobą wolę, oślepia rozum, który już nie jest zdolny do wydania sądu, i dlatego następuje uczynek niemoralny. Trojakim sposobem wola może być przyczyną żądzy zmysłowej: gdy ją stawia za cel, gdy spełnia dobrowolnie czyny, pobudzające żądzę zmysłową i gdy skutkiem podniecenia woli budzi się ruch naszych namiętności. W pierwszym wypadku żądza nie zmniejsza wolności, w drugim — ogranicza wolność, ale jej zupełnie nie znosi, w trzecim zaś wskutek zamącenia sądu rozumowego wola coraz bardziej nakłania się ku przedmiotowi i w odpowiedniej mierze traci swą wolność, która jednak nie znika odrazu lecz stopniowo: żądza występuje coraz silniej, a wola reaguje coraz słabiej, aż wreszcie prawie zupełnie zanika. Stąd wynika, że namiętności o tyle tylko są czynnikami moralności, o ile podlegają rozumowi i woli, w przeciwnym razie stają się źródłem rozprzężenia i niemoralności.

Wiemy już skądinąd (*Alkoholizm, a młodzież szkolna,* Ks. M. Sopoćko, Warszawa 1925) o zgubnym wpływie alkoholu na ustrój ludzki wogóle, a w szczególności na system nerwowy, który jest narzędziem rozumu i woli. Na podstawie badań naukowych stwierdzono, że zarówno u ludzi pijących nałogowo, jak i sporadycznie, alkohol nawet w małych dawkach upośledza czynności mózgowe i osłabia wrażliwość zmysłów. W doświadczeniach Ridgego już 2, 4, 8 gr. alkoholu zmniejszały bystrość wzroku, a szczególnie osłabiały działanie ośrodków nerwowych. Ośrodki nerwowe, od których zależą różne czynności ustroju, rozwijają się i kształcą w pewnym porządku: ośrodki, funkcjonujące przy zawiłej pracy umysłowej, rozwijają się i kształcą najpóźniej. Z faktu, że alkohol działa szkodliwie na te właśnie ośrodki, wyprowadzono wniosek, że wyskok działa szkodliwie na ośrodki nerwowe w odwrotnym porządku ich rozwoju. Wychodząc z założenia, że wyższe objawy kultury człowie-

ka, wyrażając się w jego moralności, poczuciu piękna, sztuki i t. d., są zawisłe od czynności mózgu jeszcze subtelniejszych, niż przy pracy umysłowej, wielu autorów, jak L e n t z, Z i e h e n, S i k o r s k i i inni, sądzi, że alkohol nawet w najmniejszych dawkach, to jest takich, w których na sferę intelektualną zupełnie nie działa, przy stałem użyciu wpływa ujemnie na szlachetność, zdolność odczuwania piękna i wogóle na sferę moralną człowieka.

Alkohol, paraliżując system nerwowy przez zatrucie protoplazmy, powoduje upośledzenie władz umysłowych: zmniejsza się uwaga, słabnie pamięć, czynności kojarzeniowe odbywają się znacznie wolniej, a przez to powoli wykoszlawia się charakter człowieka, który traci poczucie wstydu, godności własnej, staje się leniwym, samolubnym, a nieraz nawet gwałtownym i okrutnym. Wszelkie etyczne pojęcia ustępują miejsce jakiemuś zobojętnieniu na wszystko, co idealne, szlachetne — jakiemuś moralnemu znieczuleniu, jakiejś dziwnej depresji, posępności, a nawet zniechęceniu do życia. Dzieje się tak dlatego, iż główne czynniki charakteru moralnego — rozum i wola — zostały osłabione, albo nawet zniszczone, natomiast czynniki podrzędne — namiętności — wzmocnione i pozbawione hamulców. Stąd już jawnem jest, że charakter moralny człowieka pijaka, albo nawet używającego trunków wyskokowych umiarkowanie, nie może być bez zarzutu, gdyż w nim brakuje zdrowych czynników tego charakteru. Im bardziej umysł zaćmiewa się pod wpływem alkoholu, a wola duchowa ulega woli obwodowej, tem bardziej czyny ludzkie pod względem moralnym będą złe, kłócące się z prawem naturalnem i pozytywnem. że tak jest istotnie świadczą liczne przykłady z życia, że tak jest w szczególności, dowodzą niezbite cyfry statystyki.

W Anglji już w r. 1834 komisja parlamentarna doszła do wniosku, że alkohol powoduje $^4/_5$ wszystkich zbrodni. W sprawozdaniu komitetu izby wyższej z r. 1877 oceniają ilość ofiar alkoholu na 65% do 100% przestępców. Z pomiędzy dyrektorów więzień i kapelanów więziennych większość oceniało ofiary alkoholu do 90%. Angielscy najwyżsi sędziowie uważają pijaństwo za najważniejszą przyczynę przestępstw. We Francji spostrzeżono, że tam, gdzie konsumcja alkoholu jest większa, zazwyczaj jest większa ilość przestępstw. M a r a m b a, urzędnik przy więzieniu Saint Pelagie badał, za jakie zbrodnie przesiadują więźniowie i stwierdził, że za przestępstwa przeciw moralności było 308, a z nich 265 alkoholików, czyli przeszło 86%. W Niemczech Bauerowi udało się stwierdzić, że wśród 2796 więźniów żeńskich było 507, czyli 18% nałogowych pijaczek, a w innem więzieniu karanych za przestępstwa przeciw moralności było 308, a z nich 175 pijaków. To samo potwierdzają statystyki w Belgji, Szwecji i innych krajach. W Stanach Zjednoczonych Ameryki po wprowadzeniu prohibicji w r. 1920 ilość przestępstw zmniejszyła się z 5609 (w r. 1919) do 3991 (w r. 1920). Wprawdzie w następnym roku 1921 tu i ówdzie przestępstwa nieco się zwiększyły, jednakże w porównaniu z czasem przedprohibicyjnym zmniejszenie wynosi jeszcze 20—25%. (K ü p p e r s b u s c h M., *O skutkach zakazu spożywania alkoholu...*, Łódź 1924, 39).

Wpływ alkoholizmu na moralność w Polsce charakteryzuje ankieta Ministerjum Zdrowia Publicznego z r. 1920, według której ogólna liczba psychoz alkoholowych we wszystkich szpitalach Polski wynosiła w r.

1913 — 423 m. i 34 k., w r. 1915 — 78 m. 13 k., w r. 1920 — 537 m. i 51 k. Aż nadto widoczny jest spadek psychoz alkoholowych w r. 1915 po wprowadzeniu prohibicji z okazji wojny i — wzrost tychże w r. 1920 po zniesieniu prohibicji. Przytem u kobiet spadek psychoz alkoholowych jest znacznie mniejszy, niż u mężczyzn, prawdopodobnie dlatego, że kobiety od początku wojny w dużej liczbie zajęły się pracą przeważnie przemysłową, bardziej sprzyjającą alkoholizmowi (Tamże, str. 82—84).

Mógłbym przytoczyć jeszcze liczne statystyki, stwierdzające wpływ alkoholizmu na moralność, ale nie chodzi tu o suche liczby, lecz o zbadanie przyczyny i wykazanie głównego źródła niemoralności. Liczby te mówią wprawdzie o wpływie, ale ostatecznie przyczyny niemoralności nie tłumaczą. Jeżeli np. w Anglji stwierdzono, że 65% skazańców rekrutuje się z pijaków, to może się zrodzić pytanie, dlaczego 35% trzeźwych poddało się złym wpływom? Przyczyna niemoralności tkwi nie w samym tylko alkoholizmie, ale on wpływa ujemnie na działalność rozumu i woli — tych głównych czynników moralności, natomiast podnieca namiętności, rozwydrza je i przez to prowadzi do czynów niemoralnych. Walka z alkoholizmem nie stworzy jeszcze raju na ziemi, ale jest konieczną, gdyż wprzód należy usunąć zło, aby zaszczepić dobro.

Główna przyczyna niemoralności tkwi o wiele głębiej: znajduje się ona w braku harmonji między władzami duchowemi a cielesnemi, do zaprowadzenia której nie wystarczy sama tylko negatywna strona walki z alkoholizmem. Potrzeba jeszcze pozytywnej wychowawczej i samowychowawczej pracy, polegającej na rozwoju i kształceniu władz umysłowych, a w szczególności praktycznej wskazówki rozumu-sumienia, na poznaniu norm moralności, a przedewszystkiem na wdrażaniu do uzgadniania swych czynów z temi normami. A nawet pomimo największego z naszej strony wysiłku i dobrej woli będziemy musieli razem ze stoikami nieraz zawołać: „Widzę lepsze rzeczy i uznaję je, a idę za gorszemi". Do zupełnej bowiem moralności potrzeba jeszcze łaski, która dopiero przy naszej współpracy może spowodować całkowite uzgodnienie czynów ludzkich z prawem naturalnem i pozytywnem. Jakkolwiek nie miejsce tutaj rozwodzić się nad działaniem łaski i współpracy z nią, uważałem jednak za stosowne o niej wspomnieć, by rozchwiać złudzenie, jakoby sama walka z alkoholizmem mogła zapobiedz wszelkim występkom i spowodować idealną moralność. Mimo to z całą stanowczością stwierdzam, że ta walka jest koniecznym etapem do przygotowania miejsca na działanie łaski — do stworzenia odpowiedniego gruntu, na którymby się mogły rozwijać inne czynniki moralności już bardziej pozytywne.

Niech słuchają ci, którzy słyszeć pragną, a którzy zdolni są do zapamiętania, niech pamiętają, że pijący alkohol idą na śmierć moralną z taką pewnością, z jaką skazańcy idą na dożywotnie ciężkie roboty. Według statystyki, przeprowadzonej przeze mnie w Warszawie w r. 1925 (Ks. M. Sopoćko, *Alkoholizm, a młodzież szkolna)*, Warszawa 1925, 38), wśród młodzieży szkolnej 90—95% raczy się alkoholem jeszcze w 7 roku życia, a z nich 5% chłopców i 8% dziewcząt pije codziennie, 50% zaś — co tydzień. Jeżeli młodzież ma być nadzieją przyszłości, to przyszłość nasza zapowiada się bardzo smutno. Jak tu nie zadrżeć, widząc, jak szeregi młodzieży idą na śmierć moralną, jak dorośli coraz bardziej wskutek alkoholizmu wyzuwają się z zasad etycznych, jak na-

wet dzierżący ster w ręku za mało się troszczą o moralność narodu i jego przyszłość, wprowadzając nowele do Ustawy Antyalkoholowej, które są właściwie jej przekreśleniem. Wszelkie komentarze są tutaj zbyteczne! Potrzeba nam czynu nagłego, potrzeba nam trzeźwości, do której prowadzi zupełna abstynencja działaczy do walki z alkoholizmem. „Bracia, trzeźwymi bądźcie i czuwajcie".

Wilno. *Ks. Dr. Michał Sopoćko.*
Doc. U. S. B.

WSPOMNIENIA I REFLEKSJE.

Jako dawny konspirator z lat 1900—5—8, stwierdzić muszę, że największym wrogiem organizacji tajnej i jawnej, w latach niewoli, był alkoholizm.

I słusznie twierdził przywódca robotników austryjackich Wiktor Adler, że alkohol stanowi część składową całego systemu ciemiężenia ludzi. Alkohol utrzymuje masy robotnicze na tym stopniu złudzenia i niepewności, słabości władz umysłowych i woli, że znoszą one z pokorą wszelką biedę. Zjazd członków austryjackiej partji robotniczej odbytej w Wiedniu, postanowił:—„*Zjazd uważa alkohol za wielkiego krzywdziciela zdrowia, sił cielesnych i zdolności umysłowych mas robotniczych. Jest on groźnym hamulcem wszelkiej pracy, mającej na celu organizacje mas, wobec czego nie należy zaniechać żadnego środka w walce z tym niebezpiecznym przeciwnikiem*".

Oto stanowisko uczciwszej i lepszej części klasy robotniczej — nietylko w Austrji, ale na całym świecie.

Prowokacja, jaka rozszalała się po upadku ruchu rewolucyjnego—1905—7 na terenach b. Kongresówki i pociągnęła wiele ofiar, zawdzięcza swoje powodzenie przedewszystkiem pijaństwu. Pijak, który przepił zarobek tygodniowy i żył nad stan, łacno przehandlował swe sumienie i tajemnice organizacyjne, jak Judasz, „ochranie".

Najsłynniejsi prowokatorzy w Łodzi bracia Fremlowie, (jeden z nich był nawet katem więźniów politycznych), to synowie szynkarza. Od dzieciństwa przyzwyczaili się do pijaństwa i łatwego zarobku. Inni prowokatorzy, a dawni ex rewolucjoniści: Posrednicki, Płoszaj, Malinowski, Kołduński, Machtałowicz, Barczak i wielu, wielu innych przy pomocy wódki zostali zjednani przez „ochranę" carską, do prowokacji, wódka była narzędziem panowania caratu na ziemiach polskich. Tam, gdzie namowy i katowanie lub zastraszanie więźniów politycznych nie pomagały, tam panowała wierna sojusznica szpicli i żandarmów tak zwana „monopolka" dostarczana hojnie i bez ograniczenia do celi więźnia.

Pijak popełniał w więzieniu, czy na Sybirze rzeczy nikczemne, wysługiwał się naszym katom i oprawcom, zatracał godność, kupczył sumieniem, był donosicielem i wrogiem środowiska, z którego wyszedł.

Dlatego też pierwsza akcja terorystyczna organizacji bojowej P. P. S. zwróciła się przeciw sklepom monopolowym. Z polecenia organizacji, bojówka zniszczyła około 200 carskich sklepów monopolowych w latach rewolucyjnych.

W okresie największej represji rządu carskiego w Łodzi w r. 1909, kiedy skrzypiały szubienice, a sądy wojskowe wysyłały setki na zesłanie, więzienie i katorgi, Łódź robotnicza wypiła przeszło 5 i pół miljona litrów wódki, wydając na to 4 miljony rubli. Był to prawdziwy taniec pijacki na grobach poległych bojowników Niepodległości z lat 1905—8.

W fabrykach rozpowszechniły się pijackie „wygry" polegające na urządzanej loteryjce z nieodłączną libacją. Puszczano na licytację — zegarki, harmonje, cenne przedmioty i t. p. Kto wygrał, stawiał zwykle wódkę i piwo. Pito do utraty przytomności. Chodziło tylko o wynajdywanie sposobności do opilstwa.

W 1907 r. w okresie dobrej konjunktury i dość wysokich zarobków, spożycie piwa w Kongresówce wynosiło 0,9 wiadra, w Rosji 0,4.

W 1909 r. na jednego mieszkańca biednej Małopolski wypadło 4.38 litra czystego alkoholu, a miejsc sprzedaży alkoholu było aż 25 tysięcy.

W b. zaborze pruskim wypadało wtedy na głowę 4 i pół litra alkoholu.

Kraje powszechnej oświaty i wysokiej kultury okazują się krajami najtrzeźwiejszemi. Pogardliwe przysłowie francuskie: „Pijany jak Polak", może i dziś być zastosowane do naszej emigracji — tak we Francji jak i w Ameryce. Polskie „krwawe wesela" i zabawy zdobyły sobie za granicą smutną sławę, nawet pomimo szalejącego kryzysu i nędzy...

Jeden z najstarszych i najdzielniejszych pionierów abstynencji w Łodzi Dr. Skalski wykazał na zasadzie przeprowadzonej ankiety, że 79% dzieci w wieku szkolnym używa alkoholu.

Pijaństwo na terenie Łodzi, jako jeden z czynników przy fabrykowaniu masowem prowokatorów przez carat w latach 1905—7 posiada smutne i haniebne karty...

*

* *

Po latach walk i mąk powstała Wolna Ojczyzna.

Jako prezydent miasta Łodzi w latach od 1919 — 1923, zebrałem zespół współpracowników oddanych sprawie oświaty ludowej, którzy w rekordowym czasie, bo od 1919—1921 zdołali całkowicie zrealizować na terenie naszego miasta przymus szkolny i powszechne nauczanie *). Ilość dzieci w szkołach powszechnych w Łodzi z 30.000 dosięgła imponującej liczby 61.000. Powstawały bibljoteki, świetlice, czytelnie, uniwersytety robotnicze. Miasto, nie posiadające środków materjalnych, ani ustalonych podatków przy stu tysiącach bezrobotnych, porwało się na czyn, który wzbudził wielką radość wśród miast polskich na terenie b. Kongresówki. Lepsza część t. j. większość socjalistycznego magistratu w Łodzi pracowała „ponad siły" w tym ciężkim czasie.

Ale mniejszość magistratu składała się z notorycznych pijaków, którzy pogrzebali dobrą opinję, tych, co pracowali i na libacje nie uczęszczali. Przynależność do partji socjalistycznej nie przemieniła ich serc, nie wytępiła złych nałogów.

---

*) Warszawa dotychczas nie zrealizowała całkowicie przymusu szkolnego.

Awantury pijackie wiceprezydenta i niektórych ławników i pracowników odbijały się ciągłemi skandalami na mieście, w sądzie i komisarjatach policji.

Prasa opozycyjna wykorzystała ten fakt i wczambuł potępiała pijackie wyczyny, nietylko winnych, *ale i niewinnych*. To, co zarobiliśmy sobie w opinji publicznej działalnością oświatową, powszechnem nauczaniem, usilną i wytężoną pracą, zostało zmarnowane przez pijaków i nierobów. Przy następnych wyborach, pomimo sukcesów, ponieśliśmy porażkę.

I wtedy to 2 listopada 1921 r. w Nr. 248 „Naprzód" organ P. P. S. wołał: „Każdy z nas musi pracować nad podniesieniem własnej godności i człowieczeństwa. Należy okiełznać swoje namiętności i złe nałogi, hartować nieustannie wolę, podnosić ducha, a myśl kierować ku wielkim celom. Duch nasz promieniować musi na innych, musi się dokonać wewnętrzna przemiana, bo odrodzenie świata jedynie z ducha przyjść może. *Są tacy, którzy pijaństwem zabijają swego ducha i nie mają siły zerwać z nałogiem, którym kompromitują się sami i organizację. Pijaństwo przytłumia dobre moce duchowe i podyktować tylko może nienawiść i gangrenę moralną...*

Jeżeli nie możemy składać ofiary ze swoich nałogów i pijaństwa, to lepiej nie udawać. Musimy zburzyć stary ład w naszych duszach i postępkach, a wtedy możemy z dumą powiedzieć: „My nowe życie stworzymy sami i nowy zaprowadzim ład!"

Słowa szczere i podniosłe, które były reakcją na rozwielmożnione zło, które nieraz zagłuszało w duszach ludzkich obowiązek i sumienie...

Jeden nasuwa mi się z przeszłości wniosek, że ani partja, ani jej wpływy, ani wzniosłe programy stronnictw, ani wielkie zasoby materjalne zrzeszeń nic nie poradzą, jeżeli człowiek nie stanie się lepszym i szlachetniejszym. Pijak w każdej organizacji staje się przeszkodą do postępu i wielkiej naprawy.

W latach od 1919 — 1923 kilkunastu pracowników samorządowych znalazło się za kratami za różne przestępstwa i nadużycia. 90% tych ludzi, jak wykazał przewód sądowy, było nałogowymi pijakami. Pijak, to kandydat na defraudanta i złodzieja. Pijak w urzędzie samorządowym lub państwowym, to pewny kandydat na łapownika.

I słusznie kiedyś w dyskusji Dr. Skalski z Łodzi powiedział: „Pytacie się o ofiary alkoholizmu, zajrzyjcie do więzień łódzkich, szpitali i sal operacyjnych, do domów dla obłąkanych, do dzieci głodnych na przedmieściach, których ojcowie przepijają zarobek, do szpitali dla chorych wenerycznych, a znajdziecie straszliwą odpowiedź: „Pijaństwo, to nie szkodnictwo, ale zbrodnia wobec najbliższych i klęska fizyczna i moralna!"

Aleksy Rżewski,

b. prezydent m. Łodzi i starosta łódzki.

Łódź, 28.I. 1936.

Z MOICH PRZEŻYĆ ALKOHOLOWYCH.

(Wspomnienia).

Jestem już starym człowiekiem i mogę powiedzieć z poetą, że:

„Już ominąłem marzenia tęczowe
i sny o szczęściu zostały pozamną...“

Ale dobrze jest czasami ulec wspomnieniom, tym zwłaszcza, które wiążą się z najważniejszemi sprawami życia. Takie wspomnienia, wspomnienia dziecięctwa, młodzieńczości i młodości, to jest myślenie o tem, jakimi były nasze dni najwcześniejsze, w jakiem przeszły otoczeniu, oraz o tem, jaka była nasza młodzieńczość i młodość dojrzała. Ze wspomnień tych snuje się dalsza nić życia. Otoczenie dziecięctwa i młodzieńczości, przykłady i wzory, jakie się widziało w domu i w rodzinie, bardzo często kształtują charakter człowieka, inaczej, dziecięctwo i młodzieńczość budują i utrwalają charaktery na dalsze życie.—Ale czas przejść do wspomnień.

Dawno już, w latach 1867—8, pamiętam, wychowywałem się w małej wiosce t. zw. kolonji, powstałej z uwłaszczenia włościan w r. 1864. Wychowywałem się w rodzinie składającej się z ludzi starych i co dziś z uznaniem wspominam, rodzinie wówczas zupełnie trzeźwej [1]). Karol Juzwik, gospodarz na 12 morgach tej kolonji, w owym czasie, to jest kiedy miał lat sześćdziesiąt parę, zupełnie nie pił, ani wódki, ani żadnego trunku, nawet piwa, t. zw. „bawarskiego“ do ust nie wziął, nie palił, umiarkowanie zażywał tabakę, zaprawioną dzięglem, który ładnie pachniał. Za młodu (urodzony około 1800 r.), kiedy dorósł i kiedy się ożenił i pańszczyźnianym gospodarzem został, pił dworską gorzałkę nie tylko w dworskiej karczmie, ale i w domu, ponieważ pić ją musiał, gdyż takie tam było prawo zwyczajowe, że dwór naznaczał ze swojej gorzelni tyle, a tyle gorzałki chłopskiej rodzinie do wypicia, a więc i on ten przydział wypić musiał, a i zapłacić także. Ponieważ Karol Juzwik wypijał w młodości swój przydział gorzałki, oglądał tego smutne następstwa. Kilkoro dzieci umarło mu w dzieciństwie, z dwuch dorosłych i żonatych synów także nie miał pociechy. Jeden był epileptyk, a drugi pijaczyna. Winy były, że tak powiem, gospodarczo-ustrojowe, ogólne w owych czasach, przeszło 100 lat temu, a karę i to okrótną i to na całe życie poniosły dzieci ojca, co pił gorzałkę z pańskiej gorzelni w okresie życia, kiedy zostawał ojcem. Kolonja *„ukazowa“* Daszewice zbudowana po roku 1864, *nie miała karczmy.* Dodać tu należy, że żadna nowa kolonja, zbudowana po r. 1864, *karczmy nie miała. Karczmy istniały tylko we wsiach starych,* przy dworach istniały jako instytucje dochodowe panów dziedziców-ziemian, i jeszcze jako punkty rozdzielcze produkcji gorzelniczej. I oto, kiedy w każdej starej wiosce przy dworze i folwarku istniała karczma, kiedy przy drogach, gościńcach i traktach co wiorsta były karczmy, *kolonje poukazowe w byłej kongresówce karczem nie miały.* W Daszewicach na szesnastu gospodarzy nie było ani jednego nałogowego pijaka, za to wód-

[1]) „Wspomnienia z ubiegłego życia“ opisałem obszerniej w 2 i 3 zeszycie „Niepodległości“, kwartalniku, w tomie 6. Tu piszę tylko, jak tytuł.

kę dorywczo pili wszyscy. W całej wsi nie było ani jednego dorosłego mężczyzny, poza moim wychowawcą, któryby umiał czytać, on jeden posiadał tę umiejętność i to nieźle, ale pisać nie umiał. Ba, toż w czterech sąsiednich wioskach również nie było nikogo z chłopów, coby umiał czytać. Tak wyglądała pod względem oświaty wieś polska nie tak znowu daleko od Warszawy, bo pięćdziesiąt wiorst siedemdziesiąt lat temu, po uwłaszczeniu... Z tego widać, jak to „starsza brać“ dbała o rozwój umysłowy „młodszej braci“ za czasów pańszczyzny. W wiosce, o której mowa, nie było karczmy, jak to już pisałem, i nie było pijaków, a przeto życie płynęło tam pracowicie i cicho, pracowicie, bo ziemia była nowina poleśna i każdy z gospodarzy musiał nadany mu dział dwunastomorgowy przedewszystkiem wykarczować, to znaczy poobcinać i powyjmować przy wielkich pniach po ściętych drzewach wszystkie korzenie, ażeby pług mógł pracować—zorać, pozatem trzeba było niszczyć masę różnych krzaków jałowca, głogu, czerni i t. p. Praca to była ogromnie żmudna i ciężka. Przystępowały do niej całe rodziny i pracowały od rana do nocy, a jak noc była księżycowa, to pracowano i w nocy. Za to było dużo smolnych sosnowych korzeni, które służyły do oświetlania mieszkań jako „łuczywo“, a z krzaków było drzewo na opał. Pozatem ci gospodarze byli to ludzie biedni, żadnych prawie zasobów gotowizny nie posiadali. A tu trzeba było pobudować domy, stodoły, obory, studnie, pokupować wozy, konie, krowy i narzędzia rolnicze. Więc było ciężko ludziom, o żadnej pomocy z zewnątrz nie mogło być nawet mowy, chyba udało się zaciągnąć pożyczkę sąsiedzką i skorzystać z pomocy sąsiedzkiej przy pracy. Więc musieli gospodarze ciężko pracować, ażeby pracy podołać, i oszczędzać, tak, żeby podołać potrzebom. Rozumie się, że brak karczmy, to była strona dla wsi dodatnia, nie było na miejscu pokusy, którąby zabierała czas i pieniądze.

Życie w domu mojego wychowawcy było bardzo pracowite. Staruszek stawał sam do pracy, a miał już lat przeszło sześćdziesiąt, żona jego była słabowita, a ja byłem mały. Ale jak tylko mogę sięgnąć pamięcią wstecz, już od rana szedłem ze staruszkiem w pole, niosąc specjalną motykę do karczunku, co się nazywała „gracza“, starzec niósł siekierę. Długi i ciężki drąg drewniany czekał na nas na polu. Przed tą wytrwałą pracą ustępowała nowina, stawało się pole, rola uprawna, i jako nowina, karczunek, po zasianiu bardzo urodzajna. Karol Juzwik był człowiekiem zacnym, prawdziwie pobożnym, spokój i praca panowały pod tą cichą strzechą, ani łajań, ani żadnych przekleństw, ani żadnego nieprzyzwoitego słowa nie posłyszałem nigdy z jego ust. A gdy po tygodniu ciężkiej pracy przyszła niedziela, a konik w lecie taksamo był zapracowany, a starzec chciał trochę odpocząć, ja znowu musiałem napaść dobytek. Tedy rano, po umyciu się, włożeniu czystej bielizny i świątecznego ubrania i po śniadaniu, zapalał starzec przed ołtarzem gromnicę, klękał, brał książkę do nabożeństwa i odprawiał domowe modły. Śpiewał starczym głosem pobożne pieśni, godzinki czy koronki i czytał modlitwy. A w czysto zamiecionej izbie robiło się tak jakoś błogo i cicho i spokojnie na umyśle, że ja sam, dziś starzec, z rozrzewnieniem wspominam te dawno minione czasy i ten spokój cichy, pod dachem dobrego, zacnego i poczciwego człowieka, którego ze czcią wspominam. Karol Juzwik umiał czytać, ale książek żadnych, poza modlitewnikami i kalendarzem w domu nie było.

Czytać jednak zacny starzec uczył mnie kiedym miał pięć czy sześć lat. Nauczyłem się łatwo.

Ale przyszedł czas, kiedy zacny mój wychowawca umarł. Jego gospodarstwo objął jeden z jego synów, a ja, jako sierota, poszedłem służyć jako posyłka do dworskiego fornala i poszedłem do wsi przy folwarku, *gdzie była karczma*. Zacząłem już rok szesnasty życia, byłem „parobczakiem" i w całem tego słowa znaczeniu wolnym najmitą. Należało do „dobrego tonu", że tacy jak ja młodzi chłopcy (a było nas kilku) wieczorem lub w święto zachodzili do karczmy. A że obyczaje, dobre czy złe — wszystko jedno — obowiązują, przeto i ja z drugimi poszedłem do karczmy... Do lat szesnastu nigdy nie byłem w karczmie, żeby w niej pić wódkę, ani *smaku* wódki prawie nie znałem, ponieważ u Karola Juzwika w domu jej nie było. W karczmie ktoś zafundował wódki dla całej naszej kompanji, a więc i ja wypiłem pierwszy kieliszek i... uczułem w ustach śmierdzącą i palącą gorycz, a w głowie po wypiciu niedługo jakiś dziwny zamęt. Rozumie się, że to mnie nie zachęciło do picia więcej, byłem zbyt ubogi i wiedziałem o tem, przeto nie stać mnie było na kupno wódki, a gdy kto chciał częstować wódką, dziękowałem. Życie „dworskie" i jego obyczaje, ta ciągła poniewierka człowieka, te przekleństwa, złorzeczenia, sprośne i wyuzdane rozmowy mierziły mnie poprostu. A przy tem ta praca pod kijem karbowego, ten jazgot nieustanny pana na próżniactwo ludzi, co w pocie i znoju pracowali, było dla mnie uczuciem przykrem. A przytem widziałem, jak fornal jaki, zbesztany za byle głupstwo, szedł do karczmy na pociechę. Zbrzydło mi to wszystko i jak tylko mogłem najprędzej rzuciłem ten dworski chleb i pobliską dworską karczmę i już więcej po tę pracę i po ten chleb nie wyciągnąłem ręki.

I tak się stało, że od dnia 1 lutego 1879 r. zacząłem służbę na poczcie. Rozumie się, że nie będę pisał o tem, czem była poczta 56 lat temu, poczta pasażerska, która przewoziła pasażerów już to w ogromnych w pięć koni zaprzężonych karetach „stankilerkach", już to t. zw. „ekstrapocztami", i jaki to był typ pocztowca, co te „karety" i „ekstrapoczty" woził, oraz różne furgony, „sztafety" i t. p. Zresztą wyręczył mnie w tem poeta, który zmarł w r. 1862, Władysław Syrokomla, czyli Ludwik Kondratowicz w swoim „Pocztyljonie", gdy pisał:

„Tu piją i gwarzą, ty tylko w tej wrzawie
wyglądasz jak jeniec w niewoli;
Weź czarkę, przy czarce odważniej ci będzie,
opowiedz, co ciebie tak boli".

A bolało go, tego młodego pocztowca, to, że prawie w jego oczach zginęła zawiana zamiecią śnieżną umiłowana przezeń dziewczyna, a on, chociaż słyszał jej wołania o pomoc — nie dał jej pomocy. To też jest smutny, ponury i „ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta" tej jego zgryzoty — „nudy" rozerwać nie mogą. A taki był wesół dawniej, ponieważ:

„Wesoło wieść pocztę, zatrąbię na moście,
tu kogoś się spędzi, tam spotka,
tu wiozę panicza, tam młode jejmoście, —
a wtedy pewniutka dwuzłotka".

Tak sobie żył wesoło, i „od ranka do zmroku, od zmroku do ranka woził pakiety i pany. Zarobił złotówkę, a wtedy *hulanka:* wesoły, syt i *pijany*". A kiedy koledzy namową wymuszają od niego opowieść tragiczną, to ów pocztyljon, broniąc się przed grozą wspomnień, które jednocześnie ciągną go czarem przeżytego szczęścia, woła z rozpaczą: „daj czarkę, przy czarce odważniej mi będzie: opowiem, co mi się zdarzyło". Takie było za czasów Władysława Syrokomli życie pocztyljonów, co na ziemi zaboru rosyjskiego „wozili pakiety i pany" i którzy nie znali „wygody-swobody, nie mieli ni święta ni nocy". *Czarkę* lubili, wypić zwłaszcza w kompanji lubili, ale pijaków nałogowych pomiędzy pocztyljonami nie było i być nie mogło. Bo i jakże, przecież taki pocztyljon prowadził karetę ciężką „stankilerkę", w której mieściło się 14 do 16 osób, zaprzężoną w pięć koni. Więc musiał być przytomny, a przeto trzeźwy, pijany wjechałby do rowu, połamał karetę i pozabijał pasażerów. Pocztyljon woził „ekstry" nieraz ciemną nocą, niezawsze szosą, często bocznemi drogami i nawet po bezdrożach naszych „polskich dróg". Więc pijanym jechać nie mógł. Za to wypić czarkę wódki czy kufel piwa, to już lubił, zwłaszcza, że miał za co, przecież pasażerowie dawali tak zwany z niemiecka „trynk-geld", czyli pieniądz na wypitkę.

Do takiego zespołu ludzi wszedłem mając lat szesnaście, a więc młodym chłopcem, kiedy to i złe i dobre lgnie do człowieka i kształtuje jego charakter. Po dwu latach niejako praktyki - terminu, zostałem etatowym pocztyljonem. W 18 roku życia byłem najmłodszym pocztyljonem na trakcie Warszawa—Radom, z Warszawą i Radomiem włącznie. Na 60 pocztowych na tym trakcie ja byłem najmłodszy. I jakoś miałem takie szczęście, że stare i już nieraz pod siwizną „wygi" polubiły młodego chłopca, co umiał być dobrym kolegą i starszego kolegę uszanować potrafił i pomóc jako młody starszemu i steranemu zawsze był gotów. Koleżeństwo wymagało, aby czarkę wypić, gdy kolega częstuje i swoją postawić; to należało do „dobrego tonu". Otóż ja starałem się jaknajmniej pić tych cudzych czarek, za to sam częstowałem kolegów, a że byłem kawalerem, przeto zapraszałem kolegów do rodzinnego koleżeńskiego domu i tam częstowałem przedewszystkiem obfitym i smacznym posiłkiem i dosłownie— czarką wódki przed jedzeniem, kuflem dobrego piwa i herbatą. Nikt się nigdy na takiem przyjęciu nie upił, za to każdy był syty, najadł się i to nieźle, do syta i koledzy i ich żony byli z tego zadowoleni. Chociaż takie przyjęcia urządzałem tylko dwa razy na rok, to wystarczyło zupełnie dla życia koleżeńskiego w dobrej przyjaźni. Tak przepracowałem na poczcie pięć lat, ożeniłem się z młodą i biedną, lecz poczciwą dziewczyną, ślub nasz odbył się 7.II. 1882 r. Na poczcie pracowałem ciężko, życie było twarde, ale urozmaicone i było za co pracować, pracodawca był dobrym człowiekiem.

Ale przyszła ciężka godzina życia, trzeba było pożegnać żonę i maleńką córeczkę i iść w daleki świat do służby wojskowej. W grudniu 1883 r. znalazłem się w Rostowie, Jarosławskiej gubernji, gdzie stacjonowała 35-ta brygada polowej artylerji. Miasto Rostów t. zw. Wielki, położony nad pięknem jeziorem o 200 wiorst od Moskwy na północ, przed Jarosławiem 50 wiorst, był miastem powiatowem, liczącem 30.000 ludności. Otóż, pewnego grudniowego ranka, kiedy trzydziestostopniowy mróz parzył nam twarze, uszy i ręce, zostaliśmy tu przywiezieni i zaraz

porozdzielani pomiędzy sześć bateryj. Ja i jeszcze piętnastu innych rekrutów z Polski zostaliśmy przydzieleni do drugiej baterji. Na drugi dzień zaczęła się moja służba wojskowa, zaczęła się od nauki wszystkiego tego, co od wieków i tysiącleci pakuje się w mózgi młodych cywilów i co tych cywilów ma przeistoczyć w ludzi „wyższego typu", w obrońców carów, cesarzy, królów, różnych przemożnych książąt i rozumie się różnych przeróżnych wiar, bogów i ojczyzn. Tam, gdzie ludzi uczą, muszą być i nauczyciele, oraz różni przełożeni. Ponieważ moje sieroce życie już od piętnastu lat zeszło na ciężkiej służebnej pracy, od pierwszych dni mojej nauki wojskowej zacząłem się bacznie przyglądać swoim przełożonym i nauczycielom, czyli t. zw. „dziadźkom", a zwłaszcza ich i całej komendy rekrutów starszemu, który się nazywał Czernyszow. A obserwując tych ludzi, zrozumiałem, że to są ludzie marni, za wyjątkiem jednego Pawłowa, który był jakimś sekciarzem, nie palił, nie pił wódki i w stosunku do rekrutów był ludzki i uczciwy. Reszta to były typy przeważnie złe i jakieś zdziczałe. Zrozumiałem, że taki „starszy" jest pijakiem i okrutnikiem, przytem jest obłudny i że naciąga jak tylko może rekrutów, naciąga na to, aby jemu starszemu fundować wódkę w mieście. W tym celu, jeżeli zauważył, że któryś rekrut miał pieniądze przywiezione z sobą, lub też dostał list z pieniędzmi z domu, to zazwyczaj w niedzielę wołał takiego gościa do siebie i mówił: ty taki a taki dziś po południu pójdziesz ze mną do miasta. Znaczyło to, że biorę cię ze sobą, żebyś mi fundował. Do mnie nikt listów pieniężnych nie przysyłał, kilkanaście rubli, com je wziął z domu, oszczędzałem jak tylko mogłem, wiedząc, że w kraju zostawiłem żonę i dziecko w biedzie i w niedostatku i że liczyć na przesyłki nie mogę. Jednak „starszy" podejrzewał mnie, że mam pieniądze, jeno, jako „chytry polak", kryję się z nimi. To też pewnej niedzieli ów starszy w szarży podoficera wezwał mnie do siebie i tak mi powiedział: „Miły człowieku — zwykle tak mówił do tych, których chciał naciągnąć— dziś po obiedzie pójdziesz ze mną do miasta, przygotuj się". Znaczyło to: weź ze sobą pieniądze. Wiedziałem dobrze, jaką władzą jest ten człek, wiedziałem, że może on rekruta zamęczyć, poprostu zamordować i włos mu z głowy za to nie spadnie. Ciężkie i okrutne są prawa wojskowe, ale ludzie, co je wykonywują, często gorsi są od praw. Służyłem już około trzech miesięcy, tom poznał już i prawa i ludzi, to też zrozumiałem, że moje mizerne ruble dziś pękną. Ale trudno, po obiedzie ubrałem się i stanąwszy na baczność, zameldowałem „panu starszemu", żem gotów. Obejrzał mnie uważnie i powiedział „charaszo miłyj". W tej chwili włożył na siebie płaszcz i poszliśmy prosto do karczmy, czyli do „traktjeru". Zasiadł sobie mój starszy za stołem i przedewszystkiem zażądał wódki, t. zw. „dwudziestkę". Przyniesiono wódki, jako zakąskę chleb razowy, sól i kwaszony pokrajany ogórek, oraz dwie zwyczajne filiżanki do herbaty. Zaczęła się uczta. Nalał ów starszy do obu filiżanek pełno wódki, wstał, przeżegnał się trzy razy i odrazu duszkiem wypił swoją wódkę. Przyznaję jeszcze dziś, chociaż to więcej niż pięćdziesiąt lat temu było, że takie picie wódki widziałem pierwszy raz w życiu, bo chociaż moi koledzy pocztowcy nie wylewali za kołnierz, to przecież nie pili wódki szklankami, z łakomstwem pijackiem. A ten człowiek wprost *smakował w wódce*. Pił śmierdzącą gorycz jak jakiś specjał, pił z rozkoszą i zaledwie wypił jedną filiżankę, w tej chwili napełnił ją drugi raz i zaraz zaczął pić. Po-

tem wziął kęs chleba, położył na to plasterek ogórka, posolił, zjadł to wszystko i nalał sobie trzecią filiżankę. Filiżanka moja stała nietknięta, zwrócił na to uwagę i powiedział: „czemu nie pijesz? Pić ze mną, ze starszym, to dla ciebie „*czest*“ zaszczyt, pij, dobry człowieku“. Poprosiłem go, żeby wypił i moją, bo ja tak dużo nie wypiję. „Ha, i cóż mam z tobą począć, widac żeś słaby, wypiję i za ciebie“ — i wypił. Ale po czwartej filiżance w cieple karczmy wódka zaczęła robić swoje. Mój starszy był już pijany, położył ręce pod głowę i zachrapał. Poczekałem z dziesięć minut i zacząłem go budzić, co na nic się nie zdało, przeto zapłaciłem należność i zostawiwszy śpiącego starszego, powróciłem do koszar i zameldowałem swojemu „dziadźce“, że starszy śpi w traktjerni, ten zameldował o tem feldfeblowi, a feldfebel posłał po niego do miasta trzech żołnierzy, czyli tak zwany patrol, któremu ja powiedziałem, w jakiej karczmie śpi starszy i tam go ów patrol znalazł i na „sankach“ przywiózł do koszar. Gdy się wyspał, został za to lekko ukarany. Sądziłem, że będzie miał do mnie urazę. Nic podobnego, pochwalił mnie jeszcze: „Wot, miłyj czełowiek, charaszo ugostił“, — ot, miły człowieku, dobrześ uczęstował. Przez pięć lat mojej wojskowej służby w Rosji centralnej, przekonałem się, jak straszne spustoszenia pod każdym względem uczynił tam alkohol-wódka, nazwana przez rosjan „wino“. W każdą niedzielę, w każde święto, zwłaszcza w święta doroczne, wszędzie pito na umór. W mieście, w domach prywatnych, w szynkach, w karczmach — pełno pijanych. Tak, Rosja przeszło pięćdziesiąt lat temu była straszliwie rozpita. Trzeźwy człowiek, niepijący, był tam niezmiernie rzadki.

Po przesłużeniu pięciu lat powróciłem do domu, jako właśnie taki wychowawca żołnierzy, jak ten, któremu musiałem fundować wódkę. Rozumie się, że na tem stanowisku nie tylko sam nie naciągałem nikogo na poczęstunki, ale i przestrzegałem pilnie, aby inni tego nie robili. Miałem opinję żołnierza trzeźwego, to też władze naznaczyły mnie na odpowiedzialniejsze stanowisko, gdzie było potrzeba trzeźwego przełożonego. Na trzeźwości źle nie wyszedłem. Po przesłużeniu pięciu lat powróciłem do domu. Pierwsze po powrocie dwa lata przesłużyłem w wojsku w służbie pozaobowiązkowej, ucząc znowu tu, w Polsce, rekrutów. Otóż zauważyłem, że nawet w koszarach, zda się, odosobnionych od społeczeństwa polskiego, jednak pijaństwo było mniejsze. Otoczenie cywilne bez porównania trzeźwiejsze niż w Rosji robiło swoje.

W dalszem mojem życiu przechodziłem różne koleje. Było źle, dobrze, doszedłem do własnego kawałka chleba, przez dwadzieścia pięć lat byłem kupcem miejskim i nigdy żadnych napojów alkoholowych, ani też trunków nie sprzedawałem. Doszedłem do skromnego księgozbioru, stałem się działaczem społecznym, potem politycznym. Czytałem dużo od lat czterdziestu, napisałem setki artykułów i kilka broszur. Od lat wielu jestem działaczem przeciwalkoholowym, od kilku dziesiątków lat nie biorę do ust alkoholu. I dobrze mi stem. Przed laty trzydziestu zostałem osadzony przez władze rosyjskie za „politykę“ w więzieniu, wyszedłem z więzienia z ciężką chorobą serca. To, że przez całe życie byłem trzeźwy, że organizm mój nie został zniszczony przez alkohol, daje mi możność zwalczania ciężkiej choroby i dożycia 73-ch lat, a więc sędziwości, przytem władze umysłowe jeszcze pracują, o czem wiedzą czytelnicy „Trzeźwości“.

Tomasz Nocznicki.

„NIECH ŻYJE WÓDKA!"

W końcu roku ub. „Kurjer Poranny" wydrukował dwa artykuły b. dyrektora Państw. Monopolu spirytusowego inż. J. Kuroczyckiego, który w obu swoich pracach, pod wspólnym tyt.: „Czy Monopol Spirytusowy jest potrzebny?" usiłował przekonać czytelników tego organu, że jest on (raczej Monopol niż p. Kuroczycki) nietylko potrzebny i niezbędny, ale że jest niemal błogosławieństwem narodu, bo „rozszerzenie monopolu spirytusowego powinno być nietylko usprawiedliwione, lecz uważane za konieczną potrzebę, gdyż z jednej strony zapewni państwu dochód, z drugiej zaś strony — skuteczną broń do zwalczania klęski alkoholizmu".

Do tego wniosku dochodzi były dyrektor P. M. Sp. na podstawie długich wywodów i danych statystycznych z krótkiego wycinka dziejów spirytusowego monopolu w Polsce, t. j. lat 1927—29, kiedy to — wedle statystyki urzędowej — dochody z pijanego budżetu wzrosły, ale konsumcja zmalała. Zmalała, jak pisze sam pan były dyrektor — z 1.66 litra na głowę ludności do 1.57 na tę samą nieszczęsną głowę.

Autor przyznaje jednak, że owa „potężna broń w walce z alkoholizmem", to jest Monopol wódczany poprzednio i potem nie cieszył się takim rozkwitem. Do roku 1926-go przechodził różne koleje; w połowie tegoż roku doznał „załamania się" z powodu „nieodpowiedniego doboru kierownictwa". Podobnie — przyznaje autor — po roku 1929-ym nastąpiło powtórne załamanie się „monopolowe", a w r. 1933 sytuacja stała się poważna.

Naszem zdaniem sytuacja była i jest „poważna" zarówno wówczas, gdy pijaństwo wynosiło „tylko" 1.57 litra na głowę, jak i teraz. Czy się monopol i jego „idea" załamywała, czy nie, myśmy widzieli dość powodu do załamywania rąk. Nas przerażają fakty, pana exdyrektora cieszą cyfry.

Czyje powody były słuszniejsze?

Zacznijmy od cyfr, które taką radością i dumą napawają p. Kuroczyckiego. Są to wnioski z raportów, nadsyłanych przez monopolowe sklepy spirytusowe i świadczą tylko o tem, że w takim to, a takim krótkim okresie czasu był nieco mniejszy, (choć i tak olbrzymi) pokup na monopolowe trunki. W swoim czasie, a tak niedawno, p. minister skarbu był mile zdziwiony, ba! zdumiony wybitnym wzrostem spożycia soli kamiennej, czyli tak zw. „bydlęcej". Radość jednak trwała krótko, bo okazało się, że sól bydlęcą coraz bardziej spożywają w Polsce ludzie, uciekając od droższej — stołowej. Radość p. Kuroczyckiego zdaje się płynąć z analogicznego źródła, a brak jej tylko statystycznego potwierdzenia, bo żadna statystyka nie wskaże, ile w tym okresie i później, to znaczy teraz, wypijają ludzie samogonki, i... denaturatu, który jest tem wobec spirytusu czystego, czem sól bydlęca wobec stołowej.

Gdyby jednak (w co trudno uwierzyć) ten mizerny i chwilowy spadek spożycia był prawdą, to przecież zostaje olbrzymia porcja wypitego spirytusu rządowego jednego litra i 570 centym.^{3} na głowę średnio, a więc i na kobiety, starców, nędzarzy, kaleki i na dzieci, których mamy w Polsce ok. kilka miljonów

Cyfry, będące wątłem źródłem tak wielkiej dumy p. Kuroczyckie-

go, przytaczane są zresztą skąpo. Możemy je uzupełnić ostatniemi danemi, które doprowadziły do tego, że „wódeczkę“ sprzedaje się już w butelkach stugramowych, że można już nabyć za 50 groszy, otrzymując za to trzy, czy cztery kieliszki.

Czy to opakowanie i cena też są „skuteczną bronią do zwalczania klęski alkoholizmu“?

Artykuły exdyrektora monopolowego, zawierają zresztą i wiele innych danych, obliczonych na naiwność czytelnika. W kilku miejscach p. Kuroczycki mówi z lekceważeniem o argumentach przeciwników monopolu, nazywając ich w czambuł „stronnymi i zainteresowanymi“ we wzmożonej konsumcji spirytualji w Polsce. Ale autor zapomina, że najbardziej z a i n t e r e s o w a n y jest w tej konsumcji ten sam monopol i wszyscy jego byli i teraźniejsi dyrektorzy! I to nie tak zainteresowani, jak naprz. zwolennicy idei trzeźwości w przeciwnym kierunku, ale zainteresowani d o s ł o w n i e.

Ale rozważmy jeszcze wartość głównych sprzymierzeńców zwolennika idei „monopolowo - spirytusowej“—to jest cyfr. P. Kuroczycki jest uradowany, że mniej więcej w okresie jego rządów monopolowych ludność Polski przepiła w roku 1926/27 — 279.699.256 złotych. W roku 1927/28 już 359.538.632 zł. i 50 groszy, a roku 1928/29 — 424.583.433 zł. i 89 gr.

Pan Kuroczycki pisze dosłownie, (tłustym drukiem), że są to wyniki „w p r o s t ś w i e t n e“ — ale zły to buchalter, który w rachunku zysków i strat widzi tylko zyski. Czy autor artykułu „Kurjera Porannego“ nie zdaje sobie sprawy, jakie straty powoduje przepicie w ciągu jednego roku przez biedną Polskę 424 miljonów złotych? Czy naprawdę ruina budżetów domowych, nędza, choroby, a prócz tego straty i wydatki, jakie w związku z tem poniosła policja, sądy, więziennictwo, opieka społeczna, szpitalnictwo — równają się zeru?

Pan Kuroczycki, zbrojny w „skuteczną broń do zwalczania alkoholizmu“ kończy swe wywody, gromkiem hasłem, że zakres działalności monopolu spirytusowego w Polsce powinien być (m. in. w imię walki z alkoholizmem), jeszcze bardziej rozszerzony i, że państwowa (cytujemy dosłownie) „gospodarka spirytusowa stopniowo powinna objąć nietylko wyrób i sprzedaż wódek czystych, lecz wszelkich napojów, zawierających alkohol...“

Gdyby autor był zupełnie konsekwentny, powinien posunąć swe wywody dalej i zaproponować, aby Państwo objęło całkowicie produkcję i sprzedaż w s z e l k i c h p ł y n ó w, z a w i e r a j ą c y c h a l k o h o l, a więc nietylko piwa, win, ale perfum, lakierów, politur, a nawet tych wyrobów, do fabrykacji których te płyny są potrzebne: naprzykład mebli, trumien...

Szczególniej trumien! Jeżeli ideały p. Kuroczyckiego będą się urzeczywistniały i w przyszłym roku ludność Polski przepije już nie pół miljarda, ale naprzykład miljard złotych, to produkcja i sprzedaż tego artykułu może przynieść Monopolowi i Państwu olbrzymie korzyści!

Stanisław Biernacki.

TRADYCJA.



Taka miła to tradycja,
Wszyscy ją już znają,
że gdy kapłan co pokropi,
Ludzie zakrapiają.

Czesław Kaczmarczyk.

CZY MONOPOL SPIRYTUSOWY JEST POTRZEBNY?

Pisałem już, że w „Kurjerze Porannym“ z dn. 24 października i 10 listopada 1935 r. zostały zamieszczone dwa artykuły pod powyższym tytułem. Artykuł pierwszy obejmuje okres od r. 1926 do 1930. W tym artykule autor zwalcza prywatnych producentów spirytusu i prywatnych sprzedawców wyrobów spirytusowych, wykazując wyższość monopolu spirytusowego, któremu nawet przypisuje wpływ na zmniejszenie się spożycia alkoholu, przy jednoczesnem znacznem zwiększeniu dochodów skarbowych. Autor jest zdania, że *umiejętne* prowadzenie monopolu spirytusowego stanowi nie tylko olbrzymie źródło fiskalne dla państwa, lecz jest również najlepszą drogą do trzeźwości narodu, gdyż przyczynia się do zmniejszenia spożycia napojów alkoholowych. Stanowisko powyższe jest bez wątpienia błędne. Olbrzymie źródło fiskalne jest ściśle związane z rozpajaniem ludności, — jak również zmniejszenie spożycia musi być w związku ze zmniejszeniem dochodów monopolowych, to inna sprawa, że dla państwa nie tylko nie jest to ze szkodą, ale przynosi nieobliczalne korzyści, gdyż zmniejsza jednocześnie najróżnorodniejsze wypadki, podnosi dobrobyt ludności, a tem samem wzmacnia siły podatkowe społeczeństwa.

W drugim artykule, który obejmuje okres od roku 1930, zapewne od roku, w którym nastąpiła zmiana w kierownictwie monopolu i w którym zapewne kierownictwo było już mniej *umiejętne*, autor, stwierdza, że sytuacja zaczyna się stopniowo pogarszać, dochody maleją, a spożycie nielegalnego spirytusu wzrasta. Autor przypisuje to nie tylko nieumiejętnemu kierownictwu, ale jest nawet zdania, że na sprawy spirytusowe uzyskały wpływ grupy wrogo usposobione do idei monopolu spirytusowego, dążące do zupełnego bankructwa tego systemu. Nie mówi jednak jasno z kogo składają się te grupy, czy to są producenci i sprzedawcy alkoholu, t. zw. kapitał alkoholowy, czy też może grupy abstynenckie, — znowu w danym wypadku błąd kardynalny, kapitał alkoholowy nie ma interesu, a grupy abstynenckie nie mają jeszcze na razie dostatecznej siły; działa tu, według mego zdania, zupełnie inna przyczyna, a mianowicie długotrwały ekonomiczny kryzys.

W artykułach więc tych widzimy z jednej strony walkę z producentami i sprzedawcami spirytusu, a z drugiej z nieumiejętnem kierownictwem, przyczem w tej walce autor stale staje na stanowisku zwalczania alkoholizmu. Autor przyznaje wady monopolu polskiego i wyższość monopolu holenderskiego i dawnego rosyjskiego, jego zdaniem należy iść w kierunku rozszerzenia zakresu działania monopolu t. j. gospodarka spirytusowa powinna stopniowo objąć nie tylko wyrób i sprzedaż wódek czystych, lecz wszelkich napojów zawierających alkohol. Nie należy bać się narzekania na zwiększenie etatyzmu, gdyż chodzi tu nie tylko o zwiększenie dochodu państwa, lecz i o zwalczanie alkoholizmu. Zdaniem naszem monopol państwowy jest szkodliwy przedewszystkiem dlatego, że powagą państwa pokrywa zwyczaje i nałogi alkoholowe. Państwo może wyraźnie przechylić się na stronę zwalczania alkoholizmu tylko przy jednoczesnem wycofaniu się z prowadzenia monopolu spirytusowego.

Znaleźliśmy, jak widać, w osobie byłego kierownika monopolu spi-

rytusowego naszego najbliższego zwolennika i kto wie, czy zwolenników takich nie naliczylibyśmy więcej, o ileby Rząd zdecydował się na usunięcie ich z urzędu. Cała trudność polega na tem, że do czasu póki się jest na stanowisku, to interes osobisty wymaga aby wpływy monopolowe były możliwie jaknajwiększe, a tem samem i konsumcja coraz większa. W tym celu urzędnicy monopolowi dążą do poprawy gatunku swych wyrobów, twierdząc, że czysta wódka jest zdrowa. Starają się ten swój towar udostępnić szerokim masom, reklamując swoje wyroby, a nawet udzielając premij dobrym sprzedawcom i odbierając koncesje nieudolnym. Gotowi również obniżać cenę wódki, byleby tylko ta obniżka nie miała wpływu na zmniejszenie dochodu. Słowem, do czasu póki się jest na stanowisku, używa się wszelkich środków, aby interes szedł dobrze. Refleksje występują, ale tylko o tyle, o ile jest wolny czas na takie refleksje i o ile one nie mają wpływu na zmniejszenie dochodów państwowych, a tem samem i osobistych. Tu muszę dotknąć najważniejszej strony zagadnienia. Najidealniejszy monopol państwowy, najlepiej i najwzorowiej prowadzony, będzie miał zawsze tę wielką wadę, że spożycie alkoholu w oczach szerokiej publiczności będzie uważane za rzecz dopuszczalną, bo Rząd akcję tę propaguje i z niej państwo ciągnie zyski, władze państwowe, a w pierwszym rzędzie policja w każdym konsumencie alkoholu widzi płatnika podatku państwowego i nie chce mu w spełnianiu tego obowiązku państwowego przeszkadzać, a taki płatnik również uważa siebie za dobrego obywatela i z dumą i pewnością siebie kroczy aż do momentu, kiedy nie znajdzie się w rynsztoku. My jesteśmy zdania, że cała powaga i siła państwa po naszej stronie, t. j. po stronie zwalczających najstraszniejszy nałóg, jakim bezsprzecznie jest alkoholizm, a jest to możliwe tylko o tyle, o ile państwo nie będzie ani producentem, ani sprzedawcą, a urzędnicy państwowi nie będą konsumentami. Tak samo jak nie możemy dopuścić monopolu państwowego morfiny, kokainy, heroiny, eteru, ect., tak samo niedopuszczalny jest monopol alkoholowy. Tak samo jak nie możemy cierpieć na urzędach państwowych narkomanów wszelkiego rodzaju, tak samo niedopuszczalni są alkoholicy jako urzędnicy państwowi. Powaga państwa w oczach obywatela jest tak wielka, że pieczęć państwowa i orzełek narodowy na butelce spirytusu nie mogą być tolerowane, gdyż te symbole uniemożliwiają zwalczanie alkoholizmu.

Nie będę tu stawiał nowych projektów, nie będę wypowiadał się, jak należy organizować produkcję i sprzedaż alkoholu, czy myśmy już dojrzeli do prohibicji całkowitej, czy powinniśmy poprzestać na obcjach lokalnych — zakazach częściowych, dobrowolnych, czy należy i jakie wprowadzić ograniczenia w sprzedaży alkoholu, — jedno tylko mogę stwierdzić, że dopóki są pijacy w Polsce, a zapewne nie prędko oni znikną zupełnie, to władza państwowa musi mieć nad nimi nadzór, gdyż są to wielcy szkodnicy społeczni, a niejednokrotnie są oni bardzo niebezpieczni dla reszty ludności. Monopol państwowy nawet najlepiej prowadzony w akcji tej nie tylko nie jest pomocą, ale jest wielką przeszkodą, a tembardziej przeszkodą jest nasz polski monopol, którego wady stają się coraz widoczniejsze.

Na pytanie więc, czy monopol spirytusowy jest potrzebny—twierdzę, że Polsce — nie, polskiemu społeczeństwu także nie, komuż więc

jest potrzebny i dlaczego się dotychczas utrzymuje? — Potrzebny jest przedewszystkiem urzędnikom tegoż monopolu — i do pewnego stopnia ułatwia pracę ministrowi Skarbu.

Tu pozwolę sobie powołać się na ogólnie uznany autorytet, na słowa Marszałka Piłsudskiego, wypowiedziane na radzie ministrów dn. 6 listopada 1930 r. w sprawie budżetu na rok 1931.

„Druga praca ministra skarbu związana jest z istniejącem złośliwem zmniejszeniem dochodów monopolowych. Słyszałem zdanie pana Konarzewskiego, że wódkę pędzą na maszynkach amerykańskich, co przeszkadza panu Matuszewskiemu (minister skarbu), a pomaga ministrowi rolnictwa. Z drugiej strony jednak przy *bojkocie monopoli* zmniejsza się pijaństwo, co także *nie jest złe*. Państwo byłoby spokojne nawet gdyby to sięgało dalej, pan Matuszewski był bardziej pesymistą niż ja, gdyż ja tego niepokoju nie miałem".

Te słowa Marszałka podaje generał Sławoj-Składkowski w książce swojej „Strzępy Meldunków".

Aleksander Iżycki.

OFIARA, ODWAGA, SILNA WOLA.

Wśród środków stosowanych w walce z alkoholizmem na naczelnem miejscu musi się postawić abstynencję. Niepicie napojów alkoholowych przez całe społeczeństwo może zastąpić wszelkie inne środki, uznawane za korzystne w walce z alkoholizmem. Z chwilą zapanowania powszechnej abstynencji stałyby się zupełnie niepotrzebne wszelkie istniejące i planowane ustawy przeciwalkoholowe wszystkich krajów, bo powszechne niepicie bezporównania skuteczniej zamknie karczmę, wytwórnię wódki i browar, niż najsurowsze nawet prawo, dopilnowywane przez groźnego policjanta. To też działacze przeciwalkoholowi, świadomi potęgi trzeźwości, w apostołowaniu abstynencji posługują się jaknajsilniejszymi sposobami przekonywania, by wszystkich skłonić do zaniechania używania trunków.

Propaganda abstynencji zdobyła u nas już doświadczenie, pozwalające na wybranie najlepszych, a usunięcie wątpliwych, a nawet przeciwnych celowi usiłowań, mających zachęcać do trzeźwości.

Chcę tu zwrócić uwagę na kilka haseł, któremi bardzo obficie szafowano w początkach naszego ruchu przeciwalkoholowego, a jakiemi jeszcze i dzisiaj chętnie posługują się początkujący działacze przeciwalkoholowi, należących do tego rodzaju nawoływań, jakich wypadałoby raczej unikać, niż ich używać.

Oto sprawa abstynencji niełatwa, lecz mimo wszystko człowiek czuły na niedolę drugich powinien ze swego picia zrobić *ofiarę* i stać się abstynentem, a to nietylko przyczyni się do zmniejszenia powszechnego alkoholizmu, ale także samemu abstynentowi wyjdzie na dobre, bo przez stałe *umartwianie się* z powodu odmawiania sobie alkoholu, wyrobi sobie hart ducha i inne cnoty.

Niejednokrotnie słyszałem i czytałem podobne nawoływania, a jako bardzo dawny abstynent, nie mogę skombinować, w jaki sposób z abstynencją może się łączyć ofiarność i umartwienie, natomiast doskonale ro-

zumiem, do jakiego stopnia umartwieniem i udręczeniem może być picie alkoholu. Doprawdy, za duże umartwienie ciała trzeba uważać samo przełknięcie wódki, jak ogień piekielny palącej usta i przełyk, a już napewno wyższego stopnia umartwieniem jest unurzanie się po pijanemu w błocie ulicy i kilkudniowe potem cierpienie z powodu krwawych ran, prawie nigdy nieuniknionych przy pijackim upadku. Skoro takie udręczenia fizyczne i upokorzenia moralne daje picie, więc niema z czego robić poświęcenia się i ofiary, z pojęciem której zawsze łączyć się musi pozbycie się czegoś miłego, dobrego, potrzebnego, w związku z tem uczucie braku, sprowadzającego przykrość i cierpienie.

Łączenie z abstynencją pojęcia ofiary jest więc zestawieniem dobranem bardzo nieszczęśliwie, gdyż abstynencja w każdej przypadłości życia daje tylko zadowolenie i radość. Kto zaniechanie picia wódki nazywa ofiarą, ten temsamem przyznaje, że w piciu wódki tkwią jakieś tak duże wartości, że aż ofiarę spełnia kto się ich zrzeka.

Pomijając brak istotnego związku trzeźwości z ofiarnością, poświęcaniem się i umartwieniem wypada rozważyć, jak do takiego zestawienia ustosunkują się nieabstynenci, których usiłuje się nawrócić użyciem takiej zachęty, o ile oczywiście uwierzyli w rzeczywistość związku trzeźwości z ofiarą. Podzielą się oni na dwa rodzaje. Przeciętny pijący, którego inne dowody dostatecznie przekonały i zachęciły do odrzucenia alkoholu, słysząc, że wstąpienie na drogę trzeźwości narazi go na ponoszenie ofiary i dokuczliwość umartwienia zlęknie się takiej abstynencji, więc wysuwanie zasady ofiary w wielu wypadkach może utrudnić zjednanie ludzi dla trzeźwości. — Na drugi rodzaj złożą się jednostki niezrównoważone, rozmaici smutni ofiarnicy i ponurzy cierpiętnicy, o zabarwieniu psychopatycznem, szukający dla swej słabości oparcia w zrzeszeniu. Tego pokroju przeczulonych dziwaków dość wiele tułało się w pierwszych latach ruchu przeciwalkoholowego w towarzystwach abstynenckich, niejednokrotnie zawstydzając związki przeciwalkoholowe. Takie typy kończyły samobójstwem, lub w zakładzie obłąkanych. — W jednym i drugim wypadku zamiast pożytku utrudnienie i niekorzyść dla rozwoju sprawy walki z alkoholizmem.

Trudnościami oplątuje zasadę trzeźwości także *odwaga.* — Słyszę, że już by stać się abstynentem, trzeba odwagi, a w ciągu życia abstynenckiego raz po raz musi się wzywać na pomoc odwagę, by wytrwać w niepiciu.

Jeśli chodzi o odwagę, to sądzę, że raczej trzeba jej do picia alkoholu. Toć przecież, kto bierze do ręki pierwszy kieliszek, ten na dużo się waży! Ten pierwszy kieliszek jest zadatkiem upicia się, utraty świadomości, doradcą zbrodni, odźwiernym więzienia. Zaiste odwagi trzeba, by za cenę wypicia kieliszka wódki świadomie godzić się na takie możliwości. A samo przebywanie w szynku?... Znam abstynentów, którzy za żadną cenę nie weszliby do szynku na przedmieściu, bo się boją, bo nie mają na to odwagi. Ale alkoholicy mają odwagę tam wchodzić i przebywać.

Sprzęganie sprawy trzeźwości z odwagą nastręcza myśli niełatwe do uporania się z niemi. Przeciętny kandydat na abstynenta musi sobie myśleć, że abstynencja, to jakaś rzecz straszna i trudna, że droga, prowadząca od alkoholizmu do abstynencji, strzeżona przez smoki i inne potwory, jest pełna niebezpieczeństw, skoro, by ją przebyć, trzeba się aż

w odwagę uzbrajać. Rozmyślając nad tem przez kilkanaście dni, przychodzi wreszcie do przekonania, że tak wiele odwagi to on znowu nie ma, więc nie pozostaje nic innego, jak tylko pić po dawnemu.

Do odwagi dołącza się jeszcze *silną wolę*. Już nawet dzieci wiedzą i na pytanie, czego potrzeba, by być abstynentem, bez przygotowania odpowiadają: „Silnej woli“, ale równocześnie także wiedzą, że wobec tego abstynencja jest tylko dla wybrańców, posiadających jakąś fantastyczną silną wolę, a w takim razie przeciętny człowiek, nie będący rekordzistą woli, nie może się pokusić o abstynencję. — Z powodu tego rodzaju rozumowania, łączenie czynnika silnej woli z abstynencją w wielu wypadkach może stanowić przeszkodę w zjednywaniu abstynentów.

Wspominanie o silnej woli, gdy chodzi o abstynencję, jest zupełnie zbyteczne, bo *człowiek normalny stanowczo nie potrzebuje silnej woli na to, by być abstynentem*. Jeżeli ktoś nie pił wódki przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj, to z największą łatwością może nie wypić kieliszka także jutro, bez podejmowania w tym kierunku żadnego trudu i bez szczególnego przymuszania się do abstynencji. Przeciwnie, przeciętny, umiarkowany niejednokrotnie musi zdobyć się na wysiłek, musi sobie wola wspomożony zadać przymus, aby wypić niemiły mu kieliszek wódki. Aby tacy ludzie przeszli do abstynencji, nie potrzebują silnej woli, lecz tylko uświadomienia i trochę dobrej woli. A na dobrą wolę to już stać każdego.

Silnej woli i odwagi do trzeźwości potrzebuje tylko pijak nałogowy, którego całą mocą ciągnie do wódki. Aby nie pić musiałby podjąć prawdziwie bohaterski wysiłek, a odmówienie sobie wódki będzie dla niego ofiarą, poświęceniem i umartwieniem. Ale przecież pijak nie ma woli i na nic podobnego zdobyć się nie może i w tem właśnie cała jego niedola.

Dzisiaj już dawno minęły te czasy, w których usiłowano nawracać pijaków. Dzisiaj nie nawracamy ich, ale oddajemy do lecznicy. Przy nawoływaniu do abstynencji, skierowanem do ludzi normalnych, niema więc potrzeby używania recept, mogących mieć zastosowanie przy nawracaniu pijaków z wątpliwą zresztą skutecznością.

Jest jeszcze jedna ujemna strona w posługiwaniu się przy nakłanianiu do abstynencji określeniami, o których tu mówię. Sprawa ruchu przeciwalkoholowego wcale nie wychodzi dobrze na tem, gdy w zrzeszeniach abstynenckich znajdzie się duża liczba członków, w których zupełnie bez potrzeby i celu wmówiono, że abstynent, to człowiek ofiarny, odważny, bohater i mocarz woli. Gdy w artykułach, broszurach i na zebraniach wmawia się abstynentom podobne przymioty, to nic dziwnego, jeśli taki abstynent nadmie się wreszcie pychą i zarozumiałością, wyobrażając sobie, że jest kimś o wiele wyższym i doskonalszym, niż otoczenie dlatego tylko, bo jest abstynentem, choć przecież może być jako człowiek jednostką marniejszą niż przeciętny umiarkowany. Taki abstynent, mający się za nadzwyczajną doskonałość duchową, najczęściej zamyka się sam w sobie, by bez żadnego społecznego pożytku nieproduktywnie przetrawiać swoje urojone zalety.

Walka z alkoholizmem, podobnie jak walka z gruźlicą, jest sprawą nawskroś realną, bardzo daleko odbiegającą od wszystkiego, co tchnie

nieuchwytnością, więc też w propagandzie przeciwalkoholowej należy zastosować spokój i umiar, a unikać wszelkiej wybujałej czułostkowości.

Zawsze trzeba pamiętać, że w dzisiejszym stanie walki z alkoholizmem o wiele więcej dokona raczej nieliczne zrzeszenie zrównoważonych, wytrwałych pracowników, niż wielotysięczne tłumy biernych, przeczulonych marzycieli.

Lwów. *Mikołaj Skiba.*

S Ą D.

.... sprawa była trudna.
Jakiś zwrotniczy Pawlak z okolicy Bródna
spowodował niechcący śmierć dziesięciu ludzi...
Wypadek, co w swych skutkach grozę w sędziach budził,
wynikł, jak to stwierdzili eksperci - technicy,
poprostu z nastawionej wadliwie zwrotnicy.
W rezultacie — w czem była złośliwość szatańska —
na pociąg towarowy wpadł pośpieszny z Gdańska.

Prokurator rozpoczął swą mowę wspaniale:
„Czy oskarżony Pawlak nie rozumie wcale,
że przez swoje niedbalstwo, czy z pobudek innych,
zgotował śmierć okrutną tych ludzi niewinnych?
Tych ludzi, co żyć chcieli do ostatniej chwili,
tych ludzi, którzy jemu *nic* nie zawinili.
Czy oskarżony Pawlak czytał ofiar listę?
Wszak jest tam troje dzieci, dusze jasne, czyste;
jest małżeństwo w uścisku śmiertelnym złączone,
gdzie mąż zginął, ratując spod gruzów swą żonę...
Śmierć także i kolegów podsądnego zmiotła:
zginął palacz, oblany wrzątkiem pary z kotła,
maszynista nieszczęsny, ojciec czworga dzieci,
uwikłany w odłamkach żelaztwa, jak w sieci,
zginęły dwie staruszki, przecięte na poły,
jakiś młodzian z tornistrem, jadący do szkoły...
A ilu było rannych? Podsądny pamięta:
ta ręka tego starca z ramieniem odcięta...?
Ten tragizm, który wionął z pociągu - pogrzebu,
te jęki, co jak skarga rwały się ku niebu,
te wszystkie nieszczęśliwe tragiczne ofiary
dziś tu stają przed sądem i żądają kary!“
Tu umilkł prokurator, chustką obtarł czoło,
potem znowu brwi zmarszczył i spojrzał wokoło:
„Wszyscy jesteśmy tutaj, tylko tamtych niema,
co ich podsądny zabił rękami obiema.
Te ręce to sprawiły, te przeklęte ręce,
że ludzie marli wyjąc, że ginęli w męce...

Przebóg! cóż to za siła, co za los koszmarny
pchnął tam was? Czy ma jednak pozostać bezkarny
ten sprawca? Zapytajcie panowie sędziowie,
niech oskarżony wstanie i niechaj nam powie,
czemu (bo tylko cząstkę na niedbalstwo kładę)
on ten pociąg, tych ludzi skazał na zagładę?
Niech oskarżony wyzna, co powodowało
jego dłonią, że takie nieszczęście się stało?
I ta śmierć i te męki i te straszne rany?
Podsądny odparł krótko: — Ja byłem pijany.

Stanisław Biernacki.

Z DZIEJÓW OBYCZAJU W POLSCE.

Rozpoczynając drukowanie niniejszej pracy, nie sądziłam, że materjał już zebrany, w miarę jego opracowywania, będzie się tak rozrastał, wytwarzając obraz, dający się całkowicie wydzielić z całości naszego życia narodowego. Potwierdza się przeświadczenie tych działaczy przeciwalkoholowych, którzy widzą silne narastanie obyczaju alkoholowego we wszystkich komórkach życia społecznego, a jednocześnie utrwala się coraz bardziej w społeczeństwie przeświadczenie, że walka z alkoholizmem, to bynajmniej nie warjacka manja szlachetnych marzycieli, lecz świadoma, planowa praca, u podstaw której leży dążenie do stworzenia lepszych form spółżycia ludzkiego i do apoteozowania życia w jego bujnym i pełnym rozwoju.

Analizowanie historji obyczaju pijackiego uwypukla z jednej strony całe jego barbarzyństwo i destrukcyjność, a z drugiej każe nam zapoznać się z temi jednostkami, które, nie operując całym aparatem nowoczesnej wiedzy, a tylko obserwując spustoszenia moralne i materjalne, czynione przez alkoholizm, nie wahały się stanowczo i wyraźnie uznać go za wroga. Ciekawą jest rzeczą, że właśnie takie negatywne względem niego stanowisko zajęli przeważnie ludzie, których treścią najgłębszą było namiętne ukochanie życia realnego i troska nad poprawą przeróżnych jego dziedzin — jednocześnie były to umysły nawskroś europejskie, przyswajające z Zachodu to, co tam było najwznioślejszego. Obyczaj pijacki wszechmożny, despotyczny, natrętny, poniekąd pobudzał myśl ludzi zatroskanych o naszą przyszłość, do śmiałego protestu, w którym jednocześnie brzmi głos w sprawach natury ogólnej.

Alkoholizm i pańszczyzna, jako kuźnia niewoli chłopów materjalnej i moralnej — alkoholizm, jako źródło nędzy i upodlenia, a walka z nim, to walka o wyzwolenie ludu z jarzma biedy i z jarzma ciemnoty, — oto jak formułują nasi pisarze dawni swoje ujęcie tych zagadnień. Mówiąc o przeszłości, wnikając w jej dzieje z zakresu obyczaju, ściśle złączonego ze strukturą psychiczną i materjalną, niepodobna dłużej się nie zatrzymać nad Staszicem.

Parę cytat, które już podałam poprzednio, nie ujmują nawet częściowo myśli Staszica w zakresie nas tu obchodzącym. A były to myśli nie tylko w owych czasach wysoce znamienne, lecz co dla nas najważniejsze, są one i obecnie aktualne.

Cała działalność Staszica, czy jako pisarza, czy jako niestrudzonego męża stanu, była realizowaniem idei służby narodowi, służby odradzającemu się życiu, które pragnął wznosić na zasadach pracy, wolności osobistej, sprawiedliwości i równości wszystkich wobec prawa. Walczył o wyzwolenie ludu z pańszczyzny, gdyż widział w nim fundament państwowego gmachu. Obecnie na szpaltach pism codziennych, tygodników, książek czytamy stale, na przeróżne sposoby odmieniane właśnie staszicowskie hasło, że państwo, którego 75% ludności stanowią rolnicy, musi przedewszystkiem pomyśleć o ich losie, w tym sensie, by oni mogli się stać pozycją twórczą. Widocznie to, co było jasne i oczywiste dla Staszica z przed 100 i dawniej laty, nie wrosło jeszcze w nasze mózgi i nie tylko nie stało się rzeczywistością, ale wymaga tłumaczenia, dowodzenia, przekonywania.

Aktualność pisarzy z minionych okresów jest miarą ich wielkości— oni to, będąc dla nas źródłem ukochania przeszłości, wyrażają jednocześnie żywotność narodu, a zaznajomienie się z nimi stanowi żywą tradycję kierunków i dążeń najszlachetniejszych. To też słusznie ś. p. Zofja Daszyńska-Golińska w 1919 r., a więc w pierwszym roku naszej niepodległości, pisała: „I dziś reforma wewnętrznego życia Polski, oparcie się o lud, urzeczywistnienie jego postulatów i żądań, nawoływanie do jedności jest warunkiem siły naszej i oporności wobec przemożnych sąsiadów. To też „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“, są nie tylko szanownym pomnikiem, który przypomnieć należy, ale stać się mogą ważną lekturą dla ogółu“.

Wyzwolenie ludu i mieszczaństwa spod przemocy szlacheckiej i rozwój kultury, aby obalić „potęgę ciemnoty“, oto naczelne hasła Staszica. Pijaństwo ludu sprzęgło się z fatalną spuścizną ustroju i ogólnym, opłakanym stanem kraju i to przeciw niemu Staszic podnosi swój głos pełen gniewu i potępienia. „Przyjacielem ludzkości i gorącym patrjotą“, nazywa Czesław Leśniewski [1]) Staszica, który nie mógł spoglądać spokojnie na to, co się działo w Ojczyźnie jego, tak srogo dotkniętej.

Staszic sam o sobie powiada [2]): „Nie jestem ani dworskim, ani hetmańskim, ani potemkinowskim, pruskim, cesarskim, ani moskiewskim. Ale jestem najprzywiązańszym stronnikiem mego narodu“. Było to wówczas odważnem, stanowczem wypowiedzeniem swej istotnej, najgłębszej orjentacji politycznej i obywatelskiej, której przez całe życie pozostał wierny. W imię swych gorąco umiłowanych idei walczył piórem o ich realizację — chwilami w uniesieniu przestrzegał i wzywał do opamiętania. „Ratuj się szlachto: nie potrzeba, abyś traciła swoje swobody i wolność; ale potrzeba, abyś swoje prawa upowszechniła, abyś powiększyła liczbę obywateli swobodnych i wolnych. Nie uratujesz się konstytucją cząstkową, czyli, że tak rzekę, połataną. Ale uratujesz się Konstytucją zupełnie nową, i cały naród polski obejmującą. Jest to epoka, gdzie Polska zupełnej podpaść odmianie powinna“.

---

[1]) Czesław Leśniewski: „Stanisław Staszic, Jego życie i ideologja w dobie Polski Niepodległej (1755—1795)“. Waszawa 1926. Str. 352.

[2]) „Przestrogi dla Polski z teraźniejszych politycznych Europy związków i z praw natury wypadające“ Dnia 4 stycznia 1790. Str. XX+216.

O ratunek ginącego kraju walczył całe swe życie i myślą wnikliwą, badawczą docierał do istoty wszystkich zjawisk niepokojących, a przynoszących w jego mniemaniu szkodę i obniżających wartość kraju. „Przestrogi“ swe rozpoczyna od słów znamiennych: „Wszystko się rusza. Wszystko się odmienia“. Są one dla niego punktem wyjścia do dalszych rozważań, któremi ogarnia szerokie horyzonty potrzeb, i coraz to nowych sytuacyj, wytwarzających się właśnie dlatego, że życie jest procesem stale rozwijającym się i wymagającym coraz nowych form dla siebie. I niejednokrotnie daje wyraz swemu najgłębszemu przeświadczeniu o tem, co jest zasadniczym zrębem tego nowego ujęcia stosunków w kraju, co winno być fundamentem uzdrowienia schorzałego organizmu państwowego. „Człowiek względem drugiego człowieka ani samowładcą, ani niewolnikiem być nie powinien. Każdy obywatel, w którejkolwiek społeczności ludzkiej osiadły, ma prawo domagać się względem każdego drugiego obywatela wolności. Bo człowiek w społeczność wiążąc się, nic więcej nie zyskał nad tę jedną wolność, czyli to zabezpieczenie, że oprócz prawa od całego towarzystwa stanowionego, żaden inny człowiek władnąć nie będzie własnością jego“ [1]). „Trzeba koniecznie z powstawaniem naszem podnieść upadły charakter narodu“ [2]). „Despotyzmu zasadą partykularna wola, czyli gwałt“ [3]). „Pańszczyzna, ten dzikich hord wynalazek, i to feudalnego nierządu straszydło, a plemienia ludzkiego pochłoń nie cierpi ludności. Pańszczyzna tłumi wszelki życia i rodzaju owoc. Kraj z pańszczyzną zawsze w jednym stanie trwać musi. Nie postąpimy dalej. Człowiek być własnością człowieka nie może“ [4]).

Prof. Ignacy Chrzanowski pisał, że „są niewątpliwie w pismach pedagogicznych Staszica myśli przebrzmiałe. Lecz z drugiej strony ileż tam myśli, do dziś dnia prawdziwych, zbawiennych, żywotnych i to dotyczących zarówno wychowania w Polsce, jak ogólnych powszechnych podstaw i celów wychowawczych“ [5]). Ta aktualność nawoływań Staszica, współczesność jego nastawień myślowych staje przed nami również w zakresie tu omawianych spraw, które służą zawsze obronie skrzywdzonego człowieka. Kryzys przeżywany obecnie, będąc kryzysem materjalnym i wielkim przełomem moralnym, jest jednocześnie tragedją wywołaną załamaniem się struktury ustroju kapitalistycznego, w którym to ustroju alkoholizm odegrał dużą i złowrogą rolę. Nie mamy wprawdzie pańszczyzny, o której zniesienie tak gorąco walczył Staszic w imię obrony praw człowieka i w imię obrony państwowości polskiej, ale mamy obecną klęskę bezrobocia, połączoną z zagmatwanem zagadnieniem wsi, domagającem się na gwałt jakiegoś rozwiązania. I za czasów staszicowskich i za naszych ten sam problem absorbował całą społeczność — problem, który stał się po przeszło stu latach widmem, upiorem walącego się

---

[1]) „Uwagi“.

[2]) „Przestrogi“, str. 115.

[3]) Tamże, str. 145.

[4]) Tamże, str. 225.

[5]) „Pisma Pedagogiczne Stanisława Staszica“. wydał i opracował Zygmunt Kukulski. Przedmową poprzedził Ign. Chrzanowski. Z zasiłkiem M. W. R. i O. P. Lublin. 1926 r.

porządku rzeczy, ujawniającego swą paradoksalność właśnie w chaosie obecnego życia. Widzimy w całej działalności Staszica, do jakiego stopnia przerastał on swój czas, swoje otoczenie, jaki to był wielki, twórczy umysł. Dr. Wiktor Hahn pisze, że „słusznie nazywano go trybunem ludu, ojcem demokracji polskiej" [1]), a prof. S. Dickstein [2]) tak scharakteryzował rolę jego działalności: „W epoce przełomowej społeczeństwa polskiego w XVIII w., był Staszic sumieniem narodu; w czasie odrodzenia, po nieszczęściach i klęskach krajowych, stał się jego wychowawcą i nauczycielem: praeceptor Poloniae; w całej swej działalności, pełnej zasług i chwały, był przodownikiem postępu i stwierdził to, co prostemi i pełnemi szczerości słowy napisał w swej autobiografji: „byłem stały w przedsięwzięciu raz obranego sposobu życia, nie zmieniłem go nigdy aż do śmierci".

Umiłowanie wolności pojętej jako kardynalna podstawa do reform państwowych i społecznych prowadzi go do wejrzenia również w dolę kobiety: „Najpierwszy gwałt praw natury był wykonany na kobietach. Najpierwszym niewolnikiem była żona. Daleko później i z większą trudnością zagarniano w niewolę rolnika" [3]). „Bóg dał równie kobietom jako mężczyznom wolę i rozum. Słuszność i dobro kraju wyciąga, aby równe było prawo dla mężczyzn i dla białych głów. Siostra z bratem równy dział mieć powinni. Mąż swoim majątkiem, żona swojemi dobrami zarządzać, równe a krajowi użyteczne prawo mając" [4]).

Staszic, broniąc praw człowieka, bronił jednocześnie praw narodów i skarżył się, że „nigdzie w Europie nie ma ludzi. Wszędzie niewolnicy. Nigdzie niema narodu, tylko narodu panowie. Wszędzie zniszczone prawa człowieka. Powtarzam, do spokojności i do bezpieczeństwa wszystkich narodów należy, aby w żadnym kraju prawa człowieka gwałcone nie były" [5]).

Pańszczyzna, śmiało rzec można, jest dla niego koszmarem przesłaniającym Polskę i tamującym wszelaką możność jej odrodzenia — wprost nie może mówić o niej spokojnie, wzywa do jej zniesienia, gromi i grozi krótkowzrocznym jej obrońcom, rozpacza nad ciemnotą i egoizmem tych, którzy z takim uporem jej się trzymają. Życie chłopa polskiego malował w barwach, do których współcześni pisarze dodają tylko pewne cienie, zgęszczają farbę, lecz zasadnicze tło nakreślone jego dłonią pozostanie na zawsze odbiciem tragicznej rzeczywistości. Oto niezapomniane opisy doli chłopa, w której mamy również poruszone i pijaństwo ludu. „Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miljony stworzeń, z których jedne w pół-nago chodzą, drugie skórą, albo ostrą siermięgą okryte; wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe; oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami bezustannie ro-

---

1) Dr. Wiktor Hahn: „Stanisław Staszic. Życie i Dzieła". Lublin 1926.

2) „Stanisław Staszic (1775—1826). Wspomnienie w 80-tą rocznicę zgonu", wygłoszone na posiedzeniu Stowarzyszenia Techników w Warszawie dn. 19 stycznia 1906 przez S. Dicksteina. Odbitka z „Przeglądu Technicznego". Warszawa 1906 r.

3) Przestrogi, str. 208.

4) Tamże, str. 210.

5) Tamże, str. 62—63.

bią. Posępne, zadurzałe i głupie; mało czują i mało myślą, to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłopi ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemię wyniesione szałasy; słońce tam niema przystępu; są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła, aby mniej cierpieli i w dzień i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymie ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz, na zgniłym spoczywa barłogu; obok niego śpi mała, a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielęciem stoi, i świnia z prosiętami leży... Dobrzy Polacy, oto rozkosz tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł. Oto człowiek, który was żywi. Oto stan rolnika w Polsce“ [1]). „Powtarza ustawicznie każdy szlachcic, że chłop polski jest nadto głupi, niepracowity, leniwy; dlatego nie można mu dawać sprawiedliwości, ani wolności. A nie czuje, albo czuć tego żaden szlachcic nie chce, że to on sam tego przyczyną; że chłop polski jest takim samym człowiekiem, jakim jest chłop niemiecki, chłop o granicę w Śląsku, w Prusach, w Saksonji. Czemuż tamten jest oświecony, pracowity i krajowi użyteczny? Nie jest to chłopa polskiego natury przyczyna, ale nierząd panującej w Polsce szlachty. Nie odmieni się nasz chłop w Polsce, dopokąd nie odmieni się szlachta. Wyrzeka szlachcic, że chłop polski straszny pijak, a każdy szlachcic w swojej wsi, w swoim miasteczku po pięć, po sześć karczem wystawia, właśnie gdyby jakie sidła na złowienie owego chłopa. W tych karczmach osadza, dobiera najbieglejszych żydów, którzyby mu jaknajwięcej zapłacili, to jest: którzyby umieli jaknajskuteczniej zwodzić i rozpajać chłopów.

„Niebaczny dziedzicu, nie na pijaństwie, nie na ubożeniu poddanego zasadzaj powiększanie twoich dochodów. Bo to oszukanie, to obdarcie chłopa z ostatniego grosza przez żydów, narusza jego gospodarstwo. Tak zamiast bogacenia, kraj niszczy, i twój upadek gotuje. Każdy złoty, którym żyd twoją propinację podwyższa, jest ten złoty, którym cię uboży“ [2]).

Słowa niesłychanie znamienne, dające wiele do myślenia i nasuwające przejrzyste, wymowne analogje do stosunków i dziś panujących.

Warunki życia pańszczyźnianego systematycznie, wytrwale chłopa demoralizowały, zabijały go moralnie, spychały na najniższy poziom, na jakim można tylko sobie wyobrazić jednostkę ludzką.

„Czuję, ale tego wyrazić nie umiem, jak wiele takie w stanie rolniczym uprzedzenie całemu krajowi szkodzi. Z takiemi myślami rolnik żadną miarą swojej pracy nie powiększy. Tego, co oszczędzi, nie obróci na wydatki gospodarskie. Owszem, albo kryć się z tym będzie, albo czem prędzej takim sposobem, o którym jest najpewniejszym, że mu tego kto inny odebrać nie potrafi, utraci, przepije, stanie się leniuchem, hulta-

---

[1]) Tamże, str. 210.

[2]) Tamże, str. 245.

jem, pijakiem i złodziejem. To jest człowiek bez własności. Tylkoć też tyle mojego, co przepiję. Oto hasło rolnika polskiego. Tu, kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić. Kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mię rozpacz i zgroza“ [1]). „Niesprawiedliwość jednemu uczyniona ściga i niszczy tych wszystkich, którzy z nim związani“ [2]).

W kontrakcie Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego w paragrafie XVII pomiędzy innemi czytamy: „Rada powinna baczyć, aby ludność wypełniała obowiązki religijne, aby pijaństwo nie panoszyło się w dni świąteczne, aby się dzieci od nauk szkolnych nie uwalniały“. To „panoszące się pijaństwo“ było obok pańszczyzny hamulcem postępu, zgubą ostateczną narodu, przekleństwem losu. I dlatego w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego“ w rozdziale „Edukacja“ spotykamy troskę o człowieka, którego należy wychować tak, by stał się krajowi swemu jednostką dodatnią, twórczą. — „Zawsze takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie“ [3]). „Niech każdy od młodości z doświadczenia uczy się, że jest równy obywatelowi drugiemu. Przeto, że nikomu z obywatelów szkodzić niema władzy“ [4]). „Niechaj ta nauka najczęściej, a jaknajjaśniej powtarza młodemu, że człowiek sobie wszystko, a kto inny nic mu nie winien, że sam starać się powinien o dobre mienie swoje, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest pracować, że tylko przez pracę staje się obywatelem użytecznym, że w każdym stanie próżnowanie czyni człowieka szkodliwym i sobie samemu i innym. Drugim obowiązkiem człowieka jest pracować według praw kraju“ [5]). I tu dochodzimy do zagadnienia mającego pierwszorzędne znaczenie nie tylko dla czasów Staszica, ale i dla naszych, do zagadnienia praworządności. Co tu mówić. Nie umieliśmy nigdy i niestety dotąd jeszcze nie nauczyliśmy się wykonywać ustaw, co jest wielkim, zasadniczym brakiem naszej psychiki.

„O, jak opłakany widzę los człowieczeństwa w tych wszystkich towarzystwach, gdzie prawu tylko słaby jest posłuszny, gdzie obywatel nie jest równy drugiemu, gdzie człowiek, który, sądząc iż równość i pokój najdzie, z przyrodzonej mocy wyzuł się, oszukany widzi z żalem, iż tej samej utraconej siły jego, zuchwalszy dla tym łatwiejszego go krzywdzenia używa. Nikt lepiej nad Zamoyskiego nie czuł, że taka nieszczęśliwość z niewykonywania praw pochodzi. Wszystkie więc prace jego, do poprawienia tej wady dążyły“ [6]). „Prawa najdoskonalsze, ale umysłowi ludu przeciwne, gdy mocą wykonywane będą, zawsze w początku szkodzą, często upadek narodu prowadzą. Same prawa obyczajów nie zmienią. Pierwsze są ustawą szczególną, drugie są ustawą powszechną. Trzeba zgubić stare narodu przesądy, dopiero lud nowy sposób życia obierze. Tylko edukacja i przykład narodów obyczajność stanowią i znoszą. Rzecz-

---

[1]) „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“, str. 223.

[2]) Tamże, str. 234.

[3]) Tamże, str. 2.

[4]) Tamże, str. 18.

[5]) Tamże, str. 17.

[6]) Tamże. str. 295.

pospolita obywatelów cnotliwych prawa czczone i wykonywane mieć będzie, kiedy edukacja dawne, szkodliwe przesądy schydziwszy, zaszczepi w młodzieży wiadomości jednakowe i równie z prawami do jednego końca dążące. Kiedy mędrsi obywatele starać się będą oświecać naród pismami, ukazywać mu prawdy, pewną szczęśliwość wiodące, a odkrywać błędliwych mniemań skutki okropne. Lud w początku ich pisma znienawidzi. Z czasem, sam nie wiedząc, odmieni się. Ta droga jest pewna, ale długa. Do obyczajów prędszej odmiany niemasz skuteczniejszych sposobów, nad pierwszych obywatelów przykłady" [1]). „W wszystkich towarzystwach wykonywanie praw jedność utwierdza. W Polsce tylko ten prawa wypełniał, komu się podobało. Nie narzekajmy więc na nikogo. Pogarda i niedoskonałość praw są nieszczęścia naszego przyczyną" [2]). „Największą trudnością, której w poprawie rządu Zamoyski doświadczał, było to mnóstwo przesądów, na których się całego narodu obyczaje sadziły" [3]).

Czyż w zakresie ustawodawstwa alkoholowego we wszystkich krajach, gdzie ono tylko było wprowadzone, nie miało miejsca podobne zjawisko, które u nas przybierało formy poprostu katastrofalne w odniesieniu wogóle do wszelakich ustaw, których się z zasady nie wykonywało, a tem samem podcinało korzenie praworządności!? Z drugiej strony ważnem jest dla nas, zwrócenie przez Staszica uwagi na moment psychologicznego przygotowania społeczeństwa do przyjęcia nowego ustawodawstwa, bez którego ustawa staje się nakazem narzuconym z góry, którego treść i sens istotny wymyka się z pola rozumienia poszczególnych jednostek, wytwarzając zbiorowy nastrój oporu i milczącego protestu, manifestującego się w jej niespełnianiu. Realny i trzeźwy, a jednocześnie głęboki i wszechstronny umysł Staszica docierał zawsze do wszystkich poszczególnych czynników każdego badanego przez siebie procesu społeczno-państwowego i wykazywał konieczność reform z niezbitą logiką, — często z gorącem uniesieniem zwracał się do własnego społeczeństwa, by zawróciło z drogi bezprawia, po której tak śmiało i beztrosko szło w przyszłość, zapowiadającą się groźnie.

Wobec ściśle określonego zakresu, jaki postawiłam sobie na początku tej pracy, nie mogę, rzecz prosta, podać całokształtu wiekopomnej działalności „ratownika szczątków dawnej chwały", jak nazwał Staszica Berent [4]), chcę jednak podkreślić jego wyjątkowe stanowisko w dziejach naszej odradzającej się myśli, jego niespożyte zasługi w wielorakich dziedzinach życia narodowego. Prof. Ignacy Chrzanowski [5]) taką daje charakterystykę tej niezwykłej postaci.

„Ksiądz Stanisław Staszic, mieszczanin wielkopolski, to jedna z najpiękniejszych postaci, jakie wydała Polska przez wszystkie wieki swojego istnienia, jedno z najszlachetniejszych i najgorętszych serc, ja-

---

[1]) Uwagi..., str. 300.

[2]) Tamże, str. 304.

[3]) Tamże, str. 305.

[4]) Wacław Berent: „Nurt". Tom I, str. 121. 1934.

[5]) Historja literatury polskiej przez Ignacego Chrzanowskiego. Część I. Literatura niepodległej Polski. Warszawa 1906, str. 530.

kie kiedykolwiek na ziemi polskiej biły, jeden z najlepszych i najzasłużeńszych jej synów, godny stanąć obok Modrzewskiego, Skargi i Konarskiego. Modrzewskiemu nie ustępował szlachetnem sercem, Skardze — płomiennym patrjotyzmem, Konarskiemu — mądrością, a zwłaszcza siłą woli. Rozległością zaś i wszechstronnością wiedzy, oraz jej namiętną gorączkową żądzą nie dorównał Staszicowi nikt w dawnej i nikt we współczesnej mu Polsce, a w Polsce późniejszej bardzo niewielu".

Człowiek tej miary musiał zrozumieć rolę pijaństwa w naszem życiu i ruch współczesny przeciwalkoholowy ma poczucie żywej tradycji z garstką wielkich reformatorów, którzy wprawdzie nieliczni, ale zespoleni miłością żarliwą dla kraju, widzieli jego lepszą przyszłość przedewszystkiem w wyzwolonym od wszelakich więzów niewoli wolnym człowieku. Przymus pańszczyźniany i przymus picia w pańskiej karczmie tak ściśle zespolony ze sobą, wywoływał wśród elity myślowej namiętny protest, stanowiący dla następnych pokoleń ogniwa jednego wielkiego pochodu naprzód ku ostatecznemu wyzwoleniu pełni sił ludzkich. Wychowywanie, uświadamianie, edukowanie, jak dawniej mówiono, było w światopoglądzie Staszica bronią bodaj najważniejszą. Czytamy o tem u Adama Szymańskiego w Jego „Odezwie Zreformowania Wychowania i Nauczania". „Przypominamy, że jednym z najgorliwszych krzewicieli wielkich haseł naszego odrodzenia przez szkołę, był prawy obrońca ludu i klas pracujących, Jeremjasz upadającej Rzeczypospolitej, Staszic szlachetny, człowiek, który ze stanu wówczas praw pozbawionego pochodząc, mimo doznanych krzywd i uraz, miłością gorącą ku „tym spólnym we wszelakich sprawach uczciwości i pożytkowi" do końca gorzał".

I dlatego właśnie, że pisma swe Staszic przepalił ogniem miłości i uzbroił w ostrze myśli samodzielnej, nieulękłej i twórczej to „pierwsze jego dzieło publicystyczne ozwało się jak dzwon alarmowy po całej Rzeczypospolitej, wstrząsnęło sumieniem narodu, powołało go do pracy zbawczej. Było to jego wielką zasługą. Naród otrząsnął się z bezwładu, w jakim był pogrążony. Zrozumiano konieczność ważnych odmian w ustroju Rzeczypospolitej, by ją ocalić i wzmocnić". „Przedewszystkiem wraz z Kołłątajem zapoczątkował w Polsce nowoczesny ruch demokratyczny, a nawet w tym względzie wyprzedził o kilka lat Kołłątaja" [1]).

Utworem, do którego Staszic przywiązywał bodaj największą wagę i nad którym pracował przeszło lat 30, był „Ród ludzki". Praca ta doznała ciężkiej krzywdy, gdyż cały nakład został skonfiskowany i zniszczony rozkazem w. księcia Konstantego[2]). Ocalały tylko nieliczne egzemplarze. A jest to praca niezmiernie ciekawa, odważna, zawierająca wiele myśli, które wydawały się zbyt śmiałemi. Znamienny jest następujący w niej ustęp o pijaństwie. „Od niespamiętałych czasów, gdzie tylko w dziejach ludzkich już spostrzegać pierwsze uroczystości zabobońśtw, tam także już znajduje się zbyteczność, obżarstwo i pijaństwo. Przy każdej znaczniejszej epoce życia człowieka, przy rodzeniu się, wszędzie zabobony i pi-

---

[1]) „Stanisław Staszic. Życiorys". Napisał Bolesław Limanowski, str. 110.

[2]) Dr. Henryk Barycz: Egzemplarz korektowy „Rodu Ludzkiego" Staszica. Kraków. 1926 r. Str. 21.

jaństwa. Przy zamęściu zabobony i pijaństwo, przy odpustach zabobon i pijaństwo; przy pogrzebach zabobony i pijaństwo. Osobliwsza skłonność człowieka w każdem znaczniejszem wzruszeniu do zabobońständig, do pijaństwa, obżarstwa, gry i bitew“ [1]).

Obok tak wielkich ludzi, jak Staszic, Kołłątaj, Jezierski, pochodzących z tego samego okresu czasu, a o których już wiemy (do Kołłątaja jeszcze powrócę), jakie stanowisko zajmowali w stosunku do pijaństwa i pańszczyzny, mamy również pisarzy z ogółu myślącego i czytającego, którzy też się wypowiedzieli o palącej sprawie katastrofalnego stanu naszego ludu i o wszystkich przyczynach takiego stanu.

Józef Sołtykowicz [2]) w książce swej „O Przyczynach nędzy włościan“, bardzo ciekawej i z uczuciem głębokiego przeświadczenia o prawdzie swych myśli napisanej, stwierdza, że dowodem źle zrozumianego przez właścicieli własnego interesu jest „trzymanie się uporczywe i żadnym dobrym przykładem niepoprawne zdawniałych zwyczajów inwentarskich najuciążliwszych rolnikom, bez przedsięwziętej własno-wolnie na ich pożytek, albo ulgę reformy. Dowodem jest, nieustające łakomstwo, okazujące się to w spekulacjach propinacyjnych, to w arendach żydowskich, to w przerzucaniu gruntów i zabieraniu pod dwór rolnikom lepszych; to w narzucaniu ich za nie kopaninami i nowiznami; to w garnieniu pod dwór pustek z sromotną obojętnością na spadających kmieci; to w rozrzucaniu nawet na nich niesumiennie ciężarów publicznych; to nakoniec w trzymaniu na siebie samych zbyt rozległych i rozproszonych dóbr ziemskich przy zostawieniu poddanych pod biczem srodze czynnych administratorów i komisarzów, łupiących z nich więcej na swoją niż na pańską korzyść ostatnią skórę; albo przy oddaniu ich w ręce dwa razy szkodliwszych ziemi i uciążliwszych chłopkom dzierżawców“. „Dowodem nakoniec jest i ów także okazywany wstręt do oświecenia włościan pod pozorem obawy uzuchwalenia się ich i nieposłuszeństwa“. Sołtykowicz jest człowiekiem bardzo umiarkowanych poglądów, uspakaja szlachtę, że rząd pragnie dać oświecenia włościanom tylko „do ich potrzeb i do ich stanu, że chce aby umieli przeczytać, napisać, porachować, żeby wiedzieli to, co pracę ich doskonalszą i korzystniejszą uczynić może i, że na tem ma się kończyć cała ich instrukcja“, — ale bracia-ziemianie, jak wiemy, nawet do tak utylitarnie pojętej oświaty nie chcą dopuścić lud i mówią: „Dać chłopu swobodę, wnijść z nim w umowę! Wszystko przepije, przetyrmani, nic nie da, wziąć nie ma co z niego i właściciel zostaje bez dochodu. Nie masz nic niewdzięczniejszego nad chłopa; niczem go przywiązać, ani zobowiązać nie można; zawsze nieżyczliwy panu, zawsze niedbały, pijak i gałgan niemyślący tylko, aby żył odednia do dnia“.

Tego rodzaju rozpowszechnione ustosunkowanie się do stanu włościańskiego obarczało nawet tę część społeczeństwa, która będąc daleką od szerokiego poglądu na prawa człowieka, rozbrzmiewające na Zacho-

---

[1]) Dzieła Stanisława Staszica. Tom siódmy. Warszawa 1819 r. Str. 559.

[2]) „O przyczynach wewnętrznych i najbliższych, tudzież zewnętrznych i dalszych nędzy naszych włościan z wyłożeniem sposobów zniszczenia tychże przyczyn i ich skutków przez Józefa Sołtykowicza“. A. K. W. Kraków 1815. Str. 343+nl. 11.

dzie, czuła i rozumiała, że dzieją się u nas rzeczy bardzo złe, zgubne dla samej szlachty. Wszystkie wady chłopów, na które tak się skarży szlachta, wypływają z poddaństwa, pijaństwa i ciemnoty ludu naszego. Swego poglądu broni Sołtykowicz i przytacza rzeczową i objektywną, a chwilami gorącą argumentację na rzecz odmiany stosunków wiejskich, które o ile nie ulegną polepszeniu, to zguba czyha na obie warstwy. Ciekawe jest również, jak autor trafnie i słusznie ocenił system propinacyjny, ów prawzór systemu monopolowego.

„Owi zaś, którzy wytykają zawód niektórym właścicielom z ich dobroczynnych dla włościan przedsięwzięć i z urządzeń w swych dobrach poczynionych, a stąd, wszystkie złe, gnuśności, nieprzychylności, niewdzięczności i opilstwa chłopów przypisując, niegodnemi ich innego stanu nad tem, w jakim powszechnie dotąd zostają być sądzą; niechby się zastanowili nad tą doświadczeniem poświęconą prawdą: że kto przez połowę tylko co robi, jedno jest jakby nic nie wart. Chcieli wprawdzie szanowni owi obywatele Małachowscy, Chreptowicze, Brzostowscy, chcieli krakowscy akademicy i inni niektórzy, i ludowi rolniczemu uczynić jaknajlepiej i przykładem swoim pociągnąć do naśladowania drugich; ale obok niektórych pożytecznych w systemacie gospodarczym reform, zostały wszystkie inne zarody nędzy, poddaństwa: zostali żydzi, zostały s p e k u l a c j e p r o p i n a c y j n e, zbytecznie rozdrobnione grunta". „Niech tylko reforma względem włościan będzie doprowadzona do stopnia przyzwoitego z u p e ł n o ś c i; niech nie będzie p r z e z p ó ł tylko wykonana, a nie będzie miał mocy przeciwko nim zarzut z przykładów dotychczasowych wyciągnięty. Niech nie będzie żydów i s p e k u l a c j i p r o p i n a c y j n y c h, a nie będzie pijaków. Niech będzie pewność zarobku i pewność posiedzicielstwa, a nie będzie niedbalców i gnuśników. Niech nie będzie łupieżców dzierżawców nieludzkich i drapieżnych ekonomów i komisarzów, a nie będzie niewdzięczników". „Zapytaćby się zaś można skąd prawo, żeby rolnik trwał zawsze w niebezpieczeństwie bycia nędzarzem, lub był nim w samej rzeczy? Boć istotnie, ucisk rolników, zdający się przynosić momentalne korzyści, prowadzi następnie i już przyprowadził do upadku tysiące ich uciemiężycielów". „Umowa między ludźmi nie może mieć pożądanego skutku, jeżeli r ó w n o ś ć w o b l i c z u p r a w a między zawierającemi onę, i d o b r o w o l n o ś ć w c z y n i e n i u będą tylko słowami pompatycznemi i modnemi, a nie samą rzeczą w zupełnem jej znaczeniu". „Niedostateczność ustaw naszych ku polepszeniu stanu włościan pochodzi stąd, że ci, którzy prawa u nas piszą, sami mniej więcej wad krajowych, które poprawiać mają, będąc uczęstnikami, są oraz i stronnikami".

Trzeba pamiętać, że Sołtykowicz jest przedstawicielem myślącej części społeczeństwa szlacheckiego, która się wzniosła ponad poziom ogólnego „zabobońswa" tak namiętnie piętnowanego przez Staszica. Był to głos umiarkowanego sądu nad tem, co się działo w kraju i dlatego, obok głosów najwybitniejszych naszych ludzi, ma wielkie znaczenie jako wyraz opinji pewnej grupy obywateli, stanowiącej oparcie osamotnionym, a wielkim jednostkom, widzącym zło w perspektywie szerszej. Ponad przytłaczającą większością żywiołu ciemnego, samolubnego, rozpróżniaczonego, a hardego i bitnego, nadającą niestety charakter i ton życiu narodo-

wemu, wznosiła się jakgdyby nadbudowa, koncentrująca wykwit kulturalnego i umysłowego rozrostu sił narodowych, będąca zapowiedzią odrodzenia. Był w społeczeństwie naszem, mimo całej masy wad i przywarów, również zaczyn myśli zdrowych i uczuć szlachetnych, był fundament wartości moralnych, była żywotność pierwiastków twórczych. Obok prawdziwie wielkich postaci, mamy również jednostki wybitne, które piórem i słowem dawały wyraz prądom nurtującym społeczeństwo, samorzutnie pragnącym się połączyć z tymi, którzy ze swych przodujących miejsc w narodzie — rwali naprzód w przyszłość lepszą, sprawiedliwszą. Była to m n i e j s z o ś ć, może znikoma m n i e j s z o ś ć, ale nie mamy prawa, zastanawiając się nad pewną grupą zjawisk naszej przeszłości, zapominać o niej. Zaznajamiając się z najdostojniejszemi osobowościami, musimy wejrzeć w środowisko szersze, w środowisko elity, która się wypowiadała również za reformą i która w stosunku do poddaństwa i pijaństwa zajęła zgodnie negatywne stanowisko.

Sołtykowicz, występując przeciw arendarzom żydom, wykazuje całą ich szkodliwość dla życia wsi polskiej, ale jednocześnie nie szczędzi gorzkich, chłoszczących słów dla szlachty, która swe karczmy obsadzała żydami, ciągnąc przy ich pomocy ogromne materjalne dochody.

„Łakomstwo, a po części i nałóg, nie mając znikąd przeszkody, przytrzymują na złej drodze wielu właścicielów; a leniwo czasem, dla różnych okoliczności przychodzące fatalne skutki, samoistnego łakomcę obojętnego zawsze na to, co się po nim dziać będzie, nie mogą zniewolić do zrzeczenia się nieuczciwych, a drugim szkodliwych, sposobów zyskiwania. Tymczasem prawdzi się to dosyć często na nichże samych, że ciągnąć jaknajwiększe mogą dochody z propinacji przez puszczanie jej w arendę żydom; zamiast powiększania intraty, rzeczywiście ją zmniejszają; ponieważ, oprócz tego, iż ci często nie wypłacają się i nie masz co z nich wziąć, ani na czem poszukiwać szkód przez zawód uczynionych, niszczy jeszcze arenda takowa ich poddanych, te prawdziwe i bezpośrednie narzędzia ich dostatków, których oni albo tracą, albo ratować muszą wielkim kosztem, pozbawiającym ich nazad mniemanego zysku, który od żydów arendarzów wyciągnęli. Tak tedy to złe, które sprawują żydzi, idzie w podział między takich właścicielów i ich włościan, ale jakież oni samym tym ostatnim przynoszą?

„Umie ten motłoch obmierzły robić się potrzebnym różnym sposobem nieoświeconym, chciwym i marnotrawnym panom; a między innemi przysługami bywa i ta, że szpiegują stodołki chłopskie i nastręczają sposobność, a nawet pomagają w sposobach obdarcia z zbożowego zapasu rolników w czasie najtańszym. Zastępują też w zapomogach panów; dają chłopkom odiemne ziarno na pół z plewami na siew, lub na życie, a potem i z lichwą i z wielkim pożytkiem najlepsze odbierają.

„Rozpajają lud ten wiejski, ażeby z wyciągniętej jaknajwyżej arendy wypłacić się mogli i jaknajwięcej przy tem zarobić: pozbawiają go sił ciała i umysłu, a zatem i zdatności do porządnej, pożytecznej pracy i do wszelkiego użytecznego przemysłu. żeby go zaś tem bardziej przynęcili do gorzałki, borgują mu chętnie, a przy porachunku, nie umiejącego rachować i trunkiem zabałamuconego, oszukują“. „Niszczejąc tą koleją, już i tak z innych przyczyn ubogi włościanin, coraz gorzej gospodaruje, coraz gorzej uprawia rolę, coraz mniej gruntu obsiewa“.

Sołtykowicz w Przepisach swych do Ustaw, które byłyby najlepiej dostosowane do potrzeb kraju, żąda:

„Aby niewolno było żydom, ani karczem, ani propinacji w nich, ani browarów arendować od właścicielów, ich zastawników i dzierżawców, bądź we wsiach, bądź w miasteczkach, czyli to ziemskich, czyli narodowych, ani szynkarzami być, ani przy browarach, karczmach, szynkach służyć, lub pomagać“.

Zaniedbanie oświaty jest według zdania Sołtykowicza również ważną przyczyną fatalnej doli chłopa polskiego i nawołuje do niej, jako do sposobu, mogącego poprawić opłakany stan wsi.

„Pijaństwo, idący za niem nieład w gospodarstwie, niechlujstwo, niedbalstwo i obojętność na to, co jest lepszego, a nadewszystko nieufność, wszystkie te do ubóstwa wiodące nałogi samemu tylko oświeceniu klasy rolniczej ustąpić mogą“.

Korzon w „Wewnętrznych Dziejach Polski“ [1]) pisze, że „Stężyczanin wyrzeka, że arendarze żydzi rozpajają włościan po karczmach, a potem wyznaje szczerze: „ale my sami darliśmy chłopa, tylko żydowskiemi pazurami“. A chłop, napominany o pijaństwo, odpowiadał: „wszak ten grosz przez moje gardło powraca do kieszeni pańskiej“. Krótko, ale dobitnie jedno i drugie powiedzenie malują istotę stosunków, których fatalne zło tak tragicznie przygniatało lud nasz, i doprowadzało go do ruiny. Korzon w swych rozważaniach nad dolą ludu dochodzi do przeświadczenia, że:

„Cóż dziwnego, że poddany szlachecki znalazł się na najniższym szczeblu nędzy, że był nieporadnym, leniwym, apatycznym, skłonnym do pijaństwa, niechlujnym, że dom jego można było „nazwać domem zarazy?“ „Sądzimy jednak, że naogół stan chłopa szlacheckiego w Polsce był niezadawalniający: w stosunku do naszych dzisiejszych wyobrażeń okropny, w stosunku do krajów zachodnich XVIII w. gorszy o tyle, o ile dowolność prywatna i egoistyczna władza licznej klasy oligarchicznej jest straszniejszą i uciążliwszą od porządku państwowego, od władzy chociażby nieograniczonej jednego monarchy“.

Poglądy umiarkowanego i spokojnego Korzona w sprawie włościańskiej idą po linji stwierdzenia całkowitego nierozumienia przez szlachtę tego zagadnienia i upartego, namiętnego dążenia do utrzymania za wszelką cenę istniejącego od wieków porządku rzeczy:

„Właśnie reforma włościańska wywołała tak silne oburzenie na sejmie 1780 r., że cały projekt kodeksu, pomimo starań króla, odrzucono z wrzawą: „nie masz zgody“, a z rzucaniem ksiąg na ziemię bez czytania i w dyarjuszu ostrą rezolucję zapisano: „niszczemy... i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy“.

„Więc łby szlacheckie były twarde, serca w samolubstwie zakamieniałe! Pokolenie, które Rzeczpospolitą ostatecznie zatraciło, które dało jej wydrzeć trzecią część ziemi i całą prawie niepodległość polityczną, czyż mogło się zdobyć na jakąkolwiek ofiarę z władzy nieograniczonej nad swymi poddanymi? czy zdołałoby zrozumieć, że reforma była niezbędnem

---

[1]) Tadeusz Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“ (1764—1794) Tom I. Warszawa 1897. Str. 513.

i skutecznem lekarstwem na ruinę materjalną, w jakiej pogrążony był cały kraj“.

Jeżeli poglądy naszych wybitnych pisarzy z końca XVIII i początku XIX wieku wydają się nam światoburczemi na tle powszechnie panujących stosunków, to musimy dla pełności obrazu cofnąć się do XV wieku i przypomnieć sobie, żeśmy mieli zadziwiająco mądrego pisarza politycznego, zawrotnie przerastającego ówczesne środowisko, który w utworze swym „żywot i Pismo o Naprawie Rzeczypospolitej“ [1]), całkiem rewolucyjne poglądy wypowiedział. Adolf Pawiński w przedmowie swej pisze:

„Z wielkopolskich rodzin, których członkowie zasiadają w najwyższej radzie koronnej, Ostrorogowie najwięcej zostawili po sobie śladów w rocznikach piśmiennictwa naszego. Wytworzyła się snać między nimi tradycja pielęgnowania zdolności umysłowych, nabywania poloru wyższego, kształcenia się w naukach. To zamiłowanie w wyższej oświacie, w kształceniu się naukowem miało nawet swój właściwy kierunek i swoją odrębną w rodzie Ostrorogów cechę. Była nią świeckość. Kiedy w Polsce często do wyższej nauki przeznaczali ojcowie magnaci swych synów, sposobiąc ich do stanu duchownego, Ostrorogowie w ciągu trzech wieków nie poświęcali się zupełnie służbie kościelnej, nie szukali u ołtarza panującej religji szczebla do swego wyniesienia się. Nie znajdziemy pomiędzy nimi ani jednego dostojnika kościelnego, ozdobionego czy biretem kanonika, czy infułą biskupią. W rzeczach świeckich główną miarą jego sądu jest rozum, słuszność, sprawiedliwość i inne zasady. Wogóle uderza na zwyczaj zastarzały. Zwyczaj — to jad, co gnoi wszystkie stosunki; zwyczaj, to najgorszy wszystkiego początek. Z temi złemi zwyczajami kruszy też ciągle kopię“.

Ten odważny szermierz nowego porządku rzeczy w „Pamiętniku“[2]) swym w rozdziale LXII „O poprawie pijaków i pasibrzuchów“ tak pisał:

„Wielu z poddanych, tak mieszczan, jak włościan utyskuje na ubóstwo, kłócąc się o przyczynę jego, lubo po większej części jest to wina ich zwierzchności. Należy zabronić rzemieślnikom i włościanom częstej pijatyki, zwłaszcza z rana. Niech zwierzchnik czuwa, niech kijem, lub batem takich codziennych biboszów wygania i do pracy zmusza. Nie byłoby niedorzecznością wzbronić tylolicznych karczm, tak iżby wyszynk piwa z domu do domu w kolei przechodził, a tym sposobem marnotrawstwo biboszów i waśnie ustałyby po większej części“.

Ostroróg pisał swój „Pamiętnik“ w przededniu uchwalania przez sejmy coraz to nowych ustaw, umacniających poddaństwo chłopa, legalizujących stan rzeczy krzywdzący jedną wprawdzie tylko warstwę, ale doprowadzający do zguby cały naród. Piętnował w nim bodaj najsroższą niesprawiedliwość, jaką była nierówność obywateli wobec prawa, stanowiącą faktycznie rdzeń niewoli. W rozdziale „O praw rozmaitości“ czytamy:

---

[1]) „Jana Ostroroga żywot i pismo o Naprawie Rzeczypospolitej“. Studjum z literatury politycznej XV w. przez Adolfa Pawińskiego. Warszawa 1884. Str. 205.

[2]) „Pamiętnik dla naprawy Rzeczypospolitej na sejmie za Kazimierza Jagiellończyka zamierzonej“ przez Jana Ostroroga doktora obojga praw ułożony“. 1831 r. Wydał i przetłumaczył Jerzy Wincenty Bandtkie.

„Taka rozmaitość praw nie jest wcale dobrą, iż innem szlachta, innem plebejusze się rządzą, iż jedno polskiem drugie niemieckiem się zowie, i to znowu jeszcze jest różniącem się, a tak zacięcie bywa zachowywanem, jak gdyby Niemcy sami wyłącznie rozum wszelki posiedli. Takowa mieszanina w jednem państwie nie zgadza się z rozumem. Niech więc będzie jedno prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnej osób różnicy; na rany i zabójstwa kara pieniężna i kryminalna niech będzie taż sama zachowaną, jaka dawnego była zwyczaju. Jeśliby zaś poczytywano za potrzebne prawo odmienne dla plebejuszów, odmienne dla szlachty, dla różnicy stanów, niech wszelako i tamto cywilnem, a nie niemieckiem się zowie; lubo ja mniemam, że jednem i temże samem prawem zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinni się rządzić".

Jeżeli uświadomimy sobie bodaj pobieżnie dzieje końca XV w., jeżeli zrozumiemy całą grozę chmur zgęszczającego się despotyzmu szlacheckiego, jeżeli odtworzymy zasadnicze linje owoczesnego światopoglądu szerokiej rzeszy szlacheckiej, to pojmiemy całą rewolucyjność poglądów Ostroroga, który głęboko się troszczył o przyszłe losy kraju i serdecznie pragnął go widzieć istotnie potężnym i wolnym. O tej to epoce Wacław Aleksander Maciejowski [1]), wybitny znawca naszych dziejów, a zwłaszcza historyk prawodawstw słowiańskich, wyraził się, że:

„Wstępuje ta epoka w przestrzeń czasu, mogącego się, według słów rzymskiego wieszcza, nazwać stekiem grzechów politycznych", to też postać Ostroroga nabiera naprawdę zupełnie niezwykłego blasku.

Skorośmy zahaczyli o wiek XV, to trzeba wspomnieć o Grzegorzu z Sanoka, który według Sołtykowicza [2]) słynął z wielkiego dowcipu i używał go, by karcić pijaństwo, którego złe skutki dostrzegał.

„Spotkawszy człowieka, który przez pijatykę wszystko utracił, roznoszącego wodę po mieście dla zarobku, rzekł: gdybyś mógł był wodę znosić, nie byłbyś jej nigdy nosił".

Obyczai pijackich Grzegorz z Sanoka nie tolerował, zwalczał je energicznie: „Nie na jednej też przeto osobie duchownej okazał przykład swej surowości, a pominąwszy inne, dosyć będzie powiedzieć, iż raz źle czytającemu w kościele Ewangelję księdzu, przestać i pójść precz, a innemu ją przeczytać rozkazał. Drugiego, widziawszy pijanym, a nazajutrz postrzegłszy go zabierającego się do odprawiania Mszy, odwiódł go publicznie od ołtarza, upominając głośno, iż nie godziło się Ofiary Świętej po pijackim zbytku sprawować".

W wyżej wymienionej pracy Sołtykowicza, która jest ciekawym dokumentem rozwoju i życia Akademji Krakowskiej, znajdujemy zdanie

---

[1]) „Historja włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy XIX wieku", napisana przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego. Warszawa 1874. Str. 409.

[2]) „O stanie Akademji Krakowskiej od założenia jej w roku 1347, aż do teraźniejszego czasu. Krótki Wykład Historyczny Najjaśniejszemu Panu Fryderykowi Augustowi królowi Saskiemu, Księciu Warszawskiemu. Na Posiedzeniu Publicznem Szkoły Głównej. Dnia 10 maja 1810 r., podany przez Sołtykowicza N. N. W. W. i F. D. i W. N. N. F. D. Kraków 1810. Str. nl. 8+632.

Stanisława Grzebskiego, pochodzącego z XVI w., profesora i cnotliwego męża, którego pamięć uczcił Jan Kochanowski polskim i łacińskim wierszem. Otóż ów Grzebski w pewnym utworze swym taki napisał urywek:

„Szlachtą nazywają się ci, którzy z dawnego i sławnego rodu pochodzą. Ci więc, którzy takiemi są, dziadów, pradziadów, prapradziadów swoich jak najusilniej wspominać zwykli, i zdawności rodu swego się chełpić, a nie wiedzą, że od innych z tego względu wcale się nie różnią; ponieważ wszyscy ludzie, na jakokolwiek niskiem urodzeni miejscu, dziadów także, pradziadów i prapradziadów mają, i ilekolwiek się ludzi rodzi, wszyscy na miejscu dziadów, pradziadów następują. Nie masz więc przyczyny dla którejby się kto miał wynosić z dawności rodu swojego, a nawet i z przodków swoich sławności; osobliwie jeżeli tych nie tak cnotą, jako raczej ciała i fortuny tylko dobrami miał znakomitych; ile gdy ani sama nawet cnota przodków nikomu prawdziwej chwały przynieść nie zdoła; każdy bowiem podług swoich własnych, nie podług cudzych sądzony jest przymiotów. A jako tego nazywają urodziwym, który urodą ciała celuje innych, nie tego który miał urodziwych przodków, tak zacnym człowiekiem nie ten ma być mianowanym, który miał sławnych cnotą dziadów i pradziadów, lecz ten, który własną duszę cnotami przyozdobił. Arystoteles też powiedział: świeża cnota, lepsza jest niż stara. Przeto i my tych za lepszych mamy sądzić, którzy cnotliwie żyją, od owych, którzy od cnotliwie żyjących tylko pochodzą“.

Jakżeż śmiało poszedł ów zapomniany profesor przeciw powszechnie panującej opinji o przewadze dobrze urodzonego szlachcica nad biednym chłopkiem, czy mieszczaninem. Ta cywilna odwaga podkreślania pewnych prawd, będących w sprzeczności z pojęciami ogólnie obowiązującemi, była objawem budzącego się zdrowego odruchu myśli, która szukała dróg samodzielnego sądzenia i oceniania zjawisk codziennych, oraz utartych mniemań.

Sołtykowicz pozostawił nam jeszcze dwie prace. O ile dwie omówione powyżej świadczą o wielkiej jego erudycji i umiarkowanem, ale głęboko przemyślanym poglądzie na najpilniejsze zagadnienia bieżące, to następne dowodzą, że był to człowiek o dużej europejsko-zachodniej kulturze, ożywiony umiłowaniem zasad humanitarnych i obejmujący szerokie horyzonty myśli ludzkiej. Przemawia do słuchaczy w imię najszlachetniejszych nakazów ducha, w imię dobra człowieka, w imię hasła pokoju wiecznego, którego wartość rozumiał już wówczas. A więc w „Wywodzie o skutecznym sposobie zaprowadzenia dobrych obyczajów [1]) czytamy:

„W tym nieszczęśliwym wizerunku skażonego człowieczeństwa, który mnie wszędzie spotyka, nie tak zepsucie obyczajów postrzegam, jako raczej ze wszech miar przymuszony jestem twierdzić i utrzymywać, że ich nigdy nie było, że nawet jasne wyobrażenie onych nie było ludziom stawione, i zostało zawikłaną dla narodu ludzkiego tajemnicą. Któż nie

---

[1]) „Wywód o skutecznym sposobie zaprowadzenia i ugruntowania dobrych obyczajów. Na obchód roczny pamiątki wolnej Konstytucji dnia 3 maja 1791 roku i Imienin Ojca Ojczyzny Najjaśniejszego Stanisława Augusta z woli narodu Króla Polskiego i W. X. L. na amfiteatrze szkół krakowskich czytany. Oświeconym prawodawcom poświęcony przez Sołtykowicza nauczyciela Obyczajów i Prawa“. Str. 113.

widzi, ktokolwiek więcej uwadze swojej chce zadać pracy, że każdy naród, każda społeczność, każde w niej zgromadzenie, każdy prawie człowiek, to obyczajami chciał mieć nazwane i nazywa, co mu przesąd, opinja, albo prywatny upatrzony pożytek policzyć w rzęd ich doradza. Obróćmy tylko oczy po tych rozlicznych towarzystwach zamieszkanego okręgu, ileż to najdzikszych nie postrzeżemy zwyczajów, ile zabobonnością poświęconych okrucieństw, ile najsilniej bijących przeciw naturze, a przecież prawami upoważnionych, niesprawiedliwości i błędów? To, co na jednem miejscu jest święte, na drugim jest celem pośmiewiska; to, co w jednym towarzystwie jest godziwe i przystojności nie razi, w drugim staje się naganne i surowej nie uchodzi kary; to co u innych narodów jest cnotą, u nas byłoby najokropniejszą zbrodnią, najobmierzlejszem zesromoceniem Praw Przyrodzenia".

„Szczęk ustawiczny oręża po wszystkich tej ziemi kątach drapieżnych najezdników i dających im odpór, był ustawiczną zabawą monarchów, a jęki i ucisk cierpiącego ludu zwyczajną ich były muzyką. Każdy prywatny człowiek tą jedynie zajęty myślą, jakby przed drapieżcami i spustoszeniem swój majątek ocalił; albo bawiąc się równie, zamienionym w nałóg łupiestwem nie miał czasu i chęci zastanowić się, jakim być powinien dla społeczności. To tu właśnie człowiek człowiekowi pokazał się być wilkiem; tu właśnie dobrze przytoczyć można to, co Raynal o mieszkańcach Jawy dawniej napisał, iż zdawało się, jakoby żądza szkodzenia sobie nawzajem, a nie potrzeba wspólnej pomocy zgromadziła ich w społeczność, i że nie przystąpił jeden do drugiego bez sztyletu, albo dla ostrożności od gwałtu, albo dla rozpoczęcia onego. Przestawali monarchowie na prostocie i niewiadomości poddanych, bo im było z tem dobrze, byle na zawołanie ich chciwości, stawały do wylania krwie liczne niewolników trzody, i byle oddało poddaństwo do ich szkatuł swą krwawą pracę, na kupienie za nią publicznego ucisku. Pierzchnęły dobroczynne staro-rzymskie Muzy, przed tak burzliwym Marsem, a na ich miejsce zostały niezrozumiałe Sybille. Wreszcie księgi Praw Justyniana w rozliczne przerobione kształty, prawodawstwem całej Europy się stały".

„Do was szczególniej, prawodawcy Ojczyzny naszej, mowę obracam: staliście niedawno w pośród burzliwej i głębokiej opinji powodzi wypuściliście gołębie, jako niegdyś ów ojciec mającego na nowo odradzać się ludu, z miotanej bałwanami tu i owdzie, waszej prawodawczej arki, odniosły wam różdżkę pokoju, znak niezawodny, że opadły wody przesądu. Postępujcież dalej, a postępujcie śmiało z tą chwalebną i godną prawodawców determinacją, jaka wam szczególną u oświeconego świata jedna zaletę, a błogosławieństwo od nieczującego już niewoli swej ludu. Teraz jest właśnie pora zastanowienia się waszego, jakie mają być obyczaje Polaka i jaka onych zasada, aby złośliwy sąsiad podkopać je nie potrafił. Niech Polak jaknajprędzej powiedzieć może: i ja mimo zazdrość sąsiadów, mogę mieć obyczaje i szczęście, bo obalono opinje, któremi wojowane były, a dano im nieprzeparty fundament prawdy i prawa".

„Już czas długim wycieńczony mówieniem, nagli mnie do położenia końca moim uwagom; ale kiedy was widzę, młodzi Polacy, stawających tutaj w postaci rycerzów sposobiących się wcześnie do obrony kraju, nie mogę w oczach zastanowionej tak miłym widokiem publiczności, puścić was jeszcze bez tej interesującej nauki, że jeżeli kochać i bronić dobrą

i rządną Ojczyznę jest powinnością obywatela, kochać wszędzie ludzi jest powinnością c z ł o w i e k a. Nie bierzcie nigdy tego szlachetnego uczucia ku Ojczyźnie za jedno, co nienawidzieć bliźnich oddzielonych od was ludzką, ale nie Ojca natury ludzkiej granicą, jest to bowiem opinja szkaradna i ciemna, ty zaś przezacna młodzi, bądź oświeconą i obyczajną. Owszem, jeżeli cię kiedy w potrzebie obrony wolności i prawa twego, los na obcą napastnika twego ziemię poniesie, złóż zbrojny rycerzu znamiona krwawe szlachetnego męstwa; przyciśnij bezbronnych braci twoich do serca, którzy albo ci szkodzić nie myślili, albo cię tylko nienawidzili z przesądu. Powiedz im, żeś przyszedł potargać na nich pęta niewoli, żeś przyszedł głosić im pokój, miłość, i dać im światło twej cnoty. Niepodobna, aby człowiek nie zrozumiał twego głosu; zrozumie go zapewne, a ty na ten czas z godną serca ludzkiego chlubą rzec możesz: rozszerzyłem szczęśliwych mieszkańców ziemi granice, nie siłą zabójczej broni, lecz mocą spokojnej prawdy, przez którą miłe niebu i ludziom obyczaje zyskałem".

„Zaraza przesądów z kolebki mędrców przeszła w ich zdania i w ich pióra. A chociaż nie zbywało na ludziach, wyższym celujących rozumem, którzy z nieustraszoną gorliwością nieprawej polityki, pseudo-moralności i zabobonu słowniki przeczyszczali, wracając właściwe rzeczom moralnym znaczenie i przyzwoity wyobrażeniom ludzkim o nich dając kierunek; ich atoli usiłowania słabo skutkowały i długo jeszcze w całem natężeniu pozostać muszą naprzeciw wkorzenionym wiekami, a pielęgnowanym przez nieprawy i na usidlenie prostoty ludzkiej zawsze czuwający interes, przesądom".

„Nauczać i uczyć się całe życie: oto jest powołanie, oto jest odznaczająca cecha prawdziwego uczonego".

„Doświadczenie nas uczy, że gwałt i prześladowanie się wzajemne nie uczyniło nigdy przysługi prawdzie".

„Umiejętność jest najpotężniejszą władzą".

„Ci, którzyby dla jakichkolwiek powodów do przytłumienia prac i usiłowań rozumu zuchwałe przedsięwzięcia w sercu knowali, niech pamiętają wcześnie na tę Tacyta przestrogę: Ut corpora lente augescunt, cito extinguuntur, sic ingenia studiaque oppresseris facilius, quam revocaveris" [1]). (Jak ciała powoli wzrastają, a szybko giną, tak talenty i nauki łatwiej stłumić, niż rozwinąć).

Przytoczyłam powyższe ustępy z prac Sołtykowicza, mimo, że nie zawierają bezpośredniej łączności z alkoholizmem—pośrednią natomiast wielką. „Człowiek człowiekowi staje się wilkiem" — czyż nie obserwujemy tego i obecnie na każdym kroku i musimy ten objaw przypisać w pewnym stopniu alkoholowi, który zaostrza antagonizmy, podnieca dzikość i wybujałość egoizmu, sankcjonuje bezprawie w życiu jednostek.

A czy „moc spokojnej prawdy", czy cały ten piękny ustęp do młodzieży, który jest przecie niczem innem jak marzeniem współczesnych

---

[1]) „Rozprawa nad przyczynami uwłaczających naukom mniemań, odradzających się w różnych wiekach świata. Na czterech posiedzeniach publicznych towarzystwa naukowego z uniwersytetem krakowskim połączonego przez J. Sołtykowicza N. N. W. W. F. i OO. PP. Doktora Pomienionego Towarzystwa, Członka czyn. czytana". Tym razem z Roczników Towarzystwa dla powszechniejszej wygody czytelników zebrana i nakładem autora do druku podana. W Krakowie. 1828. Str. 312.

nam najszlachetniejszych ludzi, może się kiedykolwiek urzeczywistnić w społeczeństwie zalkoholizowanem?

Dobro własne człowieka przywalone błędami i bałamuctwami, czyż może się kiedykolwiek wyswobodzić, jeżeli będzie coraz szczelniej opancerzone skorupą egoizmu, narastającą pod wpływem alkoholu w tempie przyśpieszonem?

A zwrot do prawodawców, czyż nie jest aktualny? czy nie powinna opinja społeczna domagać się od nich, by powodowani troską o p r a w d ę i p r a w o, zajęli się ustawodawstwem przeciwalkoholowem, które o ile byłoby należycie wykonywane, mogłoby wielkie usługi przynieść naszej sprawie, a tem samem odrodzić tak, by nas źli sąsiedzi „podkopać nie potrafili“.

I czyż nie przeżywamy obecnie odpowiedniej pory do zastanowienia się sumiennego, jakie mają być nasze obyczaje, na jakich podwalinach mamy odbudowywać walącą się w gruzy strukturę starego świata. Musimy stale pamiętać, że żyjemy w okresie bodaj niebywałego kataklizmu wszechświatowego, że tu trzeba napięcia wszystkich sił, zmobilizowania wszystkich rezerw moralnych i umysłowych, tkwiących bezczynnie w całem społeczeństwie, do pracy, do wytężonego, celowego wysiłku. Tu chodzi o zorganizowanie pogotowia ze wszystkich warstw społecznych, a raczej musi nastąpić takie zespolenie wszystkich ludzi dobrej woli, by warstw nie było, by powstała zbiorowość jedna, zorganizowana i silna w imię haseł, jednoczących wszystkich, w imię pracy dla dobra powszechnego. W tak pojętych zadaniach na przyszłość najbliższą, na dzień dzisiejszy, walka z alkoholizmem, ze względów społecznych, jest równie podstawową, jak walka z analfabetyzmem. Nie może pobierać oświaty ten, kto nie umie czytać i pisać, nie można zrealizować żadnego planu istotnej odbudowy strukturalnej społeczeństwa, dopóki się nie rozpocznie energicznej, stanowczej walki z alkoholizmem, która musi wejść do programu wszystkich ugrupowań społecznych, oświatowych i kulturalnych, pragnących coś pozytywnego zdziałać, a nie tylko tumanić siebie i innych pięknemi hasłami postępu. I to jest maksymalistyczny program działaczy przeciwalkoholowych — owo wnikanie we wszystkie ośrodki życia, zaszczepianie każdemu człowiekowi, każdemu pracownikowi społecznemu przykazania abstynenckiego, nakazu hodowania w samym sobie zdolności i sił dla dobra własnego i zbiorowego.

Cieszymy się, że człowiek o tak rozległej kulturze umysłowej, jak Sołtykowicz, zajął zdecydowanie wrogie stanowisko względem propinacji i pijaństwa. Bardzo często spotykamy u ludzi ujmujących szeroko, demokratycznie i humanitarnie zagadnienia ustrojowo-społeczne, wrogie ustosunkowanie się do alkoholizmu. Dając w „Trzeźwości“ obraz niektórych dziedzin naszego życia z przeszłości, pragnę nawiązać kontakt z dawnemi laty, pragnę wykazać łączność współczesnego ruchu przeciwalkoholowego z żywotnemi, demokratycznemi kierunkami myśli, zmierzającemi do odrodzenia — pragnę stale udawadniać ideologiczne podłoże walki z alkoholizmem, może aż do znudzenia wyjaśniać jedną i tę samą prawdę, żeśmy niestrudzeni obrońcy c z ł o w i e k a, miłośnicy życia i jego bogactwa, tak jak do znudzenia słyszymy zarzuty, żeśmy śmieszni i ciaśni doktrynerzy.

Wacław Aleksander Maciejowski (1793—1883), wielki erudyta,

głęboki znawca historji prawodawstw słowiańskich, oraz naszych dziejów w pracy swej „Polska pod względem obyczajów i zwyczajów“ [1]), przytacza szereg opisów samego zwyczaju picia, które są już nam przeważnie dobrze znane i nad któremi dłużej nie będę się zatrzymywać, a zwrócę jedynie uwagę na pewne spostrzeżenia i myśli, uwypuklające indywidualny stosunek autora do spraw przezemnie poruszanych.

Otóż znamienną jest cytata z przedmowy do galicyjskich pieśni ludowych Wacława z Oleska, na którą Maciejowski pisze, że się całkowicie zgadza. Brzmi ona:

„Historja nasza jest tylko patologją ludu, lub raczej patologją głowy jego, że o fizjologji, o zdrowem życiu narodu ledwie mamy wyobrażenie“. „Gminu pożywienia nie opisali kronikarze, powiedzieli to tylko, że on więcej pił niż jadł“. „Obchodzono się z gminem, jak z bydlętami, temi samemi, co tamte, sposobami zachęcano go do pracy, — pilnować musiano, gdy co robił, bo inaczej próżnował, posłuszeństwo i pokorę za największą poczytano mu zaletę, od uczęstnictwa z dworską czeladzią wykluczano go, wszystko, co miał, a szczególniej pieniądze, zabierano mu, a nabywając chłopa, podobnież go jak bydle oceniano. Ucisk i nędza stopniowo upadlała tych ludzi, aż wreszcie upodliła zupełnie“. „Chłop, wstawszy rano, popijał wódkę, albo napijał się na śniadanie ciepłego piwa z solą, poczem zajadał kluski, zwłaszcza jeżeli go czekała młocka“. „Nie maczał chłop gęby w małmazyi, dosyć miał na przepalonej gorzałce, lub na garncu piwa, którym jeśli się chciał uraczyć, kazał je lecić. Czasem nawet osełkę zastawiał u karczmarza, kiedy nie było czem u niego zapłacić. Zamiast strawić dzień niedzielny na chwale i na służbie bożej, poszedłszy chłop do karczmy, tak wiele przepijał w tym dniu z towarzyszami swoimi, że, pijąc pomiernie przy obiedzie i przy wieczerzy, miałby był za to na cały tydzień dosyć trunku“. „Pijaństwo najwięcej nas upodlało. Krotofilnie odmalował pijanicę Józef Wereszczyński, koloru na to malowidło pożyczywszy od Mikołaja Reja, niepospolitego pijaka. Z tego szkaradnego opilstwa (mówi on) przychodzić musi do zdrowia nie sposobnego: bo w krótkim czasie jeno patrz, aliści mu też leją syropy w gardło, więc mu trą brzuch, jako szkapie na robaki; alić na łbie rogi, guzy, jak u kozy, aliści się twarz świeci, jako karmazyn, a nos jako perełkami osadził, aliści w gardle chrapie, jako szkapie, kiedy się ku górze zaciągnie. Pójdziem do mieszkania jego, aliści w niem nie masz nic, na ścianie kresek siele, na grzbiecie nie wiele, bo się wszystko przez gardło przelało. Przyjdzie też potrzeba jaka, dopiero wiercieć sobą będzie, ano trudno, kiedy się nie masz do czego rzucić. Ano chodzi jakoby go teraz garncarz z gliny ulepił, nie wie, co ma rzec z sobą. Drugi, nawet nigdy nie wytrzeźwieje, nie wie kiedy dzień, kiedy noc, nie zmienia bielizny, w jednej tylko hulla opończy, po ulicy chodząc“.

Maciejowski więc ze swych rozległych i długoletnich studjów nad obyczajami naszemi wyniósł przekonanie, że chłop nasz uciemiężony upi-

---

[1]) „Polska aż do pierwszej połowy XVII w. pod względem obyczajów i zwyczajów w czterech częściach opisana“ przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego. Petersburg. Warszawa. 1842. Tom I. Str. XXVI+419. Tom II. 468. Tom III. 383. Tom IV, 470.

jał się bardzo, a szlachta obyczajem pijackim przeniknęła całe swe życie domowe i publiczne.

Jednak te głosy dawne i późniejsze były bezsilne i nie miały wpływu na społeczeństwo. Jest to objaw zupełnie zrozumiały, gdyż każda reforma ma do zwalczenia zasiedziałego, silnego wroga, jakim jest obyczaj, wsiąkający w krew przez długie okresy czasu. Lelewel powiedział, że „nie zawsze dość łatwo i najczystsze prawdy do wziętości przychodzą; przesądy z najwyższą zaciętością stają im na zawadzie. Długiego czasu, częstego prawd powtarzania potrzeba, nim staną na równi z przeciwnym sobie oddziaływaczem“ [1]).

Zmienienie obyczaju picia towarzyskiego, będącego bardzo często początkiem rozpicia się większości ludzi, jest sprawą powolnego narastania nowego obyczaju trzeźwego i sięga przebudową swą w głąb całej nowo tworzącej się struktury psychicznej człowieka. Jeżeli zastanowimy się nad dziejami obyczajowego picia u nas w Polsce i nad głosami tych ludzi, którzy od dawna zwracali uwagę na szkodliwość jego, to możemy wysnuć ciekawy wniosek. Oto ci, którzy występowali przeciwko pijaństwu, to byli ludzie aktywni, ludzie odnoszący się do życia jako do materjału, z którego w pewnych granicach można uczynić rzeczywistość lepszą od tej, która jest. Społeczeństwo pijące należało do obozu hołdującego zasadzie: „jakoś to będzie‘‘; cechowało je bierność, krótkowzroczność, ciemnota, oportunizm, ciasnota, brak jakichkolwiek zainteresowań, czy to intelektualnych, czy społecznych. I na tym to właśnie podłożu dosięga potwornych wymiarów e g o i z m ludzki, będący źródłem najtragiczniejszych zbrodni czy to indywidualnych, czy też zbiorowych. Egoizm na pożywce alkoholowej buja swobodnie, przesłania człowiekowi oczy na wszystko, co lepsze i szlachetniejsze, wyzwala całą jego pierwotną naturę, niszcząc późniejsze słabsze nawarstwienia psychiki.

Rzecz prosta, nie chcąc być źle zrozumianą, zaznaczam, że to wszystko odnosi się do szarej, przeciętnej, ogromnej masy ludzkiej — sprawa alkoholizmu wybitnych, utalentowanych i genjalnych jednostek jest zagadnieniem zupełnie odrębnem, którego obecnie nie poruszam.

Podkreślam tylko, że owa szara masa społeczeństwa pijąca i używająca bezmyślnie życia, bynajmiej nie składa się z jednostek przeznaczonych do biernej, nic nie znaczącej egzystencji — przeciwnie; i to jest właśnie najtragiczniejsze — że alkohol czyni z nich owe pionki bezbarwne, owe automaty szamocące się jedynie w raz puszczonym kierunku, owe bezwolne figurynki tańczące w takt raz nakręconej melodji. Alkohol zabija osobowość, zabija indywidualizm, bo upośledza prężność myślową i niszczy wolę, przytępia mózg, ten najcudniejszy i najsubtelniejszy aparat istotnej potęgi człowieka.

Ruch przeciwalkoholowy, będący faktycznie niczem innem, jak tylko dążeniem do wyzwolenia wszystkich sił dodatnich i twórczych w człowieku, jest apoteozą życia, jego radości, jego pełni, powinien się więc stać przez to samo podstawą wszystkich poczynań, zmierzających do wybrnięcia z potwornego chaosu kryzysowego, w którym toniemy. Trzeba wierzyć głęboko w człowieka, w ukryte możliwości jego indywidualizmu.

---

[1]) „Polska wieków średnich, czyli Joachima Lelewela w dziejach narodowych polskich postrzeżenia“. Tom II. Poznań, 1856. Str. XXV+495.

aby walczyć z alkoholizmem, trzeba jednocześnie kochać ideję postępu, trzeba w sobie czuć ów rytm stałych wielkich przeobrażeń, dokonywujących się na przestrzeni globu ziemskiego we wszelkich dziedzinach twórczości ludzkiej i trzeba tę twórczość ukochać całym żarem swego serca. I dlatego to działacze abstynenccy mają w sobie tyle ognia, tyle zapału, a jednocześnie tyle wytrwałości, tyle uporu twardego, nieustępliwego. Pali się w nich wiara w najszlachetniejsze ideały ludzkości i wielka miłość dla tego szarego, zmęczonego człowieka. Walka z alkoholizmem, to walka o szarego człowieka, o miljony ludzi bez twarzy, o wydobycie spod maski zewnętrznej prawdziwego oblicza osobowości i wskazania jej drogi rozwojowej. Niema może boleśniejszego nieporozumienia jak między walczącymi z alkoholizmem, a społeczeństwem, które w większości ich nie rozumie i często zarzuca im ciasne doktrynerstwo, maksymalizm wymagań i t. d. A faktycznie abstynenci nie narzucają nikomu żadnych wiar, żadnych przekonań, oni tylko przygotowują grunt w zwykłym człowieku, by on mógł swobodnie dla siebie szukać swej własnej wiary, swej własnej ścieżki, by nie chodził cudzemi drogami i nie gubił najcenniejszych darów, skrytych w samym sobie. Fanatyzm abstynentów, to fanatyzm nikogo nie krzywdzący, bo pragnie on obalić mury więzienia, gdzie przebywa obecnie człowiek w łańcuchach, których ogniwa sam kuł przez długie wieki niewoli alkoholowej. Fanatyzm abstynentów, to głęboko odczuty tragizm zmarnowanego istnienia, to braterskie wyciągnienie dłoni do każdego, kto ginie z wezwaniem, by ratował siebie póki jeszcze czas; fanatyzm abstynentów, to miłość dla kraju, by miljony obywateli zdrowych, rozumnych, myślących, etycznych mogły realizować najwyższe ideały i wydajną, codzienną pracą budować państwo silne i wysoce kulturalne. Fanatyzm ich — to wreszcie protest przeciwko marnotrawieniu żyć ludzkich, sił indywidualnych i zbiorowych, ginących nieprodukcyjnie, zubożających kraj i cofających go wstecz na drodze ogólnego, światowego postępu; fanatyzm ten kieruje drogę duchom, ukazującym nowe perspektywy wielkich przeznaczeń człowieka, użyźnia grunt pod zasiew najdoskonalszych form współżycia ludzkiego, przygotowuje istotnie n o w ą społeczność. Jest to fanatyzm sprawy niewątpliwie dobrej, bo nie powoduje krzywdy niczyjej — śladami jego kroczy, radość, uśmiech i dobro. Tak pojętym fanatyzmem, będącym, jak widzimy, szerokiem ujęciem życiowych możliwości jednostek i narodów, różnią się działacze abstynenccy od pijącego i używającego społeczeństwa.

Zwolennicy picia, to w istocie swej pesymiści zatwardziali. Jest, rzecz prosta, wśród nich przebogata galerja odmian psychologicznych, ale u podstawy ich ustosunkowania się do człowieka i do życia jest pesymizm, jest zgoda na wegetowanie w tem, co się wiekami utarło, brak odwagi przeciwstawienia się większości, narażenia się na śmieszność. Nasi pisarze z dawnych czasów, którzy jeszcze przecież nie znali działania alkoholu na mózg, ani na system nerwowy człowieka, a jednak zaobserwowali słusznie, że pijaństwo zdemoralizowało chłopów, hodując w nich wady, które miały jakoby być przeszkodą do uwolnienia ich z poddaństwa. Demoralizowało ono również i szlachtę w sposób niemniejszy i nie mniej groźny. Ale wołali jednocześnie, że zniesienie karczem odmieni naturę chłopa. I nie mylili się. Trzeźwa jednostka da sobie radę, nie

zginie, zbuduje życie społeczne i indywidualne według nakazów dobra i piękna. Nie może tylko być jednostką osamotnioną,—takich jednostek ma być legjon cały, zwarty, zorganizowany. Rozpocznie on prace naprawdę wielkie, istotnie reformatorskie. Obecna nasza działalność przeciwalkoholowa, to szara, żmudna robota u podstaw, to stawianie pierwszych cegiełek, na których to armja młodych wzniesie nową polską rzyczywistość, nicią tradycji związaną z imionami najszlachetniejszych naszych ludzi, którzy w mrokach odległych wieków śnili o niej swój sen złoty.

(d. c. n.) *Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.*

JEJ UŚMIECH...

Kubicki znowu miał swój „zły dzień“. Od szóstej wieczorem powracały ataki owego dręczącego niepokoju. Drażniło wszystko: — głośne zmywanie statków w kuchni, natarczywość telefonu, niestarty kurz na biurku... — Neurastenja, — tak orzekł profesor neurolog, — niech pan, broń Boże, nie pije.

— Niech nie pije, — roześmiał się z goryczą. — A co mam u djabła, robić? — Chodził po pokojach i mruczał do siebie. Niepokój wypełniał powoli klatkę piersiową, niby duszący nadmiar powietrza, wsączał się do naczyń krwionośnych, rozsadzał żyły, wpełzał do serca. Nawet mózg nie był wolny od tego dręczącego stanu: — sypały się, niby sadze, niby popioły na miękką, szarą masę i, rzecz dziwna, uciskały, jak coś materjalnego. Zwłaszcza tył głowy.

Podszedł do gabinetowego biurka-baru i otworzył drzwiczki. Wyjął butelkę, spojrzał pod światło, sięgnął po kieliszek: — nie, psiakrew! — nie będę pił... — Zamknął wszystko spowrotem i zaczął znowu zwykły, nerwowy spacer po pokojach. Od czasu do czasu łapał się za głowę i oglądał się dokoła bezradnie. Uczucie niepokoju wzmogło się i do niego przyłączyło się inne, nowe: — ssącej pustki. Gdzieś w okolicach serca i w krtani. Właściwie w przełyku. Kubicki przełknął z trudem ślinę, kopnął po drodze krzesło i zasiadł w najwyższem zdenerwowaniu do biurka. Jak zwykle, leżał czysty, delikatny papier i tkwiły usłużnie w srebrnym puharku wieczne pióra. Przyjaciele pamiętali o nim; każdy uważał za swój obowiązek ofiarować mu na imieniny „coś“ do pisania, albo do palenia. Pełno było w mieszkaniu tych kosztownych i wdzięcznych drobiazgów. Dzisiaj Kubickiego irytowało wszystko, nawet te artystyczne drobiazgi, których potrzebę w życiu codziennem odczuwał tak ostro, nawet dowody sympatji, płynące z martwych przedmiotów. Znowu spojrzał na papier. Wziął jedno z piór i szybko pisał:

Słońce świeci dziś, jak blaszane,
Błękit zwisa tanim batystem,
Kwiaty w oknie są złe i szklane
I nie można uporać się z listem.

Słowa, w których żarzył się rubin,
Tak pożółkły, jak zeschły jaśmin.

Na obrazie biały cherubin
Mruga sennie: — odpocznij, zaśnij!...

Ale jakże tu zasnąć? — wszak dzień jest!
Słońce świeci, wycięte z blachy...
Jak uciszyć szept neurastenji,
Jak odpędzić upiory strachu?!...

Drażni wszystko: — że czysty papier,
Ze do pióra włos się przylepił.
Pójść przed siebie, w czapce na bakier! —
Wszędzie będzie, niż w domu lepiej...

Żeby chociaż śnieg się łabędził,
Żeby chociaż na polach czysto...

W drzwiach zgrzytnął dzwonek, zachrypiał, zachłysnął się i zaraz zadźwięczał wysoką nutą, ostrą i przejmującą. Służąca poczłapała do drzwi, otworzyła i zaraz posypał się grad półgłosem wymawianych powitań:

— Pani przyszła, — oznajmiła zupełnie niepotrzebnie, gdyż żona wchodziła już do gabinetu:

— Ależ u ciebie nadymione. Uwędzisz się...

Powstał na powitanie i zrobił kilka kroków przed siebie.

— Każę przewietrzyć. Pozwól do jadalnego. Herbata, czy kawa? — zapytał.

— Dziękuję ci. Przyszłam się z tobą rozmówić. — Spojrzała wymownie w stronę służącej.

— Proszę odejść, — wydał krótkie polecenie. Głos miał ze wzruszenia zachrypnięty, nieprzyjemny.

Zostali sami. Pani zajęła miejsce na kanapce, opuściła białe ręce i delikatne powieki:

— W sprawie rozwodu, — powiedziała cicho, jakby się bała tego słowa.

— Ach, tak? — zagryzł wargi.

— Zgódź się!...

— Cóż, muszę...

— Nie miej do mnie żalu; ja także muszę prosić cię o to...

Nie odpowiedział. Nie rozumiał tego musu. Od trzech lat walczył o nią i z nią. Zmęczony był. Prawie chory. Przez nią zaczął pić. Przez nią zaniedbywał się w pracy. Ostatecznie wyczerpał wszelkie środki walki.

— Więc? — spojrzała na niego z niepokojem.

— Mam coś podpisać, pójść do adwokata?

— Nie. — Mówiła ciągle prawie szeptem. — Ja wytaczam sprawę, ja podpisuję pełnomocnictwo. Ty tylko staniesz w sądzie i...

— Rozumiem. — Męczył się okropnie w tej chwili. — powiedz mi, czy tobie nic, nic zupełnie nie żal?

— Poco ci to?

— Chciałbym wiedzieć...

— Nie zmuszaj mnie do zbytniej szczerości... — znowu opuściła powieki, usta skrzywiły się w ledwo dostrzegalnym grymasie niesmaku.

Zauważył to i gorycz zalała mu serce. Oddał tej kobiecie, co miał w sobie najlepszego. Zamieniał talent na codzienne, upakarzające „wypisywanie“ się dla chleba... Znosił upokorzenia. Wszystko to teraz grzebał ów grymas niesmaku doszczętnie. To była czerwona pieczęć jej ust na żywej przeszłości. — Ust? — zdumiał się — raczej pomadki... — Teraz on z kolei doznał nagłego uczucia wstrętu:

— Dobrze, zrobię, co trzeba.

— Dziękuję ci, — wstała i wyciągnęła wąską dłoń.

Zatrzymał tę rękę w swojej:

— Czy namyśliłaś się dobrze? Bo ja... bo wiedz, że potem już...

— Och, zostaw! — wyrwała mu rękę brutalnie. — Komedjant!

Kubicki poczerwieniał i przygryzł wargi. Był moment, że chciał ją za tę niezasłużoną obelgę uderzyć. — Jeszcze tego brakowało!... — mruknął do siebie półgłosem.

Ona nie zrozumiała. Myślała, że te słowa odnoszą się do zniewagi, którą mu rzuciła bez zastanowienia. Jak zawsze, po niewczasie pożałowała:

— Przebacz, nie chciałam... To tak... samo...

— Mylisz się — powiedział twardo, — pomyślałem głośno, że jeszcze tego brakowało, żebym się zniżył do chamstwa... Przez ciebie... — Patrzał na nią ostro i bez cienia współczucia. — Idź już, idź...

— Dowidzenia.

— Idź już! Drażnisz mnie...

— A ty mnie, — rzuciła mu złośliwie. Nie miała za grosz subtelności ta ładna, bezmyślna kobieta. — Dowidzenia!

Został sam. Służąca weszła po chwili i zaczęła ze zwykłą poufałością starszych kobiet zrzędzić:

— Nie mógł to pan panią uprosić, zatrzymać? Taka druga okazja nie zdarzy się...

— Wynosić mi się do wszystkich djabłów! — krzyknął nagle. Służąca, przerażona, odskoczyła pod ścianę. — Znowuj go wzięło, cholerę, — pewno chlał. — Kubicki podszedł blisko: — jeżeli Antoniowa jeszcze raz się ośmieli, to...

— O, Jezu Nazareński! — już nigdy! — Cofała się tyłem, bo oczy miał nieprzytomne i pianę na ustach. Szczęśliwie wydostała się z hallu, stamtąd do małego korytarzyka i do kuchni.

Kubicki ubierał się gwałtownie. Mocno zatrzasnął drzwi. Biegł ulicami miasta, nie patrząc. W pewnem miejscu, jak pies, idący za węchem, przystanął i podszedł do drzwi obrotowych. Pchnął je i wszedł w wirujący ruch.

*

*   *

Pił znowu całemi tygodniami. Spoczątku w wytwornych restauracjach, z zachowaniem pewnego umiaru i pozorów. Potem po barach, dusznych i zadymionych, pełnych pijackiej czkawki, wybuchających co chwila kłótni, śmiechów napół obłąkanych, sporów niepoczytalnych. Wreszcie, jakby mszcząc się na samym sobie za ową złą miłość, zaczął coraz częściej włóczyć się po spelunkach Starego Miasta, Woli, Powiśla. W swojem eleganckiem palcie, choć tu i ówdzie poplamionem, w getrach i z laską z dro-

giego drzewa, chwytał jakgdyby „śmierć za wąsy“, włażąc w oczy knajakom zapowietrzonym, grandziarzom, skorym do noża i szpadryny, kombinatorom z pod ciemnej gwiazdy i kanciarzom. Cała ta ferajna kryminalna patrzała na tego, wiecznie pijanego, panka, jak na swoją ofiarę. Godzinami głowili się, co może być za cholera? Hint, czy frajer, czy może w móżdżek kopnięty łamaga? Naciągali go niemiłosiernie, wyrzucał z niemi ostatnie pieniądze, potem długo czkał na poplamionym i pozalewanym stole. Nieraz do białego rana. Któregoś dnia ogarnęła i jego, wraz z innymi obława. W komisarjacie poczekano spokojnie na wytrzeźwienie „eleganta“ i dopiero, kiedy po wielu godzinach spojrzał przytomnie, zaczął badanie sam komisarz. Usłyszawszy znane nazwisko, potwierdzone zawodową legitymacją, komisarz przerwał badanie i, co ważniejsze, miał tyle taktu, że nie pytając o przyczyny tak dziwacznego trybu życia, osobiście odwiózł go do domu. Tam dowiedział się od Antoniowej, że „pana znowuj naszło, że nocami włóczy się, a pół dnia śpi, zato drugie pół dnia — pisze. Co do „pieniądzów“, to ona, Antoniowa, nie może narzekać: — owszem, są... Przysyłają nawet i pocztą i przez woźnych... Kto przysyła? — Ano z redakcjów różnych i także od panów księgarzów...

— Pan sprawdza rachunki? — zainteresował się komisarz.

— żeby sprawdzał, to rzetelnie powiedzieć nie mogę. Jak trzeźwy, to nawet zapisze w grubej książce, o totej, — pokazała palcem na stolik,— ale jak pałę zaleje, to kto go tam wie?... Ona może tylko na krzyż przysięgać, że grosza panowego broń Boże!...

Komisarz wzruszył ramionami: — co właściwie może tu dopomóc? Nie znał nikogo ze znajomych pisarza, ani z rodziny. Zresztą kto tu pomoże, skoro sam Kubicki jest narazie zupełnie poczytalny i robi, co chce. Pożegnał się i poszedł.

Kubicki siedział w gabinecie w tępym spokoju. Bezmyślnie, niemal, jak automat zjadł obiad. Potem zasnął i spał do wieczora. Wieczorem zawołał o palto i kapelusz:

— O, Jezu Nazareński!... — zaczęła płaczliwie Antoniowa. — Mógłby pan mieć zlitowanie nade mną, jak już nie nad sobą.

— A co Antoniowej jest?

— Kolka me taka spiera, że strach. A do chorej kasy nie mogę, bo pan ciągiem poza domem, albo śpi...

Patrzyła na niego chytrze, czy się przejął, ocierając głośno nos w pasiasty fartuch.

— Dobrze. Zostanę.

Usiadł przy biurku i zamyślił się ciężko. Jeszcze miał w mózgu pijackie opary, owe nagłe, radosne podniecenia, owe utraty przytomności, bełkot sparaliżowanego alkoholem języka, wrzawę dusznych knajp i odgłosy bijatyk. Stany półświadomości, kiedy świat ni stąd ni zowąd zdawał się cudownie piękny, a życie bajecznie łatwe, albo też, dla odmiany, wszystko dokoła było godne pogardy, do gardła podpełzała rozpacz, a życie było przekleństwem, pułapką bez wyjścia, białem piekłem podłej wódki... Dojrzał w skrócie setki twarzy zwyrodniałych, pijackich, białek przekrwionych, warg sinych i opuchłych. Wstręt nim potrząsnął, jak pies szczenięciem. Wstał i z ogromnem napięciem woli coś ważył. Czoło przecięła pionowa brózda, oczy twardo wbiły się w sobie wiadome zjawy. Machi-

nalnie grzebał w papierach na biurku. Czerwony zeszyt z wierszami zaszeleścił pod palcami. Otworzył:

W mózgu prószy szary popiół snu
Dławi ciężar niedomkniętych powiek;
Pustka syczy, bo czy tam, czy tu
Słów nadmiary treści nie wysłowią...

Boże miłosierny, Boże miłosierny! — jęknął.

— Wszystko jedno, czy ostatkiem tchu
Atom nazwać, czy gwieździste mrowie. —
W mózgu prószy szary popiół snu,
W oczach ciężar niedomkniętych powiek...

Zachwiał się pod rozpaczliwym smutkiem tych słów i już oczami tylko doczytał:

— W mózgu prószy szary popiół snu...
Z jękiem klęski wdół się zwalił człowiek...
Wszystkie słowa — rzężące, bez tchu,
Łez niemocą zawisły u powiek...

Oderwał się siłą woli od biurka. Strzępy tej woli starczyłyby jednak dziesięciu ludziom. Kiedy był trzeźwy. A teraz, dzięki nocy, spędzonej w komisarjacie, był trzeźwy. Rozebrał się i zasnął natychmiast snem pustym, zwierzęcym bez widzeń i snów.

*

* *

I znowu trzy tygodnie odmienne od tamtych. Rana zapiekła się, pokryła się czarnym skrzepem niepamięci. Starał się o niej nie myśleć, o tej swojej „żonie". Przypomniała mu się sama, a raczej przypomniał mu ją jej adwokat. W słowach oficjalnie uprzejmych, prawniczo sztywnych i zwięzłych zawiadamiał o terminie rozprawy. Kubicki uśmiechnął się: — raz to się przynajmniej skończy.

Z piciem urwało się równie nagle, jak się zaczęło. Twardniała w nim ambicja niemal tak samo chorobliwa, jak stany uczuciowe. Poprostu nie da z siebie widowiska! Jednocześnie stwierdzał dwa stany psychiczne. Nawykły od lat do samoobserwacji, zdumiewał się szczerze i nie rozumiał: — pierwszy, to był stan zupełnego zobojętnienia dla żony. Ani nienawiść, ani nawet niechęć; poprostu — coś... Drugi był dla niego jeszcze mniej możliwym do zanalizowania: — pomimo zupełnego uspokojenia wewnętrznego, czuł nieprzeparty pociąg do wódki. Trucizna weszła w krew, — pomyślał i walczył z tem bohatersko. Straszliwe bóle głowy ustały, czuł się zupełnie dobrze, a jednak łaknienie pijackie zadręczało go stale o jednej i tej samej porze.

Tymczasem nadszedł termin. Wyszedł z roprawy znudzony i zadowolony, że już po wszystkiem. Pani nie „stawiła się". Jej adwokat wyjaśnił tę okoliczność w dyskretnych i pełnych cichego ubolewania słowach,

z których wynikało, że poszarpane przez niezgodne współżycie nerwy jego klijentki, wymagały zupełnego odpoczynku w górach i atmosfery spokoju i beztroski. Kubicki nie wytrzymał i złożył „najmimordzie“, jak nazywano adwokatów w spelunkach, wytworny ukłon.

Tym epizodzikiem zamknął Kubicki tamtą część swojego życia. Przed sobą miał życie nowe. Nie wiedział jeszcze złe, czy dobre, ale napewno zdawał sobie sprawę, że — inne. Ciągle jeszcze zwycięsko zwalczał owo palące łaknienie. Ale jednocześnie, poza pracą, której sobie bynajmniej nie szczędził, zaczął powoli bywać. Podczas jednej z wizyt, na imieninach żony przyjaciela, przedstawiono go jakiejś młodej panience. Nie była ani ładna, ani brzydka. Ale miała dziwny uśmiech, który „zasłaniał“ całą, dość zwykłą, twarzyczkę i sprawiał, że nie widziało się zwykłości, a widziało się jasność tego uśmiechu. Kubicki dość obojętnie rozmawiał, tańczył i bawił dziewczątko, a dziewczątko zupełnie wyraźnie oplatało go spojrzeniem i uśmiechem. Widząc, że poeta nie zwraca na to większej uwagi, panienka nagle gdzieś się zapodziała i równie nagle wypłynęła koło pianina z maleńką książeczką w ręku. Z tym samym jasnym uśmiechem, poza którym nie było nic, prócz radosnego bytowania czystej duszy, nakazała rączką ciszę i zaczęła głębokim, miłym głosem, o pieszczotliwej tonacji czytać:

I niema we mnie ciszy... Została w tym domu,
Na łąkach, które depczesz, w sadzie, w lasach sennych,
Na polach i na wzgórzach...

Kubicki pierwszy raz spojrzał uważnie: — ładnie czyta. I sama jest zupełnie miła... Inna jakaś... — męczył się poszukiwaniem określenia. — Ona jest polna i łąkowa... i ogromnie polska... Jakby zrodzona z uśmiechów tej ziemi... Słuchał uważnie własnych wierszy:

Posłuchaj: — jeśli kiedy wiatr, biegnąc po sadzie,
Melodję żalu pełną na liściach wyszumi,
Wiedz, że to moja dusza na wiatr palce kładzie
I śpiewa szumem w drzewach, bo milczeć nie umie...

Nikt nie bił brawa. Wszyscy byli pod wrażeniem słów, a jeszcze więcej prostej i niesłychanie subtelnej recytacji. Panienka zamknęła książkę, uśmiechnęła się całem słońcem i połową nieba do wszystkich i, ani patrząc na Kubickiego, wyszła z salonu. Nie licząc się z niczem, Kubicki wybiegł za nią.

— Proszę pani!...

— Pan? — udała oburzenie, — wcale nie dla pana czytałam. Poprostu lubię te wiersze.

— Moje wiersze. — Uśmiechnął się.

— Nie. Nasze wiersze. Odkąd je pan ogłosił drukiem, one są nasze.

— To prawda, — przyznał jej rację. Uczuł nagły smutek, jakby teraz dopiero uświadomił sobie utratę czegoś nad wyraz drogiego i jedynego. Czegoś, co było z niego najlepsze. Spojrzał na nią z żalem:

— Przepraszam panią, to nie miało sensu.

— Co?

— Wybieganie za panią. — Skłonił się i chciał odejść.

Przez jasną twarz panienki przebiegł cień, w oczach wahanie:

— Skoro pan już popełnił ten „straszny“ nietakt, może mi pan odpowie na jedno pytanie?

— Nawet na dziesięć.

— Ja narazie zadam jedno, niesłychanie zuchwałe...

— Słucham...

— Do kogo pan pisał te wiersze? — zaczerwieniła się cała, aż po gładko zaczesane, ciemne włosy.

— Pani mi nie uwierzy...

— Jeżeli pan powie prawdę? — zdumiała się prześlicznie. — Jakżeż można nie wierzyć ludziom, mówiącym prawdę?

— O, cudna! — wyrwało mu się samo. Był nią poprostu oczarowany. — Powiem pani świętą prawdę: te wiersze były do mojej tęsknoty. Wie pani, do nieznanej, a bardzo upragnionej dziewczyny. Bardzo mojej, polnej, p o l s k i e j i z duszy i z ciała. Niestety...

— Nie znalazł pan.

— Nie. — Spojrzał jej szczerze i głęboko w oczy.

Spuściła powieki, rzęsy opadły na policzki:

— Chodźmy do salonu, — powiedziała krótko.

Po kolacji tańczył z nią i rozmawiał inaczej. Jeszcze powściągliwie, a już niemal serdecznie. Nie zwierzał się, a jednocześnie, mówiąc tylko o niej i dla niej, zdradzał się mimowoli. Kiedy usłyszał jej imię: — Łucja — zauważył:

— Pani imię ułaskawia, — jest, jak pieszczota.

— Nie trzeba tak mówić.

— Dlaczego?

— Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że pan jest cudownym człowiekiem, a ja prostą, zupełnie prostą dziewczyną?

— Więc cóż z tego, gdyby tak nawet było?

Spojrzała mu w oczy swojem jasnem spojrzeniem:

— To, że nie trzeba mówić słów, które mogą później zaboleć...

Opanował się i przez cały pozostały czas był poprawny, a nawet oficjalny.

— Tak też nie trzeba, — strofowała go łagodnie. — Dlaczego pan jest taki krańcowy? — Albo frak ambasadora, albo średniowieczna lutnia?

— Ano, tak już jest, — przekomarzał się radośnie. Szła mu ta dziewczyna do serca, jak czyste wzruszenie. Odprowadził ją do domu, chociaż była z rodzicami.

— Państwo pozwolą złożyć sobie uszanowanie?

— Ależ naturalnie! — Zarówno papcio, jak i mamusia, grali w dalszych pokojach brydża i dopiero w ostatniej chwili dowiedzieli się, że córkę odprowadza Kubicki. — Prosimy bardzo.

— A pani? — zapytał bez ceremonji, prowokująco.

— Ja także. Chyba to jasne?

— Najbardziej jasne ze wszystkiego, to twoje spojrzenie, — pomyślał Kubicki, całując jej rękę dłużej, niż wypadało.

*

*   *

Czekał tej wizyty z niecierpliwością. Kiedy nadszedł ten dzień, od rana był rozdrażniony i pełen niepokoju. Nie kochał jej, ale już serdecznie lubił. Kto wie, co było niebezpieczniejsze. Zaczął analizować swój stan:

— To jasne, że ona mi się podoba. Ale co z tego? Świeża, czysta...— Nagle parsknął śmiechem: — mało brakuje, żebym uderzył czołem i zaczął się kajać za niepopełnione winy!... Czy niepopełnione? — zasępił się nagle. Pożycie z żoną przewinęło się, jak na taśmie filmowej: — Nie byłem dla niej zupełnie, jak trzeba... kapryśny, nierówny... Tam trzeba było wielkiej cierpliwości i pobłażania, a ja miałem tylko nadmierne wymagania... Czy nadmierne? — zastanawiał się znowu. — Czy istotnie jestem anormalnym, żądając w miłości wszystkiego? Powaga i świętość małżeństwa ma być obrażana przez kompromis z lalkowatą naturą kobiety?

Męczył się temi zagadnieniami i nie znajdywał odpowiedzi. To rozdrażniało go coraz więcej. Poczucie winy wobec byłej żony dręczyło go na zmianę z poczuciem doznanych od niej krzywd. Była lekceważąca, pyszna ze swej niezwykłej urody, niesubtelna, obca. — Obca! — oto co było najgorszego w ich pożyciu, — była między nami niewidzialna ściana, która wzbraniała istotnego duchowego zbliżenia...

Zdenerwowany do najwyższego stopnia zaczął się ubierać. Wychodząc z domu stwierdził, że jest pogoda, że blado świecą nad miastem, oślepione przez neony i lampy, — gwiazdy. Podszedł do taksówki i wyraźnie powiedział adres. Podczas jazdy okropną warszawską maszyną, rozklekotaną i rzucającą niemiłosiernie, zdenerwowanie w nim rosło. Znowu niepokój zaczął wgryzać się w nerwy, wsączać w żyły, rozpierać klatkę piersiową.

Otworzyła mu „młodsza pomocnica domowa“, o gapiowatej twarzyczce. Rozebrał się z palta i wszedł do saloniku obok:

— Jak mam zameldować?

— Kubicki!...

Został sam z ciągle wzrastającem uczuciem niezadowolenia z siebie. Pokoik, w którym oczekiwał, był nad podziw prosty i bezpretensjonalny. Kilka dobrze zbudowanych fotelików czeczotowych, krytych blado-lila atłasem. Małe biureczko z takiego samego drzewa. Dużo pokojowych kwiatów. Na podłodze kilim, projektowany przez Stryjeńską. Poprostu śliczny! Ściany w blado-lila kolorze i dwa niewielkie płótna samego mistrza Chełmońskiego! Na dwuch okrągłych stolikach ładne kryształy czeskie, a na kominku porcelana z Doowr: — para syberyjskich, długowłosych chartów. — Ładnie tu jest i ma to swój klimat, — mruknął.

— Dobry wieczór panu! — obudził go z rozmyślań jej ciepły, niski, a jednocześnie pastelowo-miękki głos.

— Dobry wieczór... — zerwał się i witał ją radośnie. Pod wrażeniem jej oczu głębokich i promiennych i uśmiechu, który ciągle złocistą zasłoną kładł się na twarzy, cały niepokój zniknął, złe uczucia i myśli spłynęły, jak ropa z otwartego wrzodu, a w duszy zapanowała radość.

— Mamusia zaraz nadejdzie, — oznajmiła z egzaltacją. W słowie „mamusia“ zabrzmiał bezmiar miłości.

— Hm... Ja się o to nie gniewam...

— że matuś się trochę spóźnia?

— że jesteśmy we dwoje...

— A cóż nam dwojgu z tego przyjdzie? Zdaje się, że pan nietylko poezją uwodzi... — dodała zuchwale, — ale ze mną tak nie można.

— Jestem żonaty, — skłamał.

— A już. Nam to mówić!

— Co?

— Bo pan był żonaty, a już nie jest! Acha!...

— Skąd takie dokładne informacje o mojej skromnej osobie?

— Widocznie „skromność“ osoby jest jedynie figurą retoryczną, — odcięła się mała.

— Jakaż ona miła, — myślał, — jaka kochana...

— Napisał pan co? — delikatnie przerwała jego ciągle powracające zamyślenie.

— Nic.

— Nic? Dlaczego?

— Dlaczego i dlaczego... Na to pani nie potrafię odpowiedzieć.

Zkolei zamyśliła się sama prześlicznie:

— Ja żebym mogła pisać wiersze, to codzień bym pracowała.

— No!

— Naturalnie nie pisałabym codziennie nowego wiersza, ale bym cyzelowała, wypieszczała, rzeźbiła każde słowo. A pan?

— Pod pani wpływem zacznę robić to samo — zażartował.

— Serjo? — jaskółcze skrzydełka brewek pojechały do góry. — E, pan sobie ze mnie żartuje.

Weszła matka i Kubicki, zmuszony do powitania, nie zdążył odpowiedzieć, że najchętniej i bez żadnych żartów cyzelowałby, rzeźbił i wypieszczał jej słoneczną duszę, pachnącą, jak wszystkie łąki polskie. — Powiem jej to kiedyindziej, — przyrzekł sobie solennie, odpowiadając matce na stereotypowe pytania. Matka Łucji była pełna łagodnej dobroci, a w uśmiechu miała tę samą pogodę. Nie była jeszcze wcale stara. Ale poważnie, nawet nieco surowo patrzały trochę skośne, jak u córki, oczy.

— Mąż musiał wyjechać do majątku, — wyjaśniła pani, — kazał pana jaknajserdeczniej przeprosić. Administrator przysłał alarmującą depeszę

— Poznam bliżej szanownego małżonka przy innej sposobności... I zaraz zmienił rozmowę, gdyż wyczuł, że sprawiła jej przykrość wzmianka o depeszy i administratorze. — Zapewne kłopoty materjalne?—może sekwestrator?... ucieszył się niegodziwie.—Ziemiaństwo teraz ma pustki w kaletach,—rozważał i był w danym wypadku rad, bo wstrętną była mu myśl nawet, że „zakochał“ się w majątku. Spojrzał na panienkę. Siedziała cichutko, jak trusia, oblana rumieńcem. Jej także wzmianka o nagłym wyjeździe ojca sprawiła przykrość i widać było, że gryzie się nietylko tem, ale również niemożnością opanowania tego uczucia.

Rozpoczął umyślnie wesołe opowiadanie o własnych przeżyciach. Miał dar mowy, równy darowi pióra. Opowiadał o swoich początkach, o niesłychanej wyrozumiałości ówczesnych redaktorów, którzy łaskawie raczyli drukować jego „idjotyzmy“. Potem kreślił żywo i umiejętnie sylwetki znanych kolegów. Przytem masa anegdot. Panie ożywiły się i głośnym śmiechem aprobowały miłe wysiłki bawienia. Kiedy wreszcie opowiedział świeżą historję, jak to „redaktor“ nowego pisemka zgłosił się do słynnego pisarza o nowelę, a nie mając pieniędzy na zapłacenie, zwrócił

rękopis, jako „nienadający się, niestety, do jego „pisma“, — panie były zupełnie oczarowane:

— Mamy róże na drodze życia, ale mamy i ciernie, — wyjaśnił. Teraz coraz mniej redaktorów, a coraz więcej handlarzy słowem.

Wstał, żeby się pożegnać.

— Ale pan o nas nie zapomni?

— Napewno nie! — spojrzał ubawiony na pannę. — Zakochana chyba? — stwierdził w głębi duszy. Panienka istotnie patrzała w niego, jak w obraz. — Ja zapewne tak samo gapię się na nią? — kontrolował z nałogu swój stan.

— Pan jest bardzo, bardzo miły!... — usłyszał na ostatnie pożegnanie.

W kilka tygodni później otrzymał telefon. Dzwonił ojciec Łusi. Zapraszał na skromną kolację: — będzie kilka osób z pańskiego świata, — zachęcił.

Kubicki poszedł. Znowu na jej widok opłynęło go ciepłe wzruszenie. Jakby powiew wiosennego wiatru od lasu... Od tamtego wytrzeźwienia w komisarjacie nie pił, ale zato był pijany miłością. Kochał ją, zdawał sobie z tego zupełnie sprawę.

Nie mogli ze sobą dużo mówić, ale panienka znalazła moment i uprosiła go, żeby powiedział któryś ze swoich ostatnich wierszy.

— Dobrze, — zgodził się bez sztucznego udawania. Było dużo osób ze świata literackiego. Między innymi słynny piosenkarz Staś. Tego nie znosił. Za piosenki głupawe i tanie i za małpią złośliwość. — Będzie znowu małpował, — myślał z niechęcią.

— Prosimy, — przynaglała panienka.

Stanął lekko oparty o biureczko, koło którego siedział:

— Bajka, — zaznaczył półgłosem tytuł.

— Zazdrościsz laurów Lemańskiemu? — wygłupił się piosenkarz.

— Cicho!... — syknął ktoś.

Z gęstwy lasów najgęstszej
Zwierz się leśny wykudłał. —
Twoje usta najświętsze
Wziął za róże u źródła.

Twoje oczy głębokie,
Najwierniejsze, oddane,
Bzów majowych półmrokiem,
Niby mgłą oplątane,

Twoje czoło i włosy
I kolana i stopy
Ubrał w trawy i wrzosy
Zwierz, idący Twym tropem...

Zrobił krótką pauzę. Głos miał mocny i mówił bardzo dobrze. Panna Łucja słuchała, jak wniebowzięta.

A że bajka, więc przecie
Zwierz się leśny przemienił

W konwaljowe zamiecie,
W księżycowe promienie!

— Boże!... — ktoś westchnął.
Kubicki kończył:

Więcej nic już nie powiem,
Nie wyszepcę nic więcej: —
Jaśminowem wezgłowiem
Są mi białe Twe ręce!...

Podziękował za słowa uznania i usiadł koło dziewczyny.
— Tylko tyle? — poskarżyła się Łusia.
— Prosiła pani o ostatni wiersz. Ten jest ostatni.
— Można o coś... — zawahała się.
— Zapytać... — dokończył za nią. — Dla kogo? Czy tak?
— Tak...
— Dla pani...
— Nie...
— Jak Boga... — urwał, bo przecież to były wyraźne oświadczyny.
Uśmiechnęła się cudownie i szeptem:
— Ja także pana bardzo, bardzo kocham... Pan jest bardzo dobry...
— Kochanie! — Jak pani to prosto, po ludzku powiedziała!... — Pochylił się i ucałował ręce. Wszyscy wstawali, gdy gospodarstwo zapraszali do stołu. W ogólnem zamieszaniu szepnął:
— Co w ludzkiej mocy, to zrobię, żeby pani była szczęśliwa...
Przy kolacji siedzieli obok. Oczywista kieliszki. W kilku karafkach mieniła się wódka. Zakrył dłonią swój kieliszek:
— Dziękuję.
— Ależ, panie, to woda! — zachęcał gospodarz.
— Dziękuję, — zasępił się lekko.
— Nawet za moje zdrowie? — odezwała się Łusia. — Proszę. Ja wypiję z panem.
Spojrzała tak serdecznie, że nie mógł się oprzeć. Z głębi duszy wypełzał niepokój i szorstką ręką ściskał serce.
— Właściwie nie powinienem, — bronił się coraz słabiej.
Po tym kieliszku rozwiały się skrupuły. Zapominał o koszmarnych miesiącach, spędzanych w szynkach i spelunkach. Przepijał do wszystkich, nawet do piosenkarza. W pewnej chwili panna pochyliła się nad nim:
— Dosyć!
— Dlaczego? — tchnął na nią pijackim oddechem. — Dlaczego? Sama pani namawiała.
Namawiałam na jeden, dwa...
— Od łyczka do rzemyczka... — zaśpiewał nagle. Był zupełnie pijany. Oczy powlokła mgła. W kącikach ust zebrała się ślina. Kilka osób, podchmielonych również parsknęło głupawym śmiechem.
— Od łyczka do rzeeemyczkaaa! — darł się Kubicki. Panienka nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Miała je pełne łez.
Kubicki wstał z trudem i, chwiejąc się na nogach, szedł do gospodarza:

— Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami!

— Sto lat, sto lat! — piał piosenkarz. Miał mocną głowę, ale czerwona twarz zdradzała, że przeholował.

Dziewczyna, z oczami pełnemi łez, podeszła do Kubickiego:

— Proszę, niech pan się uspokoi. Może przejdziemy do gabinetu ojca? Niech pan się oprze. — Czego pan tu chce? — rzuciła piosenkarzowi, — ja sama go zaprowadzę.

— To musiałaby pani często to robić. Codzień! — rozzuchwalił się piosenkarz. Kuba pije! No!...

— Nieprawda! — hamowała łkanie. Pociągnęła Kubickiego do gabinetu, do głębi duszy zawstydzona za niego. Położyła go na tapczanie, nakryła delikatnie pledem:

— Od rzemyczka do rzemyczka!!! — rzucił Kubicki. — Proszę! — Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam!...

Piosenkarz stał obok i lekko kołysząc się w biodrach, czkał słowami przemyślanemi, pomimo zamroczenia alkoholem:

— Zdaje się, że pani coś czuje... Szkoda... Jego do komisarjatu odwożą. Alko... ho... lik! Pani niepotrzebnie płacze, bo to pijak znany, proszę pppani...

— Proszę stąd wyjść!

— Wychodzę. Tylko przez życzliwość mówię. Alko... ho... lik! Trzeba uuu... wa... żać... No! Wódki — nie!... — groził palcem na mięsistym nosie. Wóddd... ka... tru... tru... tru... cizna!... Tak! — czknął zupełnie wyraźnie. — A Kubicki... drrrań... Pijaczczczyna! — O!

— Od rzemyczka do rzemyczka, — zanucił przez sen poeta.

*

* *

Obudził się z ogromnym bólem głowy. Z trudem przypomniał sobie, gdzie był i co robił. Acha! — Staś-piosenkarz... Odwoził go. Potem Antoniowa coś mamrociła... Ładna historyjka! Wstał, poszedł do łazienki i długo zlewał się zimną i ciepłą wodą. Spojrzał na zegarek: — druga. Zadzwonił:

— Proszę poprosić panienkę.

— Kiedy wyjechała.

— Panienka wyjechała? Dokąd?

— Do majątku.

— Więc panią... — miał już niejasne przeczucia, że stało się coś złego, coś nieodwołalnego.

— Pani z panem tyż pojechali... Podobno stodoła się spaliła, czy co takie, — informowała „młodsza".

Powiesił słuchawkę. Zadzwonił do redakcji, w której pracował piosenkarz.

— Stasiu, co wczoraj było?

— Co miało być, — piał Staś do słuchawki. — Urżnąłeś się w pestkę. Śpiewałeś. Potem odwiozłem ciebie...

— Mówiłem co?

— Jak zawsze, — dużo głupstw.

— Mój drogi!...

— A tak, teraz... mój drogi.

Zastanawiał się, czy powiedzieć, że tamci wyjechali.

— Tam pewnie było ogromne oburzenie? — zapuścił sondę pytania.

— Ja myślę. Tak się strąbić. Starzy byli wściekli. Matka powiedziała...

— Dziękuję ci, dowidzenia...

— Ależ słuchaj... bo oni mieli w rodzinie alkoholika... Teraz się boją, jak ognia... Matka powiedziała, że wolałaby, żebyś nie bywał.

— Ale wódkę podają, — warknął Kubicki. Był wściekły.

Boją się. Wolałaby, żebym nie bywał. Ogarniała go rozpacz i śmiech na przemian. No, spił się, cóż takiego? Ostatecznie mógł poprzestać na kilku kieliszkach... Głupstwo!

Ale minęły tygodnie i ci państwo nie wracali. Tęsknota zaczęła go palić, jak stop metalu, jak syczący spław. Ani słowa stamtąd. Już nie mógł dłużej. Poleciał do ich warszawskiego mieszkania i głupawej młodszej dał 10 złotych.

— Jak tam się jedzie?

— Z dworca wileńskiego o 11-tej. Potem z Fronołowa furmanką będzie cosik 10 kilometrów. Prosto, jak strzelił, — dodała, tylko trzy razy się skręca.

— Dziękuję.

— Ale ja panu po dobroci powiem, że z tego nic... Pani starsza ogromnie zagniewana... I ten pański przyjaciel, to wygadywał, że pan zawsze tak... Panienka do rana płakała...

Zbiegł ze schodów. Do tego doszło, że służba jest „poinformowana", że z tego nic!... Ostatecznie, co go obchodziła głupawa młodsza. Ale tego Stasia, to warto przetrzepać po mordzie. Naturalnie. Obmalował go, obszczekał... Bo skądże ta nagła decyzja wyjazdu? Alkoholik w rodzinie? No, tak... To będzie drugi, psiakrew! — zaklął, nie panując nad sobą.

Drugiego dnia już w pociągu. Na stacyjce Fronołów zgodził ponurego podlasiaka z dwoma końmi. Właśnie spadło trochę śniegu i bieliły się lekko pola, łysiejąc miejscami oziminą, lub gołą ziemią. Zajechał koło trzeciej na folwark. Stamtąd odprawił furmana i piechotą dostał się do dworu. Miejscowe psy: wilk i śliczna wyżlica zrobiły trochę harmideru. Ktoś ze służby wyjrzał, krzyknął: — o, Jezu, gość! i zniknął. Wszedł na ganek i pchnął otwarte o tej porze drzwi. Znalazł się w dużej, sklepionej sieni, pełnej rogów jelenich, dziczych łbów, skór... Nie wiedział, co dalej robić.

Weszła pokojówka.

— Kogo mam zameldować? — wypowiedziała sakramentalną formułkę służby.

Podał bilet wizytowy.

— Proszę do salonu.

Rozglądał się, nie widząc. Poza świadomością, samym tylko nawykiem zmysłu wzroku, mózg notował: — biedermajery... i parę Kossaków, — jest także jeszcze Chełmoński... Gdyby mu kazano w tej chwili powiedzieć coś o tym salonie byłby bezradny.

— Witam pana...

Weszła cicho matka i na chwilę zatrzymała się, dając mu czas do podejścia. Zbliżył się zdecydowanym krokiem i mocno spojrzał prosto w oczy. Miał w spojrzeniu jeszcze resztki męki i gniewu, ale także przebłyski drapieżnej i zwycięskiej woli. Postanowił sobie, że od początku rozmowy nada jej cechy zupełnej szczerości. Nie dopuszczę do towarzyskiej paplaniny, — zdecydował:

— Państwo się mnie nie spodziewali?

— Istotnie, — zakłopotała się, — ale jest nam bardzo miło.

— No, nie sądzę, — pomyślał, — a głośno powiedział: — przyjechałem przeprosić za moje niebywałe zachowanie się wtedy, u państwa... Nie wolno mi pić...

Zaczerwieniła się lekko. Nie umiała kłamać, a tutaj trzeba było, tak sądziła, kłamać. Jednocześnie, wbrew jej woli, ujął ją tą niezwykłą prostotą i bezpośredniością.

— Trochę w tem było naszej winy, — przygryzła wargi.

— No, tak... — wycedził, patrząc ciągle w oczy. — Ale nie tylko chciałem przeprosić. Przyjechałem, — skandował słowa wyraźnie, — żeby prosić o rękę córki.

Podniosła lekko brwi. Uczucie niezadowolenia nie dało się stłumić i odbiło się na tej szczerej twarzy. Przecież jego sposób zachowania się onieśmielał ją. Zastanawiała się, co odpowiedzieć:

— Łusia, zdaje się, nie ma żadnych projektów... w stosunku do pana?...

— Jestem innego zdania.

— Nie wiedziałam,—ochłodła zupełnie i zesztywniała. Ciągle stali.

— Gdybym nie miał słowa pani córki, nie ośmieliłbym się.

— Nie wiedziałam... — powtórzyła zupełnie cierpko. — Łusia jest pełnoletnią, niech panu sama odpowie. — Wskazała ręką fotel: — proszę, niech pan spocznie... Zaraz ją panu przyślę.

Czekał dość długo. W miarę czekania rosła w nim niecierpliwość, gniew i lęk, że ukochana dziewczyna, przerażona jego nałogiem, odmówi nieodwołalnie. — Jak ją przekonać?... męczył się w poszukiwaniu argumentów. W głowie miał chaos i pustkę.

Stanęła cicho i niespodziewanie w drzwiach salonu. Widocznie płakała, bo powieki miała lekko zaczerwienione. Nie podniosła nawet oczu.

— Przyjechałem, bo nie mogłem uwierzyć, żeby pani tak łatwo zapomniała swoje słowa. — Stał przed nią już zupełnie spokojny i zdecydowany walczyć o tę miłość całą potęgą woli.

— Ja nie zapomniałam... proszę, niech pan siada, — wskazała mu miejsce obok. Usiadła sama i podniosła na niego oczy, te oczy pełne złotego muślinu kiedyś, a teraz omglone łzami.

— Pani płacze? Dlaczego?

— Proszę pana, — głos jej się lekko załamał, — wolałabym nigdy z panem o tem nie mówić... Ze względu na pana... Ale pan przyjechał... Pan jest bardzo odważny... Będę szczerą: — ja nie cofam tamtych słów... Jest mi pan bardzo, bardzo... drogi... Ale nie zostanę pańską żoną...

— Dlaczego? — wbił w nią oczy.

— Dlaczego pan mnie dręczy? — odpowiedziała pytaniem.

Kubicki nie mógł się już pohamować. Wybuchnął.

— Tu chodzi o rzeczy naprawdę poważne: — o miłość, szczęście, życie może... Tu nie należy bawić się w niepotrzebne subtelności.

— Robię, jak muszę... Niech pan ma litość nademną...

— Mam więcej... — mruknął, — dlatego ja panią wyręczę w odpowiedzi.

Podniosła na niego udręczone spojrzenie.

— Pani przedemną uciekła, bo zachowałem się, jak zwierzę... Bo powiedziano pani, że jestem nałogowym pijakiem... Bo kanalja, niestety, mój kolega, powiedział pani o moich poniewierkach po knajpach i nocnych wizytach w komisarjacie ... Jednem słowem, — uniósł się, — wydała pani na mnie wyrok zaoczny... Pani i jej rodzice... Bez jednego słowa wyjaśnienia z mojej strony potraktowano mnie, jak psa parszywego!

— Panie!

— Tak! Tu idzie o wielką stawkę... Więc jeżeli przegrać, to ze wszystkiemi atutami w ręku... Panno Łucjo, proszę mi odpowiedzieć wprost: kocha pani?

— Tak.

— I wydaje pani wyrok śmierci na moje i swoje uczucie? Jakiem prawem?

— To nie ja... — zapłakała bezsilnie.

— Nie pani?! Tem gorzej. Kto śmie zabijać człowieka? Tak na zimno? Co pani, co pani rodzice wiedzą o mnie? Doniedawna byłem dla nich znanym poetą, którego chętnie się widzi w domu. Od tamtego wieczoru jestem nałogowcem... Jak większość artystów... I oto pada wyrok. Głupi, okrutny, bezmyślny!... Ja pani teraz powiem, dlaczego piłem...

Zaczerpnął powietrza i po chwili...

— Kochałem swoją żonę... Chyba w tem niema zbrodni, że się kocha żonę? Chciałem jej dać szczęście. To było moim obowiązkiem i mojem prawem. Ale ten obowiązek i to prawo ona mi uniemożliwiła... Walka o prawo uszczęśliwienia wbrew czyjejś woli jest zawsze przegraną... Więc ja przegrałem...

— Boże, Boże...

— Przegrałem! I wtedy zacząłem pić. Źle? Oczywiście, że nie był to mądry sposób leczenia ran. Ale wówczas nie pomyślałem o innym. Kiedy się w człowieku obrywa serce, o tak, psiakrew! — Syknął, — to może się załamać... Piłem... Potem przestałem... Przyszła duma, ambicja wzięła mocno za kark... Przestałem... doktór mi zabronił nawet kieliszka... I ja dotrzymałem słowa danego sobie i doktorowi...

Słuchała go pobladła. Piersi jej rozszerzały się gwałtownie, jakby je rozsadzał spazm. Kilka razy wyciągnęła ręce, jakby błagała o przebaczenie, czy o litość nad sobą.

— Dotrzymałem słowa... I dopiero w waszym domu, pod presją „staropolskiej“ gościnności... upiłem się! Pani sama... — rzucił z wyrzutem i bólem i urwał.

— Niech pan się uspokoi. Ja już wszystko rozumiem...

Ale jego poniósł gniew i żal, więc mówił dalej:

— Naturalnie, rozumowanie było proste, takie arcyludzkie: — wódkę podajemy, do wódki zapraszamy, nawet lekko teroryzujemy, ale to wszystko w granicach przyzwoitości. Tylu ludzi pije „w miarę“, a jeżeli zdarzy się ktoś, dla kogo każda miara jest przebraną, to trzeba go

kopnąć: — pijak! Cudowna moralność, — krzyczał niemal, zapominając o wszelkich zasadach towarzyskich. — Ja wiem więcej: — wyście mieli w rodzinie nieszczęście, więc was opada egoistyczny strach... Ale ani pani, ani rodzice jej nie pomyśleli, że człowiek nigdy nie jest ostatecznym draniem...

Porwał się za włosy, bo zrozumiał, że przeholował.

— Panno Łucjo! — Ja panią kocham!... Mało, — ubóstwiam! Są kobiety stworzone do kochania. Kobiety, które wnoszą w życie mężczyzny spokój, radość, pogodę... Pani jest taką kobietą. I ja, który pół życia szukałem miłości, mam się jej wyrzec dla tego, że nieszczęście pchnęło mnie w drugie nieszczęście? To przecież niema sensu!

Urwał nagle, bo wydało mu się, że przegrał poraz drugi. Panienka milczała. Jakby dla większego udręczenia pamięć ukazała mu z okrutną usłużnością ów moment, kiedy stała koło pianina, w Warszawie i natchnionym głosem mówiła jego wiersze. Była śliczna, miła i płomienna. Rozpacz zawyła w nim, jak oblany wrzątkiem pies.

— Nie mam tu co robić... — skłonił się.

— Dokąd? — podniosła na niego oczy pytające i gniewne: — Dokąd?

— Odchodzę...

— Nie. — Uśmiechnęła się przez łzy. Słoneczna zasłona, lżejsza od drżącego mżenia świtu, rozjaśniła jej twarz. To była złocista, delikatna mgła jasności. — Nie, — powtórzyła, — nie odejdzie pan nigdzie... Chyba... ze mną...

Juljusz Wirski.

Pisałem w styczniu — lutym 1936 r.
Warszawa.

WPŁYW ALKOHOLU NA PORAŻKĘ NAPOLEONA POD WATERLOO.

Do czasu ustalenia przyczyn bezczynności Ney'a, historycy wojskowości dokładnie nie wyjaśnili powodów klęski Napoleona w roku 1815 pod Waterloo, miejscowości odległej o 15 klm. od stolicy Belgji Brukseli.

Ostatnia bitwa tego genjalnego wodza nie posiada nawet specjalnie jej poświęconej pracy, a wiadomości o niej zaczerpnąć można jedynie ogólnikowo z dzieła „Les batailles de Napoleon", pióra gen. Camona.

Przyczyna tej klęski nie została jeszcze przez historyków do roku 1935 zbadana. Opinja co do przegranej Napoleona do czasu „alkoholowego" oświetlenia była różnorodna. Jedni przekonani byli, że decydujący wpływ na porażkę Napoleona miała zdrada marsz. Ludwika Bourmont'a, który, przed poprzedzającą Waterloo bitwą pod Ligny, porzucił Napoleona i przeszedł na stronę nieprzyjaciela.

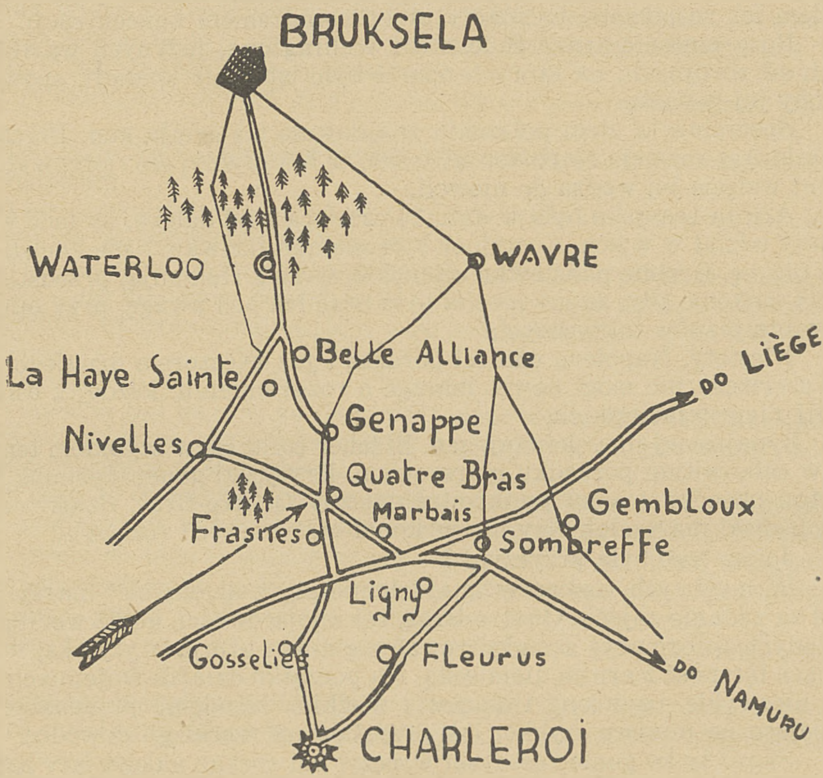
Drudzy byli zdania, że przyczyniła się do przegranej zła pogoda, która wpłynęła na opóźnienie marszu odwodów Napoleońskich. Również twierdzono, że przedwczesne wyruszenie kawalerji francuskiej do ataku, spowodowało jej zdziesiątkowanie, a przez to samo i w ślad za tem idącą klęskę całej armji.

Pewien znów historyk był zdania, że najbardziej do porażki przyczyniła się bezczynność marsz. Emila Grouchy, który ociągał się z marszem na cofających się po porażce pod Ligny Prusaków, ułatwiając im w ten sposób połączenie się z Anglikami.

Podobno na te, iście przysłowiowe, niezdecydowanie marsz. Grouchy wpłynąć miało omyłkowe przeczytanie i zrozumienie depeszy. Otrzymana przez niego od Napoleona depesza brzmiała: „bitwa rozpoczęta".

Grouchy, nie dowidziawszy, przekonany był, że depesza zawierała słowa „bitwa wygrana" i dlatego pogrążył się w tak karygodnym na wojnie bezwładzie i braku zdecydowania.

Wszyscy historycy bitew napoleońskich zgodnie jednak twierdzą,



że plan taktyczny bitwy pod Waterloo był opracowany przez Napoleona, jak zwykle, drobiazgowo i genjalnie i że największą winę ponosi, rozstrzelany następnie po wtórnej restauracji Burbonów, marszałek Michał Ney, zwany przez Napoleona „najdzielniejszym z dzielnych", który na czas nie przybył ze swą armją pod Waterloo, mimo otrzymania wyraźnych i dobitnych rozkazów od cesarza.

Gdy Napoleon był już zesłany na wyspę św. Heleny, kilkakrotnie zastanawiał się nad przyczyną opóźnienia Ney'a, który nie zastosował się do jego rozkazów. Sprawę tę uwięziony Orzeł poruszał kilkakrotnie w listach do swoich przyjaciół, ale niewiadomo, czy zdołał to zbadać.

Zajęli się nią później: Laurent w książeczce p. t. „Curiosités revolutionaires" i Edmund Hoton w ciekawem studjum, dotyczącem ostatniej bitwy Bonapartego.

Przenieśmy się myślą wstecz do roku 1815, dokładnie połowy miesiąca czerwca, kiedy to w okresie „Stu dni" Napoleon, zgodnie ze swoją dotychczasową taktyką bitewną, miał zamiar kolejno rozgromić armje koalicyjne Blüchera i Wellingtona, dyzlokowane w okolicach Ligny, Mont Saint Jean, Haie-Sainte-Waterloo.

Niemiecką armję Gebharda Leberechta Blüchera i brytyjską „żelaznego Księcia" Artura Wellingtona miał zamiar rozbić przed dokonaniem ich zespolenia, to znaczy przeprowadzeniem koncentracji.

Rozgromienie armji Blüchera i Wellingtona, jedynych wartościowych sił zbrojnych, na których oparte było istnienie koalicji, spowodowałoby jej porażkę.

Specjalnie w złem położeniu znajdowała się armja gen. Blüchera, co do której rozbicia Napoleon nietylko, że był pewny, ale i przewidywał nawet wzięcie jej wodza do niewoli.

Armja rosyjska była w dniu 15 czerwca zbyt daleko, by móc wziąć czynny udział w walce. Austrjacy byli zdemoralizowani i nie chcieli wogóle bić się. Drobne państewka aljanckie, wraz z Holandją, przedstawiały tak znikome siły, że nie można było brać ich pod uwagę, przy opracowywaniu planów taktycznych.

Niestety, Napoleon odniósł porażkę i już wieczorem drugiego dnia (16 czerwca) nie mógł nawet marzyć o rozgromieniu, każdej z osobna, armij nieprzyjacielskich.

Bynajmniej niepokonany gen. Blücher cofał się w szybkiem tempie, ale w całkowitym porządku marszowym. Brytyjski generalissimus Wellington obsadził ważny punkt strategiczny Quatre-Bras, dzięki czemu napoleoński marszałek Ney nie wykonał otrzymanych rozkazów.

Jakaż tego była przyczyna?

W myśl tych rozkazów „najdzielniejszy z dzielnych" marsz. Ney miał za zadanie zajęcie Quatre-Bras, tej miejscowości, gdzie według posiadanych informacyj skoncentrować się miała armja brytyjska, utrzymująca łączność z armją niemiecką. Na początku działań wojennych Ney był niezwykle ożywiony i działał z wielkim zapałem, przenosząc się z miejsca na miejsce szybko, jak przystało na rzutkiego dowódcę.

Skoro tylko goniec cesarski wręczył mu rozkaz nakazujący zajęcie i obsadzenie Quatre-Bras, Ney odpisał mu własnoręcznie słowami: „Będę tam za dwie godziny", poczem ruszył naprzód.

Miało to miejsce dnia 15 czerwca pod wieczór.

Pod Frasnes maszerujący na czele swej kolumny Ney natknął się na liczącą 4.000 ludzi i 6 dział brygadę księcia Sasko - Wejmarskiego.

Już na sam widok armji napoleońskiej i okrytego nimbem bohaterstwa Ney'a książę Sasko-Wejmarski, wraz ze swemi wojskami, dostał gęsiej skórki, zawrócił i jak często pisze Juljusz Cezar w swych pamiętnikach „pokazał tyły".

Marszałek Ney nie zamierzał go ścigać, usłyszawszy w tej samej chwili grzmot armat z pod Gilly. Dowiedziawszy się następnie jednak, że jest to nic nie znacząca potyczka, powinien był iść w ślad za będącą w odwrocie armją Sasko-Wejmarską i prawdopodobnie zdemoralizowana ta armja nie stawiałaby mu oporu, a ważny punkt strategiczny Quatre-Bras byłby zajęty.

Tu jednak inna siła, potężna i zdradziecka, wpłynęła na decyzję skądinąd wartościowego marszałka.

Na imię jej alkohol, a zawarty był on w burgundzie.

Niewiadomo z jakich przyczyn Ney nie zajmuje Quatre-Bras, lecz zawraca do Gosselies, gdzie we dworze u państwa Dumont, rozkłada się kwaterą, pisząc do Napoleona, że wysłał awangardę do zajęcia Quatre-Bras, sam zaś zajął stanowisko położone nieco wtyle.

Jak widać z urzędowego „Monitora“ Napoleon polegał na posłuszeństwie Ney‘a. W tym organie prasowym cesarza zaznaczone jest, iż w dniu 15 Ney znajduje się w Quatre-Bras.

Być może, że meldunek Ney‘a wręczony kurjerowi nie doszedł adresata.

Być może, że kurjer padł gdzieś ofiarą kuli, lub wrogo usposobionego chłopstwa.

O meldunku tym prawdopodobnie dowiedzieli się historycy później, niż powinien go był otrzymać Napoleon.

Wszystkie rozkazy Napoleona, jakie wydał on w dniu 16 czerwca, wszystkie jego manewry dowodzą, że ufał on swemu najdzielniejszemu marszałkowi, przekonanym będąc o jego gotowości bojowej na każde jego zlecenie.

Nie dość na tem.

Napoleon był pewny, że Ney, znajdując się w Quatre-Bras, uniemożliwi złączenie się armji brytyjskiej z niemiecką, co, jak wiemy, zdecydowało następnie o jego klęsce.

W dniu 16 czerwca Napoleon wystosował rankiem do Ney‘a obszerny list, zawierający wskazówki, dotyczące wkroczenia i zajęcia Brukseli.

Wejście do tego miasta wyznaczone być miało na dzień następny.

Między innymi Napoleon zaznaczył: „Rozstawisz 6 dywizyj dokoła Quatre-Bras, jedną w Marbais, a dwie skierujesz na Brukselę“.

Wkrótce potem nastąpiła decydująca chwila tej historycznej bitwy.

Oddziały Napoleona nawiązały styczność ogniową z oddziałami Blüchera pod Ligny, kiedy to Ney powinien był wyruszyć i wszystkiemi siłami otoczyć go.

17 czerwca o godz. 2-ej po południu Napoleon nie otrzymuje żadnych wiadomości, mimo iż skierował do Ney‘a kilku kurjerów z identycznemi rozkazami: „Uderzysz na tyły nieprzyjaciela... będzie rozbity“. Ney nie odpowiedział.

Godzina 3-cia — Napoleon w dalszym ciągu pozostaje bez wiadomości. Działa Ney‘a milczą.

Panuje groźna cisza.

W kwaterze cesarskiej są zdezorjentowani, nie rozumiejąc bezczynności marszałka.

Nowy rozkaz pisze Napoleon i wysyła go do Ney‘a: „Okrążysz pra-

we skrzydło nieprzyjacielskie. Nie tracąc ani chwili, spadniesz na kark Blüchera".

Nad armją Napoleona zawisła groza. Sytuacja jest niepewna, gdyż Blücher skoncentrował już 95-tysięczną armję. Jest on atakowany przez Napoleona od frontu mniejszemi siłami, bo tylko 60-tysiącami. Blücher nie wie jednak, że na tyłach jego armji znajduje się 47.000 francuzów, dowodzonych przez Ney'a.

Wystarczyłoby wówczas ukazanie się pierwszych patroli straży przedniej Ney'a, by bitwa była wygrana.

Ma on do przebycia niecałe trzy klm.!

Powinien przecież słyszeć grzmot dział. Mimo to jednak nie naciera na Prusaków!

O godz. 9-ej wieczorem Napoleon, mniejszemi siłami, zdołał rozbić Blüchera, który rozpoczął odwrót, bynajmniej nie paniczny.

Stary marszałek niemiecki rejteruje w porządku, chroniony pozatem przez zapadającą, czerwcową noc.

Noc ta powoduje przerwę, jednak noce czerwcowe trwają krótko.

Ney przebywa w dalszym ciągu w Gosselies, w majątku państwa Dumont, dysponując 56-ma armatami i pułkiem kirasjerów Kellermana, wiarusów osiwiałych w bojach od Moskwy po Pireneje.

Pozostała część jego armji stoi w pobliżu Frasnes.

W fatalnem Quatre-Bras, tej strategicznej miejscowości, której wagę wyczuł swym instynktem Napoleon, jak pozycję Aiguillette w Tulonie, rozlokował swe siły książę Sasko-Wejmarski, który otrzymał w sukurs bataljon holenderskich strzelców. Tam to książę Orański wypowiedział słynne słowa do księcia Wejmarskiego: „Jeżeli spotkamy więcej niż jedną dywizję, to będziemy rozbici".

Oceniał on należycie bezwartościowość swych wojsk.

Los chciał, że tuż obok znajdowała się nie tylko dywizja Napoleońska, której się tak bali obydwaj książęta, ale cała, cała armja Ney'a!

Stała ona bezczynnie.

Ney nie tylko, że nie nawiązał styczności z nieprzyjacielem, ale nawet nie wysłał patrolów kawaleryjskich, dla rozpoznania sytuacji.

Nazajutrz dopiero, o godzinie 3-ej Ney zarządził alarm i pośpiesznym marszem ruszył na wojska księcia Sasko-Wejmarskiego.

Było to jednak już zapóźno.

W ciągu ubiegłego dnia armja niemiecka powiększyła się o 50.000 żołnierzy.

Ney odżywa.

Na czele swych wojsk rzuca się na przeciwnika. Jest wszędzie, gdzie tylko widzi niebezpieczeństwo. Nieomal szuka śmierci, walczy rozpaczliwie, nie mogąc nawiązać łączności z korpusem marszałka Jana Baptysty Drouet d'Erlont.

Korpus marsz. Drouet d'Erlont gdzieś się zapodział. Jakaś fatalna siła szkodzi gwieździe napoleonidów.

Po pewnym czasie Drouet d'Erlont, zgodnie z rozkazem otrzymanym od Napoleona, zamierza rozpocząć generalne natarcie. Jednak Ney żąda od niego przybycia do Quatre-Bras na pomoc, do siebie.

Rozkaz Ney'a jest sprzeczny z rozkazem cesarza. Drouet d'Erlont

waha się, wreszcie decyduje się przyjść z pomocą Ney‘owi pod Quatre-Bras.

Jest już jednak zapóźno i przybycie jego i tak sytuacji nie polepszy.

Jakaż przyczyna wywołała to wszystko? Czem możemy to sobie tłumaczyć, że „najdzielniejszy z dzielnych“ tak długo unieruchomił podległe mu oddziały, sam będąc całkowicie bezczynnym?

Dlaczego pozostawił bez odpowiedzi wezwania Korsykańczyka?

Odpowiedź na te pytania jest prosta i tragiczna zarazem.

Marszałek napoleoński Ney był nieprzytomny, bo w gościnnej fermie państwa Dumont spił się do nieprzytomności starym burgundem!

Marszałek Ney był nieprzytomny, a przez ten czas koło historji, wprawione w ruch ręką Napoleona, inaczej się potoczyło niż chciał „Bóg Wojny“ początkowo.

Na zasadzie istniejących dokumentów historycznych nie jest trudnem ustalić szczegóły, świadczące o prawdzie upicia się Ney‘a.

W dniu 15 czerwca Ney nie wiedział, że Napoleon włożył na niego trudny obowiązek dotarcia za pomocą skomplikowanych manewrów na tyły armij wrogich.

Dowiedziawszy się o tem, udaje się on do kwatery Napoleona, znajdującej się w tym dniu w Charleroi.

Tam, od Napoleona, dostał on szczegółowe rozkazy, dotyczące zajęcia Brukseli i opanowania Quatre-Bras.

W dniu tym Ney rozpoczął marsz zbliżania, którego zakończeniem miało być, pewne zresztą, zwycięstwo.

Przednia część jego armji zatrzymała się we wspomnianym wyżej Frasnes.

A sam Ney udał się do majątku Gosselies, gdzie gościnny pan Dumont posiadał bogato zaopatrzoną w burgund piwnicę.

Ney lubił dobre wino, zwłaszcza burgund i napój ten był przyczyną jego zguby.

Osusza on niejedną butelkę, żądając następnie, jak to ustalono również, kilku poduszek, dla wygodniejszego spoczynku po uraczeniu się historycznym burgundem.

Potomkowie ówczesnych Dumontów mają do dziś dnia w pamięci, odziedziczone opowiadania po ich dziadach, dotyczące upicia się napoleońskiego marszałka.

Wnuk pana Dumont, obecnie właściciel majątku Gosselies, słyszał opowiadanie o powyższem od swego dziadka niejeden raz.

Historyczna noc po Waterloo, z 15 na 16 czerwca, przeszła na pijaństwie marszałka z jego sztabem i oficerami.

Po uczcie, suto zakropionej przeklętym burgundem, wszyscy poszli spać.

Chociaż zdaleka grzmiały działa, nikt na to nie zwracał uwagi.

Zupełnie zrozumiałe — pijak się niczem nie przejmuje.

O godzinie 4-ej rano, gdy do dworku w Gosselies szturmowali kurjerzy cesarscy, wszyscy spali. Oficerów nie można się było dobudzić.

Najpóźniej obudził się sam marszałek Ney.

Gnębił go katzenjammer, nie pozwalając na zebranie myśli i logiczne opracowanie rozkazów.

Mijały godziny — Ney trwał w odrętwieniu, niezdolny do wydania żadnego rozkazu, ani do odpowiedzi na wezwania Napoleona.

Grzmot działowy z pobliskiego pola bitwy, dolatujący go, nie czynił na nim żadnego wrażenia, ani nie uprzytamniał grozy sytuacji.

Gdy wreszcie odzyskał całkowitą przytomność, zarządził alarm, poczem ruszył w kierunku Quatre-Bras; niestety już było zapóźno...

Opowiadania właścicieli Gosselies, państwa Dumont'ów, są jedynym materjałem o historycznem znaczeniu, wyświetlającem niewytłumaczalną dotychczas bezczynność — apatję marszałka Ney'a.

Odgłosy słynnej kanonandy z pod Ligny dopiero doprowadziły go do oprzytomnienia.

Zastanówmy się obecnie i stwierdźmy ze smutkiem fakt, kiedy to poważna piwniczka państwa Dumont'ów wpłynęła ujemnie na rozwój tak świetnie zapowiadającej się, a jednak następnie przegranej, bitwy pod Waterloo.

Gdyby nie ta piwnica, pełna omszałych butelek wystałego burgunda, inaczej potoczyłyby się dzieje ostatniej bitwy napoleońskiej.

Najpóźniej o godzinie 7-ej rano, najwyżej po wymianie kilkudziesięciu strzałów karabinowych, ze zdemoralizowanymi żołnierzami księcia Sasko-Wejmarskiego, Quatre-Bras zostałoby opanowane przez Ney'a, bez absolutnie żadnych strat w ludziach, gdyż siła jego imienia i widok niecił zbyt wielki strach, by wojska te mogły mu wówczas, tak jak to już raz miało miejsce, stawić opór.

Marszałek Drouet d'Erlont, który pod Waterloo okrył się wiekopomną sławą, skierowawszy swój korpus na tyły Niemców, dowodzonych przez Blüchera, zmusiłby ich bezwątpienia do gremjalnej kapitulacji i złożenia oręża.

Oddziały angielskie gen. Wellingtona, maszerujące na spotkanie Napoleona, znalazłyby na szlaku swego marszu, w Quatre-Bras, drogę przeciętą i uniemożliwioną, co skończyłoby się ich porażką, bowiem trudniej jest wprost z kolumny marszowej przejść do bitwy, a Ney zawczasu, o ile by się nie upił, przygotowałby się należycie do przeciwstawienia się Brytyjczykom.

Za rozbitym i będącym w odwrocie Wellingtonem ruszyłaby słynna kawalerja Kellermana, a obserwujący tę bitwę początkujący finansista Rotszyld, dzięki przegranej, nie zostałby baronem i jednym z najbogatszych bankierów Europy.

Inaczej historja potoczyłaby się, gdyby nie burgund. Wpłynął on ujemnie, tak jak wpływają zresztą wszelkie napoje wyskokowe, na wszystkich ludzi, a przez to samo i historję.

W niespełna pół roku później, w pobliżu obserwatorjum paryskiego, zginął od salwy plutonu egzekucyjnego marsz. Michał Ney ks. Elchingen, za to, że porzucił Ludwika XVIII Bourbona, który go uczynił parem Francji, i w czasie „stu dni" przeszedł na stronę uwielbianego Napoleona.

Podobno w ostatniej chwili, jednak, darowano mu życie, a salwa i wiadomość o rozstrzelaniu, podana w ówczesnej prasie paryskiej, była jedynie formalnością. Jak pisze jeden z historyków, Ney żył następnie w Ameryce, i dokonał żywota jako spokojny farmer. Ale to jest inna tajemnica historyczna.

Drugi aktor tragedji z pod Waterloo marsz. hr. Ludwik Bourmont, który zdradził Napoleona, główny świadek przeciwko Ney'owi, również skończył marnie. Odebrano mu obywatelstwo i mienie. Takie były dzieje ostatnich napoleonidów w ostatniej bitwie, w której, jak pisał Wiktor Hugo, byli: „z jednej strony Francja, a z drugiej Europa".

Dodajmy do tego alkohol, który pomógł Europie...

Michał Godlewski.

PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

I.

Nikodem Walczak nie był lubiany przez kolegów, ale nie potrafiono nazwać po imieniu niczego, coby mogło stanowić podstawę i usprawiedliwienie tych niechęci. Wysilano się i przypominano sobie dawne lata szkolne, ten zapomniany poczęści i niezrozumiały okres czasu, i tam, w jakiemś miejscu, odnajdywano krępą figurkę piętnasto, szesnasto, siedemnasto i osiemnastoletniego Nikodema. W ten sposób Nikodem zaczął porastać zdarzeniami, a jego oblicze duchowe odnajdywano w tych związkach i zależnościach, które wyznaczają każdemu człowiekowi miejsce w gromadzie ludzkiej.

Nikodem ma lat czternaście i zapisuje się do czwartej klasy gimnazjalnej. Przy szkole jest internat. Nikodem tam będzie mieszkał. Będzie używał spacerów w cienistym parku, który wysokopiennemi drzewami otacza budynki szkolne. Dalej są pola, rzeka, niebieskie smugi lasów. Trochę w dole miasteczko, czerwone dachy, spomiędzy nich wyglądają zielone bukiety drzew. Pomiędzy parkiem szkolnym, a temi pozaszkolnemi widokami, biegnie mur ceglany; tutaj zatrzymuje się Nikodem i cieszy się, że wszystko jest właśnie takie, jakie jest.

Z Nikodemem przyjechała matka. Ona dowiaduje się o wszystko, ona ogląda pokój syna, ona rozmawia z profesorami. Jest zafrasowana i troskliwa. Nosi czarną suknię i czarną chusteczkę na włosach. Na sukni srebrny krzyżyk. W walizce jedzenie dla syna. Dużo mięsa i wędlin. Dużo rad na pożegnanie. Trochę łez i jakieś ostatnie polecenia. Nikodem zostaje sam.

W dalekiem mieście matka Nikodema prowadzi sklep masarski. O szóstej rano jest już na mszy. Od siódmej do siódmej przyjmuje pieniądze w kasie. Wśród dnia często odmawia modlitwy z czarnej książki, takiej właśnie, jakiemi księża w tramwajach odgradzają się od wszystkiego, co sprowadza myśli ku ziemskim sprawom. Ale Anna Walczakowa ma otwarte oczy i uszy dla tych spraw. Spogląda przez szerokie okna i widzi wyrysowane na niebie smukłe wieżyczki: kościół. Patrzy przed siebie i widzi wielkie połacie czerwonego mięsa i białe panny, kwitnące w tej czerwieni: sklep. O te dwie opoki wsparło się życie Anny, a Nikodem, otwierając co tydzień paczki przysyłane z domu, znajduje w nich, obok wędzonego mięsa, święte obrazki opatrzone tekstami psalmow.

Ale życie tutaj trudniejsze jest, niż tam, u boku matki. Tu trzeba zapracować na codzienną porcję radości, trzeba ją ostrożnie wynieść z konfliktów każdego dnia, żeby pozostawić w sobie nienaruszony kapi-

tał wiary w fundamentalną konstrukcję usprawiedliwienia. Tak nazwał Nikodem swój filozoficzny system, oparty na codziennych wieczornych rozmyślaniach, które dotyczyły oczywistej harmonji i cudownego ładu, oraz najwyższej sprawiedliwości i dobroci. W tem był widoczny wpływ Stasia Zapolskiego, który z gwałtowną pasją swoich osiemnastu lat szukał wytłumaczenia tych wątpliwości i niepokojów, jakim ulegają wychowankowie wszystkich zakładów wychowawczych na całej kuli ziemskiej.

Staś, tak jak i większość jego rówieśników, nie czuł się dobrze w świecie dualistycznego Boga. Rzeczywistość przemawiała do niego obco i groźnie. Wymagała posłuchu dla swoich praw, które sprzeciwiają się wewnętrznym prawdom osiemnastoletniego doświadczenia. Przemawiała groźnemi słowami ojców kościoła podczas niedzielnych kazań. Na zebraniach kółka filozoficznego łagodniała trochę i stawała się oświeconą dualistką. Oczywiście, mówiono wówczas o Bergsonie, a Staś wygłosił gwałtowną mowę przeciwko temu myślicielowi. „Bergson — kończył Staś — nie zadawala naszego zmysłu metafizycznego, a naukowa zawiłość i niewątpliwie wytworny styl nie mogą go zasłonić przed poważnym zarzutem upraszczania pewnych zagadnień, w czem przypomina owych psychologów eksperymentalnych, których dzieła dziś jeszcze można spotkać nie tylko w antykwarniach". W ten sposób rozprawił się jednocześnie z profesorem propedeutyki filozofji, który wielbił Tietschnera i był entuzjastą logiki klasycznej.

Tak, Staś Zapolski nie miał zupełnie poczucia umiaru i taktu, a Nikodem celował w tej sztuce. Urodził się z temi wszystkiemi właściwościami charakteru, które pozwalają człowiekowi odczuwać życie w sposób korzystny. Nie przestraszał go ponury dualizm, to tragiczne rozdarcie, którem naznaczone są ciała i dusze ludzkie już w chwili poczęcia. Najwcześniejsze chłopięce konflikty wyrobiły w nim wielką plastyczność usposobienia w granicach tradycyjnego systemu: kościół i sklep; stąd już prowadzi krótka droga do swoistego idealizmu. Nikodem był idealistą i chwalcą wszystkiego, co rzeczywiste. Ten praktyczny gatunek idealizmu najdobitniej wyrażał się w przekonaniu, że dobre jest wszystko to, co jest; a to, co jest, nie wybiegało poza granice jego osobistych doświadczeń. Brak wyobraźni sprawiał, że nieszczęścia ludzkie budziły w nim jedynie uczucie niemiłego zdziwienia i Nikodem skłonny był przypisywać ludziom, którym nie powodziło się dobrze, jakąś specjalną słabość umysłu. Tu powstawało głębokie i starannie ukrywane przeświadczenie o własnej niezwykłości.

Zresztą, sukcesy życia szkolnego upoważniały go do dobrego mniemania o sobie. Z klasy do klasy przechodził łatwo, miał opinję pracowitego i dobrze prowadzącego się ucznia. Te powodzenia Nikodema drażniły kolegów, a w pierwszym rzędzie Stasia. Oburzał go fakt, że samo zachowanie pewnej formy życia może uchronić człowieka przed niepowodzeniami. Wszyscy wiedzieli dobrze, że Nikodem nie stroni od tych zakazanych praktyk, którym oddawali się wychowankowie internatu. Wiadomo było o rozmaitych niepięknych sprawkach Nikodema, ale wiadomo było jakby poufnie i te jego wykroczenia nigdy nie były przedmiotem obrad rady pedagogicznej. W szkole był pilnym i posłusznym uczniem, w internacie stawał się cichym wspólnikiem wszelkich wybryków.

Gdy nadchodziły ciepłe wiosenne noce, intymne życie internatu rozpoczynało się o późnych godzinach wieczornych. Pan wychowawca,

psycholog i nauczyciel propedeutyki filozofji, Klemens Słowik, układał się do snu po wspólnej chóralnej modlitwie. Park tonął w ciemności, a przez tę szumiącą czerń błyskały dalekie światła miasteczka. Słychać było skoczną muzykę taneczną, a czasami dalekie dźwięki fortepianu. Wiadomo było wówczas, że to urżnął się doktór Erazm i że zaraz po pierwszych gwałtownych akordach wślizgnie się do pokoju doktora profesor Edward Rank. Profesor Rank staje przy fortepianie i gwiżdże cicho i pięknie. Z rąk nie wypuszcza grubej teczki. Są tam cenne rękopisy: tłumaczenia dawnej i współczesnej poezji hinduskiej. Profesor zna osiemnaście języków i naucza w tutejszej szkole języka francuskiego. Doktór Erazm zna ich tylko piętnaście i uczy niemieckiego. Pozatem jest masonem i filozofem. Jest przedstawicielem empirjo-krytycyzmu na ziemiach polskich, jest twórcą teorji lingwistycznej, która inne nazwisko otoczyła splendorem i uznaniem naukowego świata. Teraz doktór Erazm gra na fortepianie i pije bronzowo-złoty francuski koniak.

Przez otwarte okno widać sępi profil doktora Erazma, wyolbrzymiony cieniem na ścianie. Strzępiaste wąsy opadają na ogoloną brodę. Łokcie odsunięte od ciała, palce oddane muzyce. Przy fortepianie, na krótkich, pękatych nóżkach, obciśniętych czarnemi pończochami, kołysze się profesor Rank. Ręce złożone na brzuchu przytrzymują wypchaną teczkę. Kozia bródka zadarta do góry, wargi wypchane gwizdaniem. Pod lekko przymkniętemi powiekami najcudniejsze oczy, wydarte madonnie Corregia.

Ale któż to podchodzi do otwartego okna? Kto czarnym cieniem przylega do ściany? — To Stachurek Przewłocki, dziwny niezrozumiały chłopczyk, uczeń klasy piątej. Wszyscy wiedzą o jego nocnych wyprawach, ale nawet pan Klemens Słowik nie może pojąć, jakie zawołania i pokusy uwodzą Stachurka w te muzyczne noce.

Pan Słowik umie na pamięć te wszystkie chłopięce tęsknoty, które znajdują ukojenie w bliskiem miasteczku. Zna je i rozumie, ale uważa, że wszelkim sprawom ludzkim przeznaczone są właściwe godziny i że należy zachowywać między niemi możliwie doskonałą równowagę. Zegarek i zasada przystosowania się do rzeczywistości — oto bogowie profesora Słowika. żadnych maksymalizmów — i odrazu życie układa się wcale znośnie, można nawet powiedzieć, przyjemnie. Taki Nikodem naprzykład jest miłym chłopcem, rozsądnym. Wieczorem wódeczka u Pudra, nie za dużo, tak w samą miarę, i dziewczynki tak samo, bez jakichś tam miłości i wielkich tragedyj. No, a w dzień lekcje odrobione, wszystko we właściwym czasie, wszystko na swojem miejscu. A i profesorom okazuje należny szacunek i z żadnemi własnemi mądrościami nie wyjeżdża, tak, jak Zapolski, ani nie wystaje pod oknami tego starego warjata, jak Przewłocki.

Gdy profesor Słowik takiemi myślami zapada w sen, przynajmniej połowa internatu jest już w mieście. Tworzą się grupy i grupki, każda z nich ma jakieś sobie tylko wiadome miejsce, w którem można dobrze się zabawić, swoje własne sprawy i tajemnice. Stróż nocny pilnuje bramy, ale przecież ceglany mur nie stanowi dostatecznej przeszkody dla młodych rąk i nóg. Wiadome są zresztą jeszcze inne przejścia. Korzysta z nich Nikodem, który nie lubi skakać z dwumetrowego muru w gęstą, zupełną ciemność. Teraz właśnie stoi niedaleko okna doktora Erazma,

przez które biegnie perlistemi kroczkami łechcąca muzyka i uczepiony jej księżycowej sukni słodki gwizd profesora Ranka.

Staś Zapolski zatrzymuje się także tutaj, obok Nikodema. Nikodem wyjmuje pudełko angielskich papierosów. Na pudełku napisane jest: „Chasterfield“. Palą.

Na pustej plaży, nad czarną wodą czeka na Stasia biała dziewczyna. Gertruda przynosi czerwoną, słodką wódkę i dwa kieliszki. Teraz leży na piasku, przykryta niebem. Ale Staś nie pamięta o niej. Nie może stąd odejść, chociaż wie, że Nikodem złośliwie i zarozumiale się uśmiecha.

Nikodem zawsze z politowaniem patrzył na tych ludzi z za okna. Wydawali mu się śmieszni i niepotrzebni. Życiu udzielali się tylko o tyle, o ile wymagała tego bezpośrednia konieczność. Pozatem zagrzebywali się w jakichś swoich sprawach, które nie przynosiły widocznego pożytku. Mówili o rzeczach, których Nikodem nigdy nie widział, o problemach, których nie rozumiał. Manifestowali swoją odrębność w sposób, który raził przyzwyczajenia ogółu. Nosili dziwne ubrania i stronili od ludzi. W spojrzeniach, jakiemi obrzucali przechodniów, było coś niesamowicie obcego. Czem byli, co posiadali? Czyż najlepszy nawet fortepian i skrzynka francuskiego koniaku wyjaśnia sytuację społeczną człowieka? Czy teczka, gdyby nawet była wypchana klejnotami, których nikt nigdy nie widział, może być dostatecznem usprawiedliwieniem?

Stasiowi nie są obce te myśli i wie jednocześnie, że obejmują one także jego. Przecież to on, a nie kto inny, uznawał w tych ludziach jakąś wielkość, niemożliwą do opisania. On podpatrywał ich życie i błagalnie domagał się jakiegoś w niem udziału. Ale przy wszystkich takich próbach odpychały go zakrzepłe chłodem oczy doktora Erazma, albo niewidzące i wylęknione spojrzenie profesora Ranka.

Pamięta taki jeden wieczór, kiedy uczniowie podejmowali herbatką nauczycieli. Wszyscy już siedzieli przy małych stolikach, gęsto rozstawionych w sali uczniowskiego kasyna, gdy wszedł doktór Erazm i profesor Rank. Usiedli trochę z boku, pod oknem. Doktór był w aksamitnej kurtce, około szyi miał zawiązany biały jedwabny żabot. Patrzył w okno. Profesor Rank przyciskał do brzucha pękatą teczkę i prędko mrugał powiekami. Staś roznosił herbatę i gdy podszedł do doktora Erazma ze słowami: „pan profesor będzie łaskaw...“ — stało się właśnie to pierwsze i trudne do nazwania, co ujawniło Stasiowi rzeczywistość i wagę tych spraw, które dla Nikodema były nierzeczywiste i śmieszne.

Oto, zaraz po tych słowach, które w brzmieniu były trochę poufałe i zawierały jakby nieśmiałą próbę nawiązania bliższego kontaktu, doktór Erazm odwrócił się od okna i Staś poczuł na sobie jego szare, nieruchome oczy, nieprzychylne wszystkiemu, co zwykłe, miłe i serdeczne.

Staś nie może wytrzymać tego spojrzenia. Ręce mu się trzęsą, gorąca herbata parzy mu palce. Dlaczego ten człowiek, który z niezrozumiałych powodów wydaje się Stasiowi miły i bardzo bliski, patrzy na niego tak wrogo i obco? I dlaczego zaraz te słowa i takim głosem odpychającym i groźnym:

— Nie jestem profesorem; doktór jestem!

Staś nie rozumie wagi tych słów. W pewnej chwili widzi rękę profesora Ranka, która na moment oderwała się od wypchanej teczki, żeby uczynić jakiś gest nieporadny i proszący. Wie, że wszyscy nagle

zamilkli, że oczy wszystkich patrzą na stolik, od którego on nie może odejść. Widzi czerwoną twarz profesora Słowika i rozwichrzoną brodę dyrektora, który napróżno usiłuje coś powiedzieć. Czuje, że za chwilę może nastąpić wybuch, krzykliwe wyładowanie jakichś drapieżnych złości, długo skrywanych pod dobrodusznemi obliczami ciała pedagogicznego. Ale nic takiego nie następuje. Oczy doktora już się od niego odwróciły i pełne są teraz groźnego światła i nagle Staś rozumie, że dopóki te oczy będą tak błyszczeć i tak patrzeć po tamtych twarzach, nikt się nie poważy powiedzieć jednego słowa. I gdy tak trwali ci ludzie naprzeciw siebie w napięciu i gniewie, Staś nachylił się szybko i pocałował rękę doktora Erazma.

Przypomnienie tamtej chwili objęło Stasia gwałtownem wzruszeniem. Pomyślał o teczce profesora Ranka, o fortepianie i koniaku doktora. Te przedmioty były widomemi znakami dziwnego szaleństwa, które obejmowało tych ludzi mądrych i uczonych. Dlaczego doktór Erazm nie przyjął katedry filozofji, którą ofiarował mu jeden z uniwersytetów? Dlaczego profesor Rank nie wydaje swoich tłumaczeń? Wiadomo wszystkim, że zgłaszali się do niego wydawcy, a on zamykał się wówczas w pokoju, zasuwał olbrzymie rygle u drzwi i był głuchy na wszelkie perswazje.

Staś wie, jak to było z teczką profesora Ranka. Opowiadano w szkole o tej historji i starano się uczynić ją śmieszną. Więc mówiono, jak to profesor gdzieś z głębi Rosji wędrował na zachód, ciągle na zachód. Fala przewrotu społecznego objęła go wówczas gdy wracał z Indji. Była z nim żona i córeczka, a w teczce te tłumaczenia, te papiery, z jakichś powodów niezmiernie cenne. I podczas tej wędrówki zgubił gdzieś profesor żonę i córkę, ale teczki nie zgubił. Szedł boso, brudny i zawszony, a w jego teczce drzemały najpiękniejsze słowa, najcudniejsze barwy i wzruszenia, którym poświęcił całą swoją wiedzę i całą miłość. I gdy doszedł wreszcie do Polski, po wielu trudach i wysiłkach, zaczęło mu się zdawać, że ludzie zmówili się przeciwko niemu, że pragną zabrać mu jego wiersze, te wszystkie pisane wspaniałości, a on pozostanie wówczas straszliwie samotny, niczem nie mogący usprawiedliwić swojego życia.

To chyba było wszystko, co Staś wiedział o doktorze Erazmie i profesorze Ranku. A to, co czuł, myśląc o tych sprawach, nie dawało się łatwo wyrazić. Zresztą, może wiedział jeszcze i to, że wartości, któremi ci ludzie usprawiedliwiali się wobec siebie, nie można było oceniać kategorjami pożytku i praktycznego celu. Żyli inaczej, niż wszyscy i chyba z tej inności właśnie czerpali siły i moc, która ich nietutejszym postaciom dodawała tyle splendoru. Ta myśl pozwalała Stasiowi marzyć o duchowem pokrewieństwie, o jakiejś intymnej bliskości, która i jego młode lata okryje purpurą tragedji. Bo przecież wszystko, co Staś myślał o sobie, a myślał pięknie i wspaniale, nie znajdowało potwierdzenia w świecie rzeczywistym i było tak samo irracjonalne i nie ulegające tym kategorjom myślenia, jakiemi powszedni ludzie zwykli określać wartość człowieka.

Nikodem już dawno odszedł. Staś przypomniał sobie dziewczynę, która długo czeka na niego. Idzie więc zwykłą drogą przez uśpione miasteczko, a doktór Erazm kończy właśnie swoje wspaniałe granie.

Czarny cień odlepia się od ściany: to Stachurek Przewłocki.

Profesor Rank chwieje się niezdecydowanie na krótkich nogach i za chwilę znika za drzwiami.

Doktór Erazm zostaje sam. Podchodzi do okna. Teraz patrzą na siebie: Stachurek i doktór. Nie mówią nic. Może płaczą.

Staś idzie prędko, Staś się śpieszy. Nie gonią go już muzyczne palce doktora Erazma, rozbiegane na białej klawiaturze; to inne sprawy dodają tyle pośpiechu jego krokom. Tam, dokąd teraz idzie, opuszczają go wszystkie wątpliwości, wszystkie smutki dnia. Niepokoje zostają poza nim. Świat nagle staje się prosty i zrozumiały, świeży i niewinny, jak biała dziewczęca skóra. Poznaje ją już kilka miesięcy i ta intymna zażyłość stwarza dziwne przyzwyczajenie, gniotące, a tak słodkie więzy, które potylekroć każą człowiekowi wracać do dawnych miłości.

Oto już widać most, dalej schodki, po których zbiega się na plażę. Gdzieś pod filarami mostu majaczy znajomy cień. Staś nie zwraca na to uwagi. Już chrzęści pod jego stopami piasek wybrzeża. Przed nim czernieją kabiny kąpielowe. Trzeba przeskoczyć jeszcze niski parkan, a tam już czekają na niego młode, mocne ramiona.

Ale z drugiej strony parkanu nikogo niema. Staś obchodzi wolno całą plażę, zagląda do kabin. Przyszedł za późno. W tem miejscu zwykle siedziała, czekając na niego. Staś zapala latarkę. Na skopanym aż do mokrego wnętrza piasku leży paczka angielskich papierosów Na czerwonym papierku srebrne litery: „Chasterfield".

Niełatwo jest teraz wracać. Wszystko, co dotąd wydawało się zabawką, miłem spędzeniem wolnego czasu, niefrasobliwą młodzieńczą przygodą, zgęszcza się mocną czerwienią tragedji. Nagle otwiera się przed Stasiem nowa, nieczytana jeszcze karta ludzkiego bytu. Słowa, któremi płonie, pisane są krwią.

Jak bezużyteczne stają się teraz te wszystkie wybiegi, te chłodne tłumaczenia rozsądku, któremi odsuwamy od siebie grozę spraw ostatecznych. Opadają one z nas, jak zeschnięte liście, którym żadna wiosna nie powróci soczystej zieleni. Zostajemy obnażeni i wyschnięci, jak bezlistne drzewo, poddane wszelkim niepogodom. Wszystko, co było w nas miłe i urocze, niefrasobliwe i przychylne światu, co stanowiło tę szumiącą koronę radości nad naszem czołem, opada i więdnie w pierwszym dniu mroźnych, zimowych wiatrów. A w głębi nas powstają siły groźne i niszczące. Dotąd nie wiedzieliśmy o nich, tylko czasami w jakichś snach nadrannych otrzymywaliśmy tajemne wieści i znaki. I oto teraz wypełniają się zapowiedzi, sprawdzają się proroctwa snów i głębokie ślady zostawiają na naszych twarzach.

I gdy tak Staś idzie drogą powrotną, jego brwi nie ulatują już jak jaskółki. Zbiegły się u nasady nosa ciężkiem zamyśleniem, zbliżyły ku sobie jedną troską. Oto podeszło ku niemu ciało młode i nieświadome. Kawał bezwolnej materji, nieznającej swojego imienia. On nazwał ją właściwem imieniem, jakiem nikt do niej nigdy nie mówił: ani matka, ani ojciec, ani bracia. Wówczas ożywiła się materja, zakwitła pierwszą duchowością i rozjaśniała się coraz bardziej i dojrzewała ku coraz lepszym, piękniejszym kształtom. Wówczas wydawało się Stasiowi, że w tej nowej kreacji, w tej twórczej pracy nad materją pokonał dualizm, groźnie triumfujący nad życiem.

Teraz powróciły wszystkie dawne troski i niepokoje. Staś czuje się opuszczony, jak nigdy przedtem i nie wie, gdzie tu jest jakaś praw-

da o nim samym. Nie myśli nawet w tej chwili o Nikodemie i rzeczywiście, Nikodem w tym obrachunku nie stanowi żadnej wartości.

Staś już jest daleko za mostem. Z jakiejś bocznej uliczki płynie mleczne światło łukowej lampy. Pod nią blaszany szyld z napisem: Wacław Puder, restauracja. Tu zbierają się wychowankowie internatu, ci starsi i doświadczeni, wprawni w pijackim kunszcie. Pierwsza sala, w której stoją bilardy, jest przeznaczona dla zwykłych gości i świeci teraz pustkami. Ale Staś wie, że w dalszych pokojach, oddzielonych od ogólnej sali czerwonemi zasłonami z grubego pluszu, zastanie swoich przyjaciół.

Więc odsuwa kotarę, z za której już dawno płynął ku niemu gwar rozmów i dźwięk cienkiego szkła. Od sufitu zwiesza się na grubych łańcuchach kula jasno-żółtego światła. Od dołu podtrzymuje ją niebieski, gęsty dym z papierosów. Okrągły stół, na którym stoją butelki, otoczony jest kanapami, pokrytemi czerwonem obiciem. Koło drzwi biały fartuszek Elzy, która roznosi piwo. Twarzy jej nawet nie widać, tak gęste jest tutaj powietrze. Około stołu, ściśnięci na otomanach, nachyleni ku sobie w ogólnej rozmowie, przyjaciele Stasia. Gdy Staś wchodzi, głowy odsuwają się od siebie, a powitania i uśmiechy wybiegają mu na spotkanie.

Staś siedzi już na kanapie, a przed nim kilkanaście kieliszków, wypełnionych gęstemi barwami. Musi dopędzić kolegów, którzy zdążyli wypić wiele kolejek. Pije wolno kieliszek po kieliszku i coraz głębiej wciska się wgłąb otomany, między szerokie bary Zenka, a czyjeś tam bezosobowe plecy. Nad nim unoszą się strzępy rozmów, zdania wyrwane z jakiejś niewiadomej całości, która zgubiła się w ogólnym gwarze. Ale z tych niepowiązanych z sobą ułamków, z tych fragmentów czegoś, co stanowi najbardziej aktualną i jedyną rzeczywistość dzisiejszych gości pana Wacława Pudra, wybiegają ku Stasiowi zdarzenia istotne i ważne.

Najpierw dowiaduje się, że Nikodem był tutaj i właśnie kilka minut temu wyszedł. Grał w bilard, a później pił trochę, tak, jak to on zwykle: kilka kieliszków. Był w dobrym humorze i opowiadał komuś o swoich sukcesach. Mówił coś nawet o nim, o Stasiu Zapolskim i o jakiejś intymnej rozmowie z młodym nauczycielem matematyki. Nauczyciel ów, kierowany prawdziwą sympatją dla Stasia, prosi jego, Nikodema, na którego dyskrecję i takt może liczyć, o zwrócenie Stasiowi uwagi na to, że cierpliwość rady pedagogicznej jest już na wyczerpaniu i jeżeli zachowanie Stasia nie ulegnie zmianie, będzie musiał opuścić szkołę i internat. On, Nikodem, wielokrotnie rozmawiał ze Stasiem o tych sprawach i już więcej nie myśli strzępić sobie języka. Przecież wszyscy znamy sytuację Stasia, wiemy, że nie może liczyć na przyjęcie do żadnego innego gimnazjum. On chyba orjentuje się w tej sytuacji i wie, że teraz wszystko zależy od jego dobrej woli, a jeżeli nie rozumie tego, no, to trudno rozmawiać z głupcami.

Staś orjentuje się w swojej sytuacji doskonale i jakież to znajduje z niej wyjście. Oto, siedząc teraz nad opróżnionemi kieliszkami, zdaje sprawę przed sobą samym ze swego życia. Więc: od najwcześniejszych lat jakieś złe, nieznane moce sprzysięgły się przeciwko niemu. Nie widzi na świecie takiego miejsca, w którem mógłby się czuć dobrze. Ludzie go nie rozumieją, a on pogardza ludźmi. Pogardza dlatego, że im jest dobrze. Świński optymizm rządzi światem, a tragiczna postawa wobec

życia wydaje się ludziom błazeństwem. Teraz jest zupełnie sam. Nie ma możności porozumienia się z kimkolwiek. Doktór Erazm? Profesor Rank? Nie wie jak do nich podejść. Dziewczyna? Nie ma jej. Więc Staś rozżala się nad sobą, nad swojem sierocem opuszczeniem i w tym bolesnym żalu znajduje jakby jakąś cichą, nieśmiałą radość.

— Jestem sam! — mówi głośno i temi słowami rozgrzesza siebie ze wszystkiego, co kiedykolwiek uczyni przeciwko sobie i przeciwko społecznym prawom.

Kogóż to spotyka Staś w powrotnej drodze przez bielejący letni świt? Czy to nie Stachurek Przewłocki przemyka się tam, między drzewami? Co robi tu o tej porze? Staś chce biec za nim, ale potyka się i pada. Jest bardzo pijany. W tej chwili podbiega do niego Zenek i reszta przyjaciół. Zenek podnosi go i idą dalej razem, rozkrzyczeni i rozśpiewani. Przełażą przez mur, a ta przeprawa zajmuje im tak wiele czasu, że gdy podchodzą do internatu, jest już biały dzień. Wszyscy dostają się do wnętrza przez okno na parterze, przezornie otwarte wieczorem. W ten sposób unika się przechodzenia obok pokoju wychowawcy. Ale Staś rezygnuje z tej ostrożności. Idzie do drzwi frontowych, głośno tupocząc nogami. Zaczyna nawet śpiewać coś i to śpiewanie ma wyrażać zupełny brak szacunku dla szkolnych praw. W pewnej chwili potyka się o schodki, prowadzące do gmachu, a gdy wreszcie z trudem udaje mu się wyprostować, widzi przed sobą złośliwie uśmiechniętą gębę profesora Słowika.

— Widzę, że nasz filozof znowu pijany — mówi profesor Słowik.

Ale ranki! Ranki są zawsze straszne, gorsze od najgorszych nocy. — Wstawać! — woła wychowawca, a Staś zawsze ma zamiar zapytać: po co wstawać? Ale dzisiaj nie pyta o nic. Wstaje prędko i wychodzi przed dom.

Na dziedzińcu szkolnym zgromadziły się już młodsze klasy i teraz parami wchodzą do budynku na lewo. Tam, na pierwszem piętrze jest kaplica. Staś wchodzi ostatni. W pierwszych ławkach siedzą profesorowie, dalej wszystkie klasy od wstępnej do ósmej. Niema tylko doktora Erazma.

Ale nie wszystko jest tutaj takie, jak zawsze, jak podczas codziennych rannych mszy. Inwentarz kaplicy powiększył się dzisiaj o jeden sprzęt, wyniesiony wysoko przed ołtarzem na rusztowaniu z desek, okrytych czarnem suknem. Tam, na oczach wszystkich, choć przykryty dębowem wiekiem, leży Stachurek Przewłocki.

Kilka długich godzin wisiał Stachurek na młodem drzewie, zanim znaleźli go ludzie, idący do robót leśnych. Odcięto go z postronka i położono na ziemi. Około szyi miał okręcony krawat i pasek od spodni.

— Bardzo mu się widać nie chciało żyć — powiedział sędzia śledczy — pierwszy raz wieszał się na krawacie, który nie wytrzymał ciężaru ciała!

Listów nie było przy nim żadnych.

Teraz zaczyna śpiewać ksiądz, obleczony w szaty żałobne. Wszyscy siedzą poważni i skupieni. Gdy nagle: cóż to za hałas na schodach? Któż to tak głośno idzie w kierunku kaplicy?

Już nikt nie patrzy na księdza, a wszyscy patrzą na drzwi; gdy obie ich połowy otwierają się z trzaskiem, wszystkie oczy cofają się w popłochu przed oczami doktora Erazma.

Milknie ksiądz. Ktoś macha rękami. Ktoś wstaje i chce uciekać.

Ale doktór Erazm prędkim krokiem idzie ku oknu, tam, gdzie stoi piękny koncertowy fortepian. Siada na niskim stołku i zaraz spod jego palców wybiega mazurek Chopina.

— Wyrzucić go! — ktoś woła, ale kto się ośmieli? Cichy popłoch obiega salę. Dyrektor chce coś powiedzieć — i nie śmie. Ksiądz daje jakieś rady, ktoś komuś szepce coś do ucha. Nikodem nudzi się trochę i lekko ziewa.

Ale doktór Erazm skończył już swoje granie. Idzie teraz tryumfalnym marszem przez kaplicę, a łzy płyną mu po twarzy. Gonią go jakieś wrogie krzyki, ale on ich nie słyszy. Opadają go wrogie spojrzenia, ale on ich nie widzi. Jest już koło drzwi, gdy wtem:

któż to przedziera się przez stłoczonych ludzi? Kto toruje sobie drogę gwałtownemi rękami? Kto woła coś, czego nikt nie może zrozumieć? Przecież to profesor Rank biegnie za doktorem Erazmem! To profesor Rank wyciąga za nim puste ręce!!

Gdzie jest pana teczka, panie profesorze?!

I Staś Zapolski jest już przy drzwiach i strasznie płacze. A gdy doktór Erazm przechodzi koło niego, nie może powiedzieć nic więcej, tylko to:

Doktorze Erazmie!

(d. n.) *Michał Klimowicz.*

GDOWA PO WALOSIU CZYLI SPUŚCIZNA PO ALKOHOLIKU.

I tak, widzi pani moja, jezdem tera gdowa. Ostawił mnie mój Waloś samiutkom jedne na świecie, jak te panne w tańcu, z pińciorgiem dzieci, że ani do gymby, ani co na grzbiet wrazić, jak mie tu pani widzi. Mój Boże, mój Boże! A nieraz bywało, jeszcze za życia nieboszczyka, jak sobie tak podpił troche, przyszedł do chałupy, to niech mu sie leda szczegóła nie spodobała, jak nie zaczon klunć, cholerować. Jo go tu mityguje: Ady ciszy, Waloś, nie krzyc tak, poco to somsiady majom się zaro slatować! A un nic, ino furt swoje. Dopiro jak mie tak sklun, sklun, scholerowoł, to sie uspokoił. I tak zawdy kuńcył, ale to jakbym go dzisio słyszała: „Już niedługo cie wyniesie o tu, tu!“ I pokazowoł na ramie, że niby mojom tromne na smyntorz poniesie. I nie doczekoł ty chwili, bo już som we zimi lezy!

Mój Boże, mój Boże! Taki człowiek doskunały, meszczyzna ma sie rozumić, nie ułomek, przecie go pani znała, i na taki mu kuniec marny przyszło? To pani nic nie wi, jak to było? Zaro, zobaczyłam, kiej to było... Aha! we środe tymu tydzień minyło. Lete jo, moja pani, do dumu, bo to sie człowiek bez całkie półdnia po mieście naloto, to rożnymu państwu usługuje, to żydom wode nosze, żeby tyż jaki grosz zarobić. Lete jo do dumu, bo tam dzieciska same, patrze zdaleka, a tu kole naszy kaminicy tylachna norodu. Coś mie tchnęło, lete jeszczyk pryndzy, rozpychom sie mindzy naród, patrze, a tu... O, godzino nieszczęśliwo, mój nieżywy w ryństoku lezy. Jak jo nie zaczne lamencić: O, ludzie, ludzie, ludzie sparwiedliwe, zmiłujta się nadymną sirotom nieszczęśliwom! Co jo tu poczne teroz samiutka jedna na świecie?“ Chciałam chłopa sprzuntnuńć do stancji, gdzietam, nie kozały! Policjo już tam była, pretekuł

spisowała, a potym go wziny do szpitala. Jakby to był pogan jaki, a nie chrześcjan sprawiedliwy, dochtory go tam pokrajały, żeby oboczyć, bez co tak nagle pomarł. Powiadały, że mu się gorzałka we wnutrzu zapoliła. Pani, jo w to nie wierze. Gdzie tam? Ta chłop tyligo wieku dożył i zawdy pił i nie tak, jak dzisia, bo przecie downi lepsze casy były, to sobie mógł wincy pozwolić, i nigdy mu nic nie było, a teroz ni z tego, ni z owygo gorzołka mu się zapoliła we wnuntrzu? Nie, pani, unygo musiały struć, ale kto tam tego dochodzić bydzie? Kto sie za bidnym ujmie? Nima dla bidoków sprawiedliwości na tym świecie, nie!

A taki człowiek był prześcipny i wesoły! aż miło! Nieraz we sobote po wypłacie, jak sie tak troche zabałamoncił w szynku, zaś przyszedł do domu, a jo tu pani, bywało podłoge szoruje. Bo to się człowiek bez całki tydzień naloto po tych państwach, co im usługuje, to żydom wode nosze, a we sobote człowiek chciołby i te swoje stancje do porzuntku doprowadzić. Jo tu, pani, podłoge szoruje, kiecke do pasa mum podkasanom, rękawy do łokci zawninte, stoje w ty wodzie, ścirke nad cebrym wykruncum, a tu mój przychodzi. Na ty mokry podłodze siado, ze szuflody nóż i widelec bierze, jak nie zacznie bymbnić a wyśpiwywoć! Zaś powiado: „Tańcuj, staro!“ To jakżym stała, pani, musiałam wszystko rzucić, za boki sie chycić i tańcować. Bo, niech Bóg broni, żeby go nie posłuchać! Tego już nie znosił! Zaroz broł, co popadło w rynce, choćby tyn nóż, a widelec i ciskoł wy mnie. O, mój Walosiu serdecny, przed kim jo tero byde tańcowała, kiej ty w zimi leżysz?!

Dobry człowiek był, rzetelny, nigdy mnie nie bił, jak te drugie, co to sie człowiek nieroz napatrzy, nasłucho. Tego nie powim, żeby mnie bił, bobym zgrzyszyła. I nieroz ino to tak mnie wzion za włosy i tak wodził po całki stancji. Takum już w tym lubość mioł. A jak zaś mie puścił, to mu całkie garście kłaków w ryncach ostały. Ale przecie jest munż, cheba prawo do żuny mo, nie? Ale żeby un mi kiedy przykro przy szedł, żeby un mi kiedy marne słowo powiedział, to nigdy, a nigdy! Ni moge powiedzieć, bobym zgrzyszyła.

Dobry człowiek był, jak mu tak nieroz jaki grosz do kieszyni wpodł wincy, to nie stracił, ino kupił wusztu, rozmaitego wusztu nakupił: i kiełbasy kupił i leberki kupił i salcesonu i cornygo, do tego wódki butelke odpowiedniom, som nie wypił, nie zjadł, do dumu przyniósł, z namy sie podzielił. Du mnie przepił po przyjacielsku, dziecium doł sprawiedliwie, tym starszym po kieliszku, małym po pół, potym wuszt podzielił porównu, taki to człowiek był i już go nima. A jo tu sirota ostałam na świecie samiutka jedna, jak ta panna w tańcu, z pińciorgim dzieci.

żeby to jeszce były dzieci odchowałe, ale co to, drobiozg taki! Najstarszymu dopiro na cternasty idzie. Chłopok zaradny dosyć jest, ni możno powiedzieć. Un jeszce za życia nieboszczyka jak wyszedł na miasto, to nieraz poradził zarobić wincy jak ojciec. Ale bo to jo mom serce, żeby takimu robokowi odbirać, co sobie zarobi? A taki podobny do moigo! Kubek w kubek wdoł sie w niego: jak zobocy wódke we flaszce, to mu się ocy zaiskrzą jak u wilka i nie odyńdzie, póki nie dostanie. Taki już je i tyle!

Potym idzie Mańcia. Uny sie dopiro na dwunasty obrócilo. Ładno szelma dzioucha! Te ślipia mo corne jak torecki! Chłopy sie już za nium oglądają, że ino. Ale cóż to, dziecko jeszcze, bo to jo mum suminie

taki drobiozg na ulice wyganiać? Późni, jak dorośnie — to sobie rade do, jeszce i mnie przy nij bydzie dobrze, ale póki co, musze odziwać i żywić.

Trzeci je Franuś, un mo dopiro na dziewiunty. Downi chodził po prośbie. Nieroz sobie galancie uzbirOł i przyodziwku i jodła, casym i grosz jaki przyniósł. A teraz, słyszała pani, co znowy za prawo wydały? Nie wolno żebrać! Co te ludzie sobie myślom? To co, chłopok od malińkości mo sie na złodzieja kierować? Powiadajum, żeby do szkoły chodził. Moja pani, jo już, Bogu dzinka, osim dzieci pochowałam, teroz mom tych pińć, co jeszcze żyją, żodnygo do szkoły nie posyłałam, a chowały mi się niezgorzyj. Szkoła to jest dobro lo bogatych, a nie lo takich bidaków jak my. Dzisiej inżyniery, doktory i inne ucune przez roboty siedzom, a jo byde swoje dzieci do szkoły posyłać! My na takie zbytki ni momy.

No i jeszcze te dwa bliźnioki. Uny już majom na piąty. Ale nie wim, pani, cy uny mi się wychowają. Chocia już im na piunty się obróciło, chodzić nie poradzum. Te głowiny im takie dużachne porosły, a mocy w nich nijaki ni ma. I człowiek sie o nie staro przecie i obigo jak może. Niech mi pani wierzy, jak tu stoje: nieroz sobie od gumby tyn kieliszek odymne i im dom, żeby siły nabrały, i nic. Radzili my się znachora, kozoł je takim zielim okodzać i tyż na psa sie zdało. Jo już sobie tak myśle: jeżeli uny mi sie majom wychować, to i tak sie wychowajom. A jak nie, to co jo tu słabo kobita przeciw woli Boski byde wystympować? Jak mo być — niech bydzie.

Tak, tak, moja pani, cóz robić. Narzykanie nic nie pomoże. A jak mowioł mój nieboscyk: Na frasunek — dobry trunek. Chodźma, pani, naprzeciwko, postawie po jednym. Nadźwigałam jo sie ty wody dosyć, że mie krzyże bolą. To mi się przydo na wzmocninie. Ady niech sie pani nie wymowio. Dziś jo, jutro pani postawi. Musimy sie kobity wspirać wzaimnie! Bo kto o nos dboł bydzie?

Zofja Olszewska.

Zduńska Wola.

A M N E S T J A!

Podczas ostatniej debaty sejmowej nad budżetem ministerjum skarbu jeden z posłów p. Pietrzak rzucił z trybuny sejmowej projekt, aby państwo przyznało emerytury tym najbardziej zasłużonym dla monopolu spirytusowego obywatelom, którzy cały swój majątek złożyli mu w dani, t. j. krótko mówiąc, — przepili wszystko, co mieli. Wniosek ten upadł, nie był zresztą wcale głosowany, ale wkrótce potem nadeszło do władz skarbowych podanie jakiegoś pijaczyny z okolic Płocka, który wyznawał w niem, że mimo swych lat 80 musi codziennie wypić „setkę", a że nie ma już na to, prosi, aby mu ministerjum przyznało taką „setkę" dziennie, jako zaopatrzenie dożywotne.

I tym razem propozycja płockiego alkoholika nie znalazła aprobaty, ale zdaje się, że w jednym i drugim wypadku odmowa miała ten sam powód, mianowicie, że takie z a o p a t r z e n i e n o t o r y c z n y c h p i j a k ó w j u ż i s t n i e j e!

Aby sobie ten fakt uprzytomnić, wróćmy pamięcią do niedawnej,

ogłoszonej przed Sylwestrem amnestji. Skorzystało z niej kilkadziesiąt tysięcy więźniów, odsiadujących w więzieniach polskich mniejsze kary za rabunki, napady, kradzieże i oszustwa, to jest przeważnie za zbrodnie, mające na celu zdobycie cudzych pieniędzy dla siebie. W ogromnej większości wypadków motywem zdobycia pieniędzy jest chęć użycia, jest wódka. Wiadomo, że dobrze udane wyprawy bandyckie „oblewa się" w szynkach i prywatnie, że zdobyte przez kradzież, oszustwo, czy rabunek pieniądze w większości przepija się, że, krótko mówiąc, znaczna część zdobytych przez te zbrodnie pieniędzy zasila kasy monopolu spirytusowego, bo znaczna część samych zbrodni popełniana jest dla wódki.

Oczywiście, nie będziemy twierdzić, że niema zbrodni popełnianych nie w chęci zysku. Są. Nie dla zysku gwałcone są nieletnie dziewczęta i dzieci, nie dla zysku „rywale", przeważnie na weselach chłopskich rozbijają sobie głowy, albo dźgają się nożami. Ale te znów zbrodnie popełniane są przez wódkę, przeważnie w stanie silnego zamroczenia alkoholowego.

Jest jeszcze pozostały odsetek kryminalistów, których zbrodnie nie mają bezpośredniego związku ani z chęcią zysku, ani z monopolem wódczanym. Oto porzucona matka udusiła swe dziecko, oto doprowadzony do ostateczności bezrobotny, niemający nic do stracenia, podpalił swą izdebkę, oto zgłodniały wyrostek sięgnął w tramwaju do cudzej kieszeni... Te, stosunkowo nieliczne, wypadki też dają pewną kategorję więźniów, pchniętych do występku nie bezpośrednio przez wódkę, ale przez nędzę... Ale i ta nędza jakże często jest wynikiem „zwiększonych obrotów monopolu spirytusowego".

Otóż takich to dwadzieścia kilka tysięcy kryminalistów wypuszczono w końcu ubiegłego roku na wolność. Większość z nich, powróciwszy na łono rodzin i kompanów, zaczęła swój „wolny żywot" od dokumentnego oblania tego faktu i niewątpliwie czuła strzałka na barometrze dochodów monopolowych drgnęła wówczas wyraźnie w kierunku zwiększenia konsumcji. Przyszli lokatorzy Pawiaków i Wronek postawili pierwsze kroki na drodze powrotnej do niedawno opuszczonych siedzib...

Ale czemże były te siedziby? Co w nich otrzymywali „zasłużeni konsumenci wyrobów państwowego monopolu spirytusowego". Ano nic, tylko pomieszczenie, przeważnie suche i ciepłe, życie skromne, ale zdrowe, opał, ubranie, pranie czyli tak zw. minimum egzystencji, to jest ani mniej, ani więcej niż otrzymują przeciętnie obecnie od państwa emeryci, za swą pracę i zasługi naprz. w dziedzinie szkolnictwa, kolejnictwa, pocztowej...

Jest w tych obserwacjach pewna zgodność, będąca wynikiem jakiejś nieomal cynicznej sprawiedliwości. Mogło być naprzykład dwuch braci, jeden uczył przez 30 lat, a drugi pił i tracił. Potem przyszła emerytura. Jeden dostał 90 zł. miesięcznie, a drugi, zabiwszy kogoś po pijanemu, — 15 lat więzienia, czyli życie, mieszkanie, opał, pranie etc.

Mógłby ktoś powiedzieć, że utrzymanie więźnia kosztuje ok. 40 groszy (wraz z administracją i całym aparatem sprawiedliwości karnej zapewne znacznie więcej), a emeryt zwykły dostaje złotówkę, albo i więcej na dzień, ale i tu bywają różne rekompensaty, bo naprz. stary emeryt oświatowy może być na utrzymaniu państwa kilka lat, a młody —

monopolowy może być skazany na dożywotne więzienie i być utrzymankiem Państwa przez lat naprz. 35.

Monopol spirytusowy sporządza bodaj co miesiąc precyzyjne tablice z wykazem „czystego“ zysku, jaki daje skarbowi. Niestety, od tego czystego zysku (który właściwie jest brudny) nikt nie odejmuje tych olbrzymich sum, jakie wydaje skarb państwa i samorządy na utrzymanie „emerytów wódczanych“, nie tylko tych więziennych, ale szpitalnych, przytułkowych etc. Może wówczas okazałoby się, że zdobycie tych kilkuset miljonów, jakie wpłaca monopol do skarbu, kosztowało znacznie więcej. Może rachunek „zysków i strat“ wypadłby jeszcze jaskrawiej, gdyby uwzględnić spustoszenie, jakie monopol spirytusowy, czy raczej spirytus monopolowy, (jak zresztą i każdy inny), robi w zdrowiu ogółu, jak odbija się na naszej obronności, na wartości rekruta...

Te wszystkie pozycje są właściwie szeroko pojętem „zaopatrzeniem emerytów spirytusowych“. Ostatnio — w końcu ub. roku — emerytury te odrobinę zmniejszono, wypuszczając przedterminowo więźniów, którzy powinni byli jeszcze przez pewien czas pozostawać na utrzymaniu państwa.

Ale mówi się „trudno“. Skarb nie ma pieniędzy. Obcina się wszystkim emerytom, — trzeba coś ująć i wódczanym.

Sprawiedliwość musi być!

Biestan.

ŚWIETLICZANIN.

Stanowczo! życie Janka nie obfitowało w zbyt miłe momenty. Sielskie anielskie dzieciństwo było mu nieznane zupełnie, nie wliczając w to oczywiście okresu niemowlęctwa, kiedy w miękkich, matczynych objęciach śnił zapewne o życiu tak radosnem, jasnem, jak uśmiech, wpatrującej się w niego matki.

Tego przecież Janek nie pamięta, wie tylko, że było źle, jest źle, i chyba już tak będzie dotąd, dokąd Janek nie dorośnie i nie rozpocznie życia na własną rękę. Projekty te są jednak bardzo odległe, a tymczasem — tymczasem blady świt zastaje Janka w ojcowskim warsztacie, dzierżącego w czerwonych od zimna rękach, kopyto z ociągniętą na niem robotą. Nowe, stare i te najstarsze „nosy“ damskich, męskich i dziecinnych, wyciągają się prosząco w kierunku dłoni Janka, pragnąc coprędzej wrócić do normalnego wyglądu i życia.

Nudno im tu i przykro czegoś w warsztacie pana majstra Dratewki. żal im pewnie Janka nieboraka, schylonego wciąż nad robotą i obijanego niemiłosiernie, gdy się coś nie uda, lub zmitręży. Pan majster już ma taką metodę nauki i upominania, w myśl zasady: „Lepsze bite, niż zdechłe“. W warsztacie stosuje ją tylko do syna, bo Antoni, starszy czeladnik, wyrobił sobie pracą taką estymę, że nawet sam majster, choć go nie lubi, bo Antoni abstynentem się zowie, co w rozumieniu pana majstra jest czemś nienormalnem zupełnie, to jednak Antoniego nieraz swoją prawą ręką nazywa, a złośliwi twierdzą, że obie ręce pana majstra, a nawet i głowę, jeśli chodzi o prowadzenie warsztatu, zupełnie zastąpić potrafi.

Janek więc tylko pada ofiarą ojcowskich niehumorów, spowodowanych działaniem alkoholu na zawsze cokolwiek słaby umysł pana majstra Dratewki.

Kiedy pan majster odsypia nocną hulankę, Janek, jak może, pracuje, by zamówieniom wydołać i matce okazać, że on, jako najstarszy (ma lat czternaście), potrafi ojca zastąpić, a w przyszłości ciężką dolę matki lżejszą uczynić.

Pracuje Janek w szarości poranka, w zimnie, (warsztat ogrzewa się dopiero po przyjściu Antoniego) w zaduszonem, przesyconem oparami alkoholu powietrzu.

Kilkadziesiąt par „nosów", nowych, starych i najstarszych plus zmarznięty nos chłopaka wchłaniają w siebie miazmaty tej trującej woni, świadczącej, iż pan majster długo jeszcze nie podniesie się z pijackiego snu.

Gdybyśmy zapytali kalosza gadułę, szczerzącego w jakimś szyderczym grymasie resztki szpilczastych zębów, dowiedzielibyśmy się dużo o panu majstrze i jego rodzinie. Stary kalosz zgryźliwy jest trochę, jako, że już oddawna pary mu zabrakło i samotnie dokańcza wspaniałego niegdyś żywota, ale serce ma złote i swadę niebywałą. Cóż dziwnego! Weteran to kaloszowego rodu, nie jedno błoto deptał i o niejedne wspaniałe posadzki się wycierał zanim los umieścił go u pana majstra Dratewki. Był on jeszcze wtedy żonaty (kalosz, nie pan majster), ale małżonka jego tragiczną śmiercią zginęła i to z ręki samego pana majstra. A było to tak: W jakimś rodzinnym sporze na temat sentymentu pana majstra do butelki pani kaloszowa miała nieszczęście znaleść się w pobliżu tkniętego na pijackim honorze majstra. Cóż łatwiejszego, jak zdeptać, zniszczyć, wreszcie, w jakiejś niezrozumiałej pasji wrzucić w czeluść pieca przedmiot, który ma tę nad człowiekiem wyższość, że znieważany milczy, a tę słabość, iż bronić się nie umie. Minęło sporo lat, nim gumowe serce pana kalosza ukoiło się po tej stracie, ale że zdrowia i wyglądu nie odzyskał, to pewna, został już warsztatowym rezydentem, zżył się z rodziną pana majstra, zaprzyjaźnił z innymi przedstawicielami buciego rodu i wolne od obserwacyj i rozmyślań chwile zapełnia gawędami towarzyskiemi. Dużo widział i dużo wie stary kalosz.

Zna wszystkie radości i smutki, łzy i uśmiechy. Tak dużo, dużo tych łez i dużo smutku. Kalosz, dziadowina, wie doskonale, że Janek bardzoby się pragnął uczyć, widzi go czytającego ukradkiem pożyczone od Antoniego książki. (Janek skończył cztery oddziały, chciał uczyć się dalej, ale ojciec uznał to za pańskie fanaberje i syna odebrał ze szkoły). Kalosz widzi więcej jeszcze — widzi, że chłopczyna zamęczony ciężką pracą, biciem, pokasłuje zcicha i blednie coraz bardziej. Domyśla się też nasz poczciwina, czemu to pani majstrowa zahukana i przygnębiona kobiecina, coraz częściej ukazuje mu się w kłębach pary i śnieżystej pianie mydlin. Codzienne pranie nasuwa mu myśl, że to nietylko nieliczna zresztą garderoba rodzinna ulega tak częstemu bieleniu, ile, że jest to robota „na wynos" dla podtrzymania domowego budżetu, tem bardziej chwiejnego w swej równowadze, im więcej zachwiana jest równowaga personalna pana majstra Dratewki. Tak, tak, wie to wszystko stary kalosz, i dziwi się jeno, że są ręce ludzkie tak zdatne i wytrwałe, aż do omdlenia, a raczej, po kaloszowemu mówiąc, „do zdarcia" i że są gardła,

które mogą wchłaniać w siebie całą tych rąk pracę i pić, pić bez ustanku, gdy on, kalosz, nigdy pić nie lubił.

Dzień, który rozpoczyna nową erę w życiu Janka, był taki sam jak poprzednie — smętny, szary, rozpłakany deszczem. W warsztacie jak zwykle, mroczno było, duszno i pracowicie. że to była sobota, śpieszono się, by obstalunki wykończyć wcześniej i resztę wieczoru spędzić przyjemniej. Antoni wybierał się na jakieś zebranie. Pan majster, jak zwykle, na „lumpkę“, tylko Janek miał siedzieć do późna przy naprawie starego obuwia. Zresztą i nie miał gdzie iść. Jedyny jego serdeczniejszy kolega Władek od kilku dni nie pokazywał się zupełnie. Czyżby był chory?

Trzasnęły wchodowe drzwi i jak wicher, a raczej razem z wichrem, wpadł ten, o którym Janek myślał przed chwilą — Władek. Pan majster, który na trzask otwieranych drzwi mniemał ujrzeć klijenta no i forsę potrzebną na „jednego“, zobaczywszy wyrostka, zaklął szpetnie i splunął przez zęby. Nie speszyło to przecież Władka, który, przysiadłszy na zydlu obok Janka, począł mówić żywo, a tak głośno, że najmłodsza latorośl pana majstra, układająca się właśnie do snu, roztkliwiła się czegoś i żałosnem zawodzeniem dawała znać o sobie. „Powiadam ci, Janek, pycha! Założyli ludziska coś takiego, co świetlicą nazwali. Taka świetlica to jest dla wszystkich, dla chłopaków i dziewczyn, dla młodych i starych. Pan Antoni też mógłby tam chodzić. Z początku, kiedy mi Wicek Grzesiak o tem powiedział, myślałem sobie — bujda! gdzieby tam obce ludzie naszą bidę na wątrobie mieli, kiedy swój swojaka o byle co spierze nieraz na glanc i jeno swojego zysku a uciechy patrzy. Mówię tedy Wickowi: nie nabierzesz mię bracie, kant to jakowyś być musi i tyle, ale kiedy on mi swoje cuda i cudeńka rozpowiadać zaczyna, poszedłem na odczepkę ino i wisz?“ tu mówca dla nabrania oddechu i spotęgowania wrażenia zamilkł na chwilę. „To wszystko prawda, co Wicek mówił, szczera prawda! Zastałem tam już sporo naszych i innych. Są tam takie izby, jasne, czyste, niczem w kościele, a każda od czego innego, w tej tańczą, śpiewają, w innej bawią się w gry różne, jeszcze w innej mają jakoweś zebrania“... „a są tam i książki?—zapytał nagle Janek z rozbłysłemi jak gwiazdy oczyma“. „Sie wi! i ile jeszcze, stoją se rzędami w szafie, jak żołnierze na „baczność“, a taka ślicznie uśmiechnięta pani (kierowniczką ją nazywają), daje je każdemu, kto o nie poprosi, czytają też i gazety, widziałem nawet taką ucieszną gazetkę, co ją sami świetliczanie (bo oni się tak nazywają) ułożyli i napisali. Ogromnie pocieszna sztuka. A wczoraj — taki siwy pan we szkiełkach na nosie mówił pięknie bardzo, po co to są takie świetlice i że młodzież, to znaczy chłopaki i dziewczyny, powinni przychodzić. Jest tylko jedna rzecz, że kto tam chodzi, to pić nie może, chyba czystą — ale wodę“. Tu łypnął niby niechcący okiem na pana majstra, który ciekawie przysłuchiwał się monologowi Władka. „Ta nasza świetlica nazywa się „Trzeźwość“, więc kto do niej wstępuje, z wódką musi wziąć rozbrat, to znaczy ślus“, zakończył gromko. „To i ja mógłbym tam bywać“ — zaczął nieśmiało Janek. „Ale! toć przecież po ciebie przyszedłem“. „Nie wiem czy ojciec pozwoli?“ „A dlaczegóżby nie? Prawda, panie majstrze, pozwolicie Jankowi do świetlicy się zapisać, należy mu się trochę odpoczynku po robocie, a i wiele ciekawych rzeczy się nauczy, a może i pan majster kiedy do nas zawita?“ dogadywał rezolutnie Władek. „Iiii... ja tam za stary jestem na takie faramuszki —

odburknął pan majster, a Janek powinien roboty pilnować, a nie światami latać". „Kiedy to już i po robocie—zabrał głos, milczący dotąd Antoni. Niechby chłopak poszedł i opowiedział nam później jak i co — możeby warto było do tej świetlicy chodzić". Pan majster machnął już tylko ręką i wyszedł, a Janek pobiegł do mieszkania umyć się i przebrać.

W świetlicy było tak właśnie jak opowiadał Władek. Od tego dnia zupełnie inne wydało się Jankowi życie. Robota paliła mu się poprostu w rękach, w oczekiwaniu wieczoru, który miał spędzić w gronie kolegów, przy zabawie, rozmowie, lub ciekawej książce. A teraz właśnie uczył się roli na mające się odbyć przedstawienie dla świetliczan i gości. Razem z Antonim (bo i ten także do świetlicy uczęszczał), omawiali różne świetlicowe sprawy i opowiadali pani majstrowej o życiu w świetlicy. Teraz od kilku dni namawiają panią majstrową, żeby w niedzielę przyszła zobaczyć, jak to oni grać będą. Niedaleko... i nic nie kosztuje. Dała się namówić. Przecież każdy człowiek, choćby najbardziej spracowany i smutny, rozrywki jakiejś potrzebuje. Pragnie też pani majstrowa ujrzeć swego syna na scenie. Szykuje się więc, a ku oknu spogląda, gdzie pan majster, sumujący coś, siedzi. „Stary, a możebyś i ty poszedł? Janek się ucieszy, a i tobie będzie miło, że masz takiego syna, co i do kopyta i do teatru sprawny — co, pójdziesz?" Trafiła dobrze. Pan Dratewka pieniędzy akurat nie miał, a rzecz wiadoma, że bez pieniędzy i kamratów brak, zresztą te opowiadania o świetlicy obudziły w nim może zamierzchłe echa dawnych pragnień i marzeń, które zginąć musiały, bo pijaństwo nęciło barem z każdego rogu ulicy, a o „trzeźwości" w sensie świetlicowym nie było, jak to mówią, „ani widu, ani słychu". Dał się pan majster namówić, poszedł i zupełnie mu się tam podobało. Było mu tylko trochę niewyraźnie, kiedy jeden z takich młodych odstawiał „pijaka". „Brak szacunku dla starszych", mruczał pod nosem, ale przyznawał w duchu, że taki wstawiony, „warjata" struga, i, że z tym szacunkiem jakoś nie sztymuje.

Nic niby nie zmieniło się po tej pierwszej wizycie pana majstra Dratewki w świetlicy, a jednak... wódka mniej smaczną się wydawać poczęła, kompani mniej szczerzy, skargi żony i płacz dzieci bardziej dokuczliwy, niedostatek bardziej widoczny.

Minęły dnie... tygodnie... miesiące... stary kalosz widzi jak dawniej Janka przy robocie, ale czy to ten sam Janek?... twarz czerstwa, wesoła, oczy jasne, na ustach uśmiech, a w pobok sam pan majster, pogwizdując, przygotowuje robotę dla czeladników. Z kuchni wydziela się smakowita woń potraw, przyrządzanych przez panią majstrową, (stary kalosz z rozkoszą wchłania ten smakowity zapach). Nie słychać gwaru, ani pisku dzieci (są w szkole o tej porze). Większe jednak dziwy widzi zdumiony kalosz wieczorami. Kiedy Janek z Antonim idą do świetlicy, pani majstrowa naprawia garderobę rodzinną, a pan majster sylabizuje wolno, ale wytrwale wiadomości z gazety, albo słucha jak przez fale eteru (ma i radjo) płyną różne mądrości, ku wzbogaceniu rozumu i serc ludzkich, niekiedy zaś razem z Jankiem idą na zebranie lub odczyt, i trzeba słyszeć jak pan majster mówi o sobie z dumą:

„Tociem i ja świetliczanin!"

Nela Krzepkowska.

WIERSZ O MAŁYM JANKU.

Mały Janku — — —
Wiem, że kiedy w domu jest trochę spokoju, marzysz o cudownych
[podróżach;
Kolorowe, dalekie kraje wyzłocone słońcem i szczęściem
Przybiegają niemal do dłoni.
Bo do dłoni przybiegają, wypryśnięte z balji,
Bańki mydlane —
Z pod rąk matki strasznie pomarszczonych.
Przybiegają i kuszą — — —
Odnajdujesz w nich kraje, swoje kraje,
Idziesz im naprzeciw!

O, jak smutnie walczy płomyk lampki naftowej z ciężką parą
I z tak dziwnie kołyszącym zapachem farbki;
Czemu oczy matki jakby wysrebrzone?
To łzy, Janku — — —
— — — ojca niema.

Czas leci... tak późno... ojca niema...

W kaszlu matki, w zgarbieniu znajdziesz wszystko:
Ból i żal, żal ogromny jak świat
I nienawiść! —
Unoszącą się z balji i duszącą powoli, okropnie...
Ojca niema — — —
— — — *wróci pijany!!!*

Do rąk spadła ci bańka mydlana — wymarzony twój świat.

Biedny jesteś, Janku, ze swojem marzeniem,
Taki biedny;
Wkrótce wróci ojciec i wódką twój spokój zatruje;
Będzie bił matkę — — —
Będziesz krzyczał i zaciskał pięści,
Ale to nic, Janku, to nic, jak urośniesz, wtedy nowy świat zbudujem!

Józef Lipiński.

HULAJ DUSZA.

Satyra.

Hulaj dusza, piekła niema,
Szalej, człeku, pókiś młody,
Precz rozsądek, smutek, trema,
Winem zlewaj życia gody!

Hulaj dusza — na zabawie,
Choć w kieszeni masz trzy grosze,
Lecz kryzysu niema prawie,
Więc do tańca grzecznie proszę.

Hulaj dusza, choć na grzbiecie,
Już ostatnie drą się łachy,
Więc kieliszek przy bufecie,
Furda „Trzeźwość",—furda strachy.

Hulaj dusza, chociaż w domu
Bieda piszczy, gołe ściany,
Czy zaszkodzi dziś to komu,
żeś, braciszku, jest zawiany...

Hulaj dusza, w karnawale,
Top w kieliszku przyszłość całą,
Baw się szczerze i wytrwale,
Choć wciąż będziesz mieć za mało...

Hulaj dusza — krótkie życie,
Nędzą twą się nikt nie wzrusza —
Więc jak starcza na upicie,
Hulaj dusza, hulaj dusza...

Hulaj dusza — choć przed zgonem
Już odeszła cię ochota...
Hulaj... — Wszystko już stracone...
Tryumfuje twa głupota...

Eugenjusz Kłosowski.

„W WALCE O CZŁOWIEKA“.

Ukazała się książka *Kazimierza Kalinowskiego „W walce o człowieka“*, która jak dobry, jasny promień rozświetla polską literaturę przeciwalkoholową.

Jest to zbiór przemówień i wykładów w ciągu kilku lat wygłaszanych przez Autora, obecnie Prezesa Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość‘ na kongresach przeciwalkoholowych, kursach alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie, w cyklu Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego i przy innych sposobnościach.

O alkoholu napisano w Polsce już dużo. Od czasu zainteresowania się u nas nowoczesnym ruchem przeciwalkoholowym, t. j. od lat przeszło 30-tu wydano całe mnóstwo broszur i książek pisanych przez lekarzy, przyrodników, ekonomistów, duchownych i społeczników, działaczy przeciwalkoholowych; rozeszło się między czytających kilka bardzo poważnych dzieł naukowych obcych i polskich wybitnych uczonych jak: Dr. Heleniusa, Prof. Dybowskiego, Kleckiego, Popielskiego, Radziwiłłowicza, Gantkowskiego, Dyr. Duchowicza, Red. Szymańskiego i innych, które tak wszechstronnie omówiły sprawę alkoholizmu i jego zwalczania, że chyba już nic więcej nowego dodać nie można. Z tych licznych wydawnictw mogli się wszyscy tak dobrze nauczyć, jak to alkohol szkodzi na żołądek i nerki, jak zagraża nałogiem; jak siebie i społeczeństwo bronić od trucizny rujnującej organizm, że jeszcze jedna obszerna książka przeciwalkoholowa wydaje się zupełnie zbyteczna. A jednak to nowe dzieło wypełnia w literaturze przeciwalkoholowej brak, którego się przedtem nie spostrzegało.

Przed przystąpieniem do omówienia treści książki nie od rzeczy przypomnieć o pierwszem przemówieniu przeciwalkoholowem wypowiedzianem przez Szanownego Autora, a umieszczonem w książce na ostatniem miejscu p. t. „Przekleństwo życia“.

Gdy przed kilku laty, organizując kurs alkohologji w Krakowie, szukałem prelegentów, odwiedziłem p. Kalinowskiego, którego znałem jako wypróbowanego abstynenta, niepowszedniej wartości literata, wytrawnego publicystę i jednego z najlepszych prelegentów w Polsce. Poproszony o przemówienie inauguracyjne na kursie, z miejsca odmówił, a gdy nie przestawałem nalegać—do dzisiaj dobrze pamiętam—od argumentów moich zaczął się wymownym gestem rąk opędzać, jak od natrętnej muchy, bo, jak twierdził, nie zna zagadnienia, choć od bardzo dawnych lat jest abstynentem, nigdy praktycznie nie zajmował się działalnością przeciwalkoholową, w tych sprawach nie jest autorytetem, więc mam szukać kogoś lepszego.

Odszedłem z odmową, ale zarazem z przeświadczeniem, że lepszego prelegenta nie znajdę. Ponieważ jednak chodziło o wypełnienie godzin wykładami tylko najlepszych mówców i znawców przedmiotu, nie pozostawało mi nic innego, jak nazajutrz wejść do p. Kalinowskiego innemi drzwiami i jeszcze kilkakrotnie powtarzać zaproszenie, aż wreszcie uzyskałem zgodę.

W oznaczonej godzinie stanął oczekiwany Prelegent w sali przepełnionej słuchaczami, by między nich rzucić swe pełne powagi myśli. Salę zaległa dostojna cisza. Audytorjum oniemiało, całe zamienione w słuch,

z przejęciem wchłaniając natchnione słowa, a po ostatniem zdaniu odpowiedziała w podziękowaniu taka burza oklasków, jaka nie zwykła powstawać na kursach naukowych.

Wysłuchawszy tego przemówienia, zrozumiałem trudność zdecydowania się Szanownego Autora na przyjęcie prelekcji. By przygotować wykład o alkoholizmie, o jego stronie zdrowotnej, społecznej, czy gospodarczej, wystarczy nawet dla niespecjalisty przewertować dla przypomnienia kilka dzieł, traktujących o przedmiocie, skreślić kilka notatek. By jednak przedstawić tragedję duszy ludzkiej, by dać jasny obraz przejawów życia, oplątanego alkoholizmem, trzeba wiele przemyśleć i daleko sięgnąć do głębi własnej twórczości nacechowanej natchnieniem.

Po wstępnem przemówieniu nastąpił dwugodzinny wykład innego prelegenta. Pan Kalinowski, zająwszy miejsce po stronie słuchaczy, uprzedził, że w ciągu wykładu będzie musiał opuścić salę, bo ma ważne, terminowe inne sprawy. Dziwnie jednak te inne sprawy zmalały w swej ważności, bo p. Kalinowski pozostał do końca wykładów. Wyjaśnił mi później, że choć od lat nie obce mu było zagadnienie alkoholizmu, nie mógł się zdobyć na wyrządzenie sobie przykrości opuszczenia wykładu, który nawet Jemu, uświadomionemu abstynentowi, dawał dużo nowych wiadomości. Obserwując przez ten czas liczne audytorjum, z niekłamanem zainteresowaniem słuchające wykładów o alkoholu, jaśniej niż przedtem uświadomił sobie potrzebę apostolskiej propagandy trzeźwości. Od tego czasu stanął do niej z podziwu godnym zapałem, przynosząc coraz nowe tematy przemówień na kursy i kongresy.

Szereg tych prelekcyj utrwala dzisiaj książka „W walce o człowieka". — Tytuł doskonale ujmuje treść wszystkich zawartych w niej ustępów, bo czy to weźmiemy „Krzyk nagiej duszy", czy „Polskie być albo nie być", czy też „Film pijanej poczekalni", wszędzie, w całej obfitej treści, jako naczelna idea, przejawia się troska o człowieka, a całokształt jego życia duchowego.

W każdym szkicu literackim, skreślonym wykwintnym językiem, rozsnuwa głęboko ujęte rozważania, odsłaniające potworną otchłań, co wciąga w swe mroki zdeptaną alkoholem dostojność człowieka. Kalinowski pierwszy wśród polskich alkohologów zajął się tą stroną alkoholizmu, której w tym stopniu nie dostrzega fizjolog, ani lekarz, ani ekonomista. Kalinowski z szczególną jasnością widzi zatracanie w oparach alkoholowych człowieczeństwa, widzi zgubę duszy ludzkiej, skazanej na bytowanie w karczmie dnia dzisiejszego.

Książka przeciwalkoholowa Kalinowskiego daleko odbiegła od szablonu podręczników alkohologji zbudowanych na zrębie niemieckiej systematyczności. Autor nie mówi o nerkach i żołądku, nie rejestruje cyfrowo wydatków na alkohol, nie cytuje danych statystycznych, dotyczących zbrodni i nieszczęśliwych wypadków, nie przedstawia wykresów zwyrodnienia potomstwa, lecz przecież zaznajamia czytelnika ze wszystkiem, co się składa na zjawisko nowoczesnego alkoholizmu, sięgając aż hen w daleką przeszłość jego narodzin. W bukiet kwiecistych słów ubierając szare wiadomości o alkoholizmie, w niczem nie odbiega od tak pełnej, ostrożnej ścisłości naukowej, jaka nie zawsze znajdzie się w dziełach zawodowych naukowców.

„W walce o człowieka" przedstawia dla polskiego ruchu przeciwal-

koholowego wartość bardzo wysoką. Może oddać wielkie usługi czytelnikom, prelegentom i kapłanom na ambonie.

Forma zewnętrzna książki z widoczną starannością stworzona przez Drukarnię Związkową w Krakowie, nie odpowiada jednak treści, bo złotem powinny być drukowane słowa Mistrza, który stanął na naczelnem miejscu wśród tych, co podjęli troskę o dobro duszy ludzkiej i jasność polskiej przyszłości.

Mikołaj Skiba.

Lwów.

HIGJENA PSYCHICZNA.

W numerze 3—4 „Trzeźwości" z r. 1935 sygnalizowałem naszym Czytelnikom ukazanie się nowego pisma, poświęconego sprawom profilaktyki psychjatrycznej i medycynie społecznej, pod tytułem „Higjena Psychiczna". Pismo redagowane jest przez dr. *Oskara Bielawskiego*, Dyrektora Zakładu Psychjatrycznego w Kościanie i Redaktora „Nowin Psychjatrycznych", które po zgonie ś. p. *Aleksandra Piotrowskiego* znalazły w dr. *Bielawskim* swojego nowego Kierownika. W skład komitetu redakcyjnego wchodzą: doc. *E. Artwiński*, prof. *St. Baley*, doc. *Br. Biegeleisen*, prof. *St. Błachowski*, prof. *St. Borowiecki*, doc. *W. Łuniewski*, płk. *J. Nelken*, doc. *W. Sterling*, prez. *L. Wernic* i dyr. *H. Zajączkowski*, ale, jak to zwykle z komitetami redakcyjnemi bywa, stanowią one niejako ozdobę pisma, jakby jakieś najbardziej autorytatywne imprimatur, a wszelkie trudy i wszystkie słodycze pracy nad każdym nowym numerem są wyłącznym udziałem Naczelnego Redaktora.

Dr. *Oskar Bielawski* jest w tem szczęśliwem położeniu, dzięki własnym wysiłkom, wiedzy i dobremu smakowi, który pozwolił Mu pięknie rozwiązać graficzny układ pisma, że rezultaty Jego pracy wzbudzają najwyższy podziw i stanowią należną rekompensatę za pokonanie tych przeciwności, jakie w dzisiejszych czasach nadprodukcji słowa drukowanego musi przezwyciężyć każde pismo, pragnące znaleźć czytelników i zapewnić sobie możność samodzielnego trwania. Już pierwszy numer „Higjeny Psychicznej" pozwalał postawić temu pismu jaknajlepsze rokowanie na przyszłość. Obecnie leży przedemną numer 6—7 za ostatni kwartał r. 1935, i zarówno jego szata zewnętrzna, układ, jak i bogaty materjał spełniają nasze najśmielsze nadzieje i zmuszają do dokładnego zapoznania się z jego treścią, organicznie związaną z zagadnieniami, którym służy nasz miesięcznik.

Czołowa rozprawa 6—7-go numeru „Higjeny Psychicznej" p. t. „Obezpłodnienie w Polsce, — zarys problemu de lege lata i de lege ferenda", napisana przez *Henryka Żółtowskiego*, magistra iur. et rer. pol., jest może najlepszem i najbardziej rzeczowo sformułowanem przedstawieniem tego pasjonującego problemu w naszem piśmiennictwie specjalnem, a jednocześnie zawiera ostrą krytykę projektu Polskiej Ustawy Eugenicznej, referowanej niedawno na posiedzeniu Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia. Autor, po dokładnem ustaleniu terminologji (Obezpłodnienie: zabiegi kastracyjne i zabiegi sterylizacyjne; wskazania obezpłodnienia: wskazania indywidualne, dzielące się na: kliniczne, profilaktycz-

ne, psychjatryczne; wskazania socjalne, dzielące się na: eugeniczne i ekonomiczne), — dochodzi do przekonania, że Ustawę Eugeniczną możnaby było jedynie usprawiedliwić zdecydowanemi poglądami na zagadnienie dziedziczenia, w sensie uznania dziedziczności za czynnik dominujący przy powstawaniu zaburzeń chorobowych, wpływających na jakość gatunku ludzkiego. Tymczasem rozdźwięk, jaki zapanował w chwili ukazania się pierwszych prac o dziedziczeniu chorób umysłowych między zwolennikami najrozmaitszych teoryj, w czasach ostatnich zaznacza się wzmożonym krytycyzmem wobec zwolenników dziedziczenia. W ostatecznych konkluzjach Autor tak formułuje swoje stanowisko: „Nie uważamy momentów czysto genetycznych, na których opiera się eugenika, za dostateczną podstawę do stosowania przymusu państwowego (w dziedzinie sterylizacji); o ile więc uznamy w pełni pewne nastawienie eugeniczne w ogólnej postawie ustawodawcy, o tyle odrzucamy wydawanie ustaw czysto eugenicznych, ograniczających prawa osobiste, jako: 1. niedostatecznie naukowo ugruntowanych, 2. sprzeciwiających się zapatrywaniom ogółu".

Jednak jest rzeczą konieczną — jak stwierdza Autor — uregulowanie zagadnienia sterylizacji w drodze ustawodawczej, gdyż wiemy, że przeprowadza się u nas zabiegi sterylizacyjne w klinikach i szpitalach, a stosunek naszego Kodeksu Karnego do tych spraw jest określony raczej pomysłowością interpretatorów, niż jakimś wyraźnym i wyczerpującym przepisem. O interesującym nas zabiegu wspomina jedynie art. 235 K. K., mówiąc ogólnikowo o „uszkodzeniach ciała", a prokurator S. N. *St. Czerwiński*, komentując ten artykuł, wyraża pogląd, że zabieg sterylizacyjny jest aktem prawnym, a więc niekaralnym, jedynie wówczas, o ile współistnieje z nim stan wyższej konieczności.

Inny komentator, prof. *Grzywo-Dąbrowski* stwierdza, że „dokonanie sterylizacji lub kastracji za zgodą osoby operowanej, według naszego ustawodawstwa, nie jest przestępstwem", (a więc nawet w wypadku niemożności stwierdzenia stanu wyższej konieczności). Ten stan prawny domaga się uregulowania i Autor, będący przeciwnikiem specjalnej ustawy eugenicznej, proponuje wprowadzenie noweli do naszego Kodeksu Karnego, którąby obejmowała Rozdział XII K. K. o środkach zabezpieczających. Projekt takiej noweli Autor podaje w zakończeniu swojej rozprawy.

Mgr. *Henryk Żółtowski* jest zwolennikiem przymusu sterylizacji ze względów społecznych, wypowiadając się jednocześnie przeciwko wskazaniom eugenicznym. Tezę swoją przeprowadza w sposób bardzo przekonywujący i niewątpliwie najgorętsi przeciwnicy sterylizacji po przeczytaniu jego artykułu czuliby się poważnie zagrożeni w swoich dotychczasowych poglądach. Ale przy końcu omawianego numeru „Higjeny Psychicznej" znajdujemy osobny dział p. t. „Wymiana Myśli", otwarty krótkim artykułem polemicznym dr. *G. Wirszubskiego*, który występuje przeciwko sterylizacji przymusowej ze wskazań socjalnych, a na następnej stronicy mamy odpowiedź mgr. *H. Żółtowskiego*, p. t. „Racja stanu, a obezpłodnienie". Nagle stajemy w ogniu polemiki, w zamęcie celnych argumentów i wydaje się nam, że poglądy, które zdążyliśmy już ustalić i sklasyfikować, wyskoczą ze swoich katalogów, zniszczą prostą linję ustalonych regestrów, rozwichrzą się niespodziankami i uderzą w nas,

nieprzygotowanych na taki obrót rzeczy. I z tego zamętu argumentów, nowych oświetleń, przyczynków rodzi się uczucie podziwu dla Naczelnego Redaktora, który z wielką umiejętnością, z subtelnem ukrywaniem własnych intencyj, potrafił pokazać czytelnikowi to pozornie suche zagadnienie w tak wielu związkach i zależnościach, w tylu najrozmaitszych oświetleniach, że zaczyna ono urastać do godności problemu o podstawowem znaczeniu dla całej naszej kultury.

W dziale sprawozdań mamy niejako zamknięcie tego zagadnienia, niejako podsumowanie całej dyskusji i wyciągnięcie pewnych wniosków. Mam na myśli obszerne streszczenie artykułu płk. dr. *J. Nelkena* p. t. „Higjena psychiczna usposobienia psychopatycznego jako zagadnienie kultury", drukowanego w Nr. 3—4 „Zagadnień Rasy". Ze względu na wielki autorytet i długoletnie doświadczenie psychjatryczne Autora, podaję ostateczne konkluzje Jego rozważań.

„Należy pamiętać, że obok przeciętnej normalności, stanowiącej życie ogółu i wymagającej z punktu widzenia higjeny psychicznej troskliwej opieki, nie mniej są ważne rzuty i pchnięcia w przyszłość, dokonywane przez wybitnie zdolnych i genjalnych psychopatów. Nowoczesna kultura, a zatem i wszelkie dążenia eugeniczne, powinny zmierzać w tym kierunku, żeby normalnej masie dać możliwie odpowiednie warunki rozwoju i życia, a uzdolnionym psychopatom, którzy noszą w sobie pewne rzuty społeczne, naukowe, czy artystyczne, dać możność wyżycia się z jaknajwiększą korzyścią dla ogółu. Szarym zaś psychopatom, mało zdolnym i specjalnie nieszkodliwym, należy stworzyć warunki łatwego przystosowania się do życia przeciętnego, do wyzyskania ich stron życiowo i społecznie dodatnich.

„Zupełne usunięcie psychopatów od rozrodu działałoby bezwzględnie dysgenicznie.

„Byłoby to rzeczywiście sprowadzenie cywilizacji do przewagi fizycznie zupełnie zdrowego pokolenia, w którem przeżuwanie stałoby wyżej od pędu naprzód, od rozwoju psychicznego wogóle, od wszelkiej oryginalnej myśli, a rozwój rzekomej kultury szedłby wyłącznie po linji zakazu.

„Sterylizacja szeroka jest sama przez się pomysłem psychopatycznym".

W dziale prac oryginalnych, poza omówioną rozprawą mgr. *H. Żółtowskiego*, „Higjena Psychiczna" przynosi artykuł polemiczny Płk. Dr. *Jana Nelkena* p. t. „Higjena Higjeny", który zasługuje na specjalną uwagę nie tylko ze względu na stanowisko Autora wobec zamaskowanego nihilizmu, znajdującego wyraz w programowych publikacjach teoretyków pewnego typu, ale i ze względu na wdzięk i jasność Jego stylu, dowcip, celowość argumentacji i wielką zwięzłość, jednem słowem te cnoty, którym — niestety — tak rzadko hołdują autorowie — specjaliści.

Punktem wyjścia rozważań Płk. *J. Nelkena* jest praca prof. *J. Klasi'ego* p. t. „Higjena Higjeny", bardzo znamienna dla aktualnych dążeń pewnych grup i jednostek, których ideały są realizowane z największą intensywnością w dzisiejszych Niemczech, a pozatem żywo przypomina-

jąca w ogólnym tonie i podejściu do całego zespołu zjawisk kulturalnych słabą książkę wielkiego angielskiego pisarza, Aldousa Huxley'a — „Nowy wspaniały świat". Prof. *Klasi* uważa, że ludzie współcześni żyją zbyt wygodnie. Zbyt mało mają przeciwności do zwalczania, żeby móc wyrabiać w sobie tęgie charaktery. Natura sama, w celu otrzymania jaknajwspanialszych okazów ludzkich, stawia na naszej drodze przeszkody i utrudnia nam proces przystosowania się do rzeczywistości. Utrudnianie naturze tej pracy jest czemś nad wyraz lekkomyślnem, dlatego nie powinniśmy zbyt szeroko szafować temi udogodnieniami, jakie zapewnia człowiekowi higjena, medycyna zapobiegawcza, urządzenia sanitarne i t. p. — Wiemy zbyt dobrze dokąd prowadzą takie rozumowania i Płk. *Nelken* część sprawozdawczą swego referatu kończy taką uwagą: „Urządzenia sanitarne mogą być też podarkiem Danaid! Autor, chociaż skłonny jest ofiarować każdemu swój własny W. C., jest zdania, że nerwowe zaparcie stolca zdarza się tem rzadziej, im mniej zachęcającem jest oczekiwanie i siedzenie w tem miejscu". A w zakończeniu swojej rozprawy przestrzega przed szerzeniem u nas takich poglądów, gdyż wobec nędzy i fatalnych warunków higjenicznych, w jakich żyje nasza ludność, byłoby to poprostu zbrodnią.

W części pisma, poświęconej sprawozdaniom, mamy obszerny dział pod nagłówkiem: *nałogi*, którego większą część zajmuje zagadnienie walki z alkoholizmem i obszerne sprawozdania z prac specjalnych, drukowanych w ostatnich numerach „Trzeźwości". Z literatury zagranicznej podane są sprawozdania z następujących prac: *B. Slotopolsky - Dukor* (Niemcy) — „Nowsze poglądy na alkoholizm", *A. Kronfeld* (Niemcy) — „Przyczynek do psychologji nałogu", *H. Binswanger* (Szwajcarja) — „Badania kliniczne i charakterologiczne w stanach patologicznego upojenia", *K. Pohlisch* (Niemcy) — „Nowe drogi do zwalczania alokholizmu w Niemczech w myśl zasad higjeny rasy", *Galant, J. Susmann* (Niemcy) — „O psychoterapji u alkoholików", *M. Fischer* (Niemcy) — „Opieka nad alkoholikami i psychjatrja" i *F. Lautenburg* (Szwajcarja) — „O naturze, potrzebach i obecnym stanie opieki nad alkoholikami".

W pracach tych uderza jedno: poza specjalnemi i interesującemi tylko lekarzy sformułowaniami i poglądami na istotę nałogu, na zmiany, jakie używanie trucizn odurzających wywołuje w organizmie człowieka, na każdym kroku niemal powtarza się tu szereg znanych prawd o destrukcyjnym wpływie alkoholizmu na życie osobnicze i zbiorowe i o podstawowych metodach walki z tą klęską. Nieledwie we wszystkich pracach podkreśla się konieczność jaknajwcześniejszego leczenia nałogu, nawet w tych jego okresach, które nie budzą jeszcze obaw w otoczeniu, i w związku z tem kładzie się zasadniczy nacisk na leczenie zapobiegawcze i na jaknajszerszą akcję wychowawczą, w pierwszym rzędzie w stosunku do młodzieży. Szczególnie autorzy niemieccy (jest rzeczą znamienną, że w Niemczech zagadnienie walki z alkoholizmem traktowane jest bardzo szeroko), łączą wielkie nadzieje z leczeniem zapobiegawczem i domagają się jaknajszerszego jego stosowania, tembardziej, że w stosunku do uleczalności zadawnionych stanów chorobowych przeważa wśród nich stanowisko zdecydowanie negatywne.

K. Pohlisch w pracy swojej p. t. „Nowe drogi do zwalczania alkoholizmu w Niemczech w myśl zasad higjeny rasy", nie cofa się przed ta-

kiem sformułowaniem: „Dopiero wtedy, kiedy opieka nad alkoholikami będzie częścią nieodłączną opieki społecznej, będziemy mogli liczyć na uwolnienie się od ciężaru chorób dziedzicznych“, podnosząc w ten sposób sprawę walki z alkoholizmem do godności problemu, którego pozytywne rozwiązanie jest zasadniczym warunkiem zdrowia narodu, jego materjalnego i kulturalnego rozwoju. *Galant* i *J. Susman* stwarzają pojęcie „psychoterapji kolektywistycznej“, której istota polega na oddziaływaniu otoczenia abstynenckiego na pacjenta. Autorowie ci uważają stowarzyszenia abstynenckie za organizacje specjalnie odpowiadające takim zadaniom i uważają je za czynnik bardzo ważny w lecznictwie alkoholizmu i walce z nim. Wielu autorów, nie negując znaczenia czynników zestrojowych i wewnętrznych konfliktów w powstawaniu nałogu, zwraca specjalną uwagę na czynniki zewnętrzne, sprzyjające, a nieraz bezpośrednio wywołujące alkoholizm. Głoszenie haseł całkowitej abstynencji i realizowanie ich przyczyni się w stopniu bardzo znacznym do zniesienia tych szkodliwych czynników zewnętrznych (np. obyczaje pijackie, złe stosunki rodzinne i t. p.), — i rzeczywiście, w wielu z tych prac (pisanych nie przez społeczników, a naukowców) postulat całkowitej abstynencji dyskutowany jest nie tylko jako zasadniczy warunek powodzenia kuracji odwykowej, ale i całej społecznej akcji zwalczania alkoholizmu.

Wielkie znaczenie powyższych stwierdzeń polega nie na ich nowości, gdyż przecież wszyscy działacze przeciwalkoholowi wypowiadają się w tym samym duchu, ale w tem, przez kogo są wypowiadane. Działacze społeczni mogą być zawsze łatwo posądzani o stronniczość, o to, że myślą kategorjami praktycznej użyteczności, a nie bezinteresownego poznania; tu jednak taki zarzut byłby zupełnie nie na miejscu. Fizjolog, który bada wpływ alkoholu na organizm ludzki, lekarz psychjatra, oceniający stopień zwyrodnienia władz psychicznych alkoholika, nie podchodzą do swego problemu z gotowem rozwiązaniem i w miarę ludzkich możności starają się nie podlegać sugestjom. Ich celem jest wykazanie pewnych zależności między poszczególnemi zjawiskami, bez względu na praktyczny pożytek i znaczenie społeczne wyników tej poznawczej pracy. Dlatego wobec sformułowań, których pobudką była bezinteresowna chęć poznania prawdy, bez względu na to, jakie będzie jej oblicze, wszelkie uprzedzenia muszą upaść, a kwestjonowanie znaczenia walki z alkoholizmem jako jednego z podstawowych zagadnień naszej cywilizacji staje się równoznaczne z ignorancją.

Omawiany przezemnie numer „Higjeny Psychicznej“ zamykają oceny książek i „Skrzynka Pocztowa“, za pośrednictwem której Redakcja udziela porad psychohigjenicznych. Przeglądając pierwszy z tych działów, zatrzymałem się dłużej przy ocenie książki *Bohdana Suchodolskiego* p. t. „Kultura współczesna, a wychowanie młodzieży“, pióra dr. *Oskara Bielawskiego*. I dopiero przy końcu tej lektury uświadomiłem sobie, dlaczego towarzyszyło jej uczucie zdziwienia, jakgdyby przez cały ten czas spotykały mnie same miłe niespodzianki: to przecież jest napisane pięknie — pomyślałem — i odrazu stało się jasne, dlaczego lektura „Higjeny Psychicznej“ tak zasadniczo różni się od codziennej konsumji specjalnych pism. Bo nie tylko w krótkiej pracy dr. *Bielawskie-*

go — jej styl skondensowany, służący najwierniej jasności myśli, pozbawiony niepotrzebnych słów, tych „zająknięć się“ pisarskich, mógłby być ozdobą każdego literackiego wydawnictwa — ale i w wewnętrznym nurcie całego pisma, w jego psychicznej barwie, w tej czułej redaktorskiej staranności, której tyle dowodów spotykamy tu na każdym kroku, czuje się rękę Człowieka, który wytrwale służy nie tylko wiedzy, ale i pięknu.

Na zakończenie drobna uwaga. W Warszawie powstał niedawno Instytut Higjeny Psychicznej. Ma powstać również Liga Higjeny Psychicznej, która będzie musiała posiadać swój własny organ prasowy. Czy nie należałoby wobec tego skorzystać z istniejącego już pisma i zamiast bawić się w nowe eksperymenty wydawnicze, uznać „Higjenę Psychiczną“ za oficjalny organ Ligi, popierając w ten sposób to cenne wydawnictwo.

Ponieważ możemy jaknajgoręcej polecić wszystkim naszym Czytelnikom prenumeratę „Higjeny Psychicznej“, podajemy adres Redakcji: Kościan, woj. Poznańskie, Sanatorjum dla Nerwowo-Chorych. Prenumerata roczna — zł. 12, cena pojedyńczego numeru — zł. 2.

Michał Klimowicz.

WALKA Z NARKOMANJĄ.

Juljan Firstenberg, Wiceprokurator Sądu Okręgowego: „Walka z narkomanją i handlem narkotykami na terenie sądowym“, wydanie drugie rozszerzone. Warszawa 1936 r., str. 59. Nakładem księgarni Fr. Hoesicka.

Po całkowitem wyczerpaniu nakładu w ciągu niespełna pół roku, ukazało się wydanie drugie, co świadczy zarówno o aktualności zagadnienia narkomanji, jak i o zrozumieniu jego wagi przez szersze koła społeczeństwa, przedewszystkiem zaś przez prawników, lekarzy i aptekarzy.

W nowem wydaniu autor przedstawił obszerniej zagadnienie odpowiedzialności karnej lekarzy i uwzględnił nowe materjały, jakiemi rozporządzał od chwili oddania do druku pierwszego wydania. W zakończeniu pracy autor wypowiada życzenie, aby w walce z narkomanją pomogła zakrojona na szerszą skalę akcja propagandowa i pozyskanie współpracy społeczeństwa. Polski Komitet do spraw narkotyków pod przewodnictwem Doc. Dra Gustawa Szulca, jest tym organem społeczeństwa, który akcję w kierunku zwalczania narkomanji prowadzi. Pożądane jest zatem poparcie Komitetu przez osoby, interesujące się zagadnieniem narkomanji, i czynna współpraca z nim.

Marja Sokalówna.

KRYZYS, A WYDATKI NA ZDROWOTNOŚĆ PUBLICZNĄ W POLSCE.

(Odczyt p. dr. Bohdana Ostromęckiego, Wicedyrektora Departamentu Służby Zdrowia M. O. S. — Streszczenie).

Dnia 23 stycznia b. r. odbył się staraniem Towarzystwa Medycyny Społecznej w sali Tow. Higjenicznego w Warszawie odczyt interesujący ze względu na zawarte w nim liczby i wnioski.

W ostatnim roku normalnego budżetu 1928/9 wydatki ogólne Rządu, Samorządu i Ubezpieczeń społecznych wynosiły 4.941.000.000 zł.
W szóstym roku trwania kryzysu — 1934/5 .. 3.044.000.000 „

A więc zmniejszenie wyniosło: .... 1.897.000.000 zł.
co stanowi 38%.

W tym samym czasie wydatki Rządu, Samorządu i Ubezpieczeń społecznych na zdrowotność publiczną wynosiły:

w r. 1928/9	428.300.000 zł.
1934/5	187.600.000 „

Zmniejszenie: .... 247.700.000 zł.
co stanowi 56%.

Na zmniejszenie powyższe złożyły się procentowo:
Samorząd o 65% (og. wydatki 45%);
Ubezpieczalnia społ. o 58,6% (og. wyd. 57%);
Rząd o 10,5% (og. wydatki 34%).

W r. 1928/9 wypadało wydatków na zdrowie publiczne na głowę jednego mieszkańca 13 zł. 34 gr., a w roku 1934/5 wydatki te wynosiły 5 zł. 68 gr., czyli zmniejszenie wyniosło 57,5%, podczas gdy, jak słusznie zaznacza Prelegent, w dobie kryzysu wydatki na zdrowie publiczne powinny być większe. U nas natomiast zmniejszenie budżetu na zdrowotność publiczną w omawianym okresie było o 18% większe, niż w innych dziedzinach życia publicznego.

Oszczędności i ograniczenia zastosowano m. in. do: uposażeń personalnych, liczby personelu, lekarzy, farmaceutów, położnych, kontrolerów sanitarnych i t. p., tak, że jedna osoba pełni czasem funkcje za dwie, trzy, zaniechano niezbędnych inwestycyj, zlikwidowano szereg małych szpitali w budynkach drewnianych, wprowadzono oszczędności nawet czasem w żywieniu chorych i w opale w szpitalach, skasowano pomoc dentystyczną, ograniczono bezpłatne wydawanie leków, a także mleka na stacjach opieki nad matką i dzieckiem, zmniejszono zasiłki chorobowe.

Dr. Ostromęcki zaznacza: „jeżeli do tego dodać ogólny wpływ kryzysu na zdrowotność, jak znaczne pogorszenie odżywiania ludności i warunków mieszkaniowych, co powoduje już teraz dające się zauważyć wśród młodzieży szkolnej pogorszenie ogólnego stanu fizycznego, pogorszenie się stanu higjeny osobistej, to jasnem się stanie, *jaką krzywdą dla zdrowia publicznego jest tak ogromna oszczędność w dobie kryzysu dla zdrowia publicznego, które przecież jest podstawowem zagadnieniem rozwoju, a nawet bytu Państwa*“.

Groźnej pod tym względem katastrofy da się uniknąć — zdaniem p. dr. Ostromęckiego:

„O ile zrozumienie doniosłości zdrowia publicznego przeniknie ogół, o ile każdy obywatel w organizacji, instytucji, lub samorządzie, do których należy, sprzeciwi się robieniu oszczędności głównie, a często jedynie kosztem zdrowia publicznego, o ile walka z brudem, niechlujstwem, oraz brakiem podstawowych zasad higjeny, tą zmorą naszych miast i wsi, nie tylko nie będzie napotykała na opór ludności, ale stanie się hasłem równie popularnem, jak walka z kryzysem.

Nie wolno zapominać, że w zdrowem ciele — zdrowy duch, a dusz zdrowych nam jaknajwięcej potrzeba“.

Od siebie chcielibyśmy dodać: przy stwierdzonym fakcie coraz gorszego odżywiania ludności — wzrastający w ostatnich latach alkoholizm jawny i ukryty (samogon i denaturat) stanowi największe niebezpieczeństwo dla zdrowia dusz i ciał. *j. s.*

APEL ABSTYNENCKI.

Trzeźwe nasze koło młode
Dziś wprowadza nową modę
Zabaw i użycia
Bez gorzały picia,
Bo na całym bożym świecie
Nałóg biednych ludzi gniecie,
Nędza straszna ściska,
Aż jęczą ludziska —
Aleś bracie przy sobocie —
Coś zarobił w pocie czoła,
Często ci się zdarza,
Niesiesz do szynkarza
I za chwilę złudy krótką
życie swoje skracasz wódką,
Koniec zaś dramatu
Jest u Bonifratrów.
Więc pamiętaj bracie miły
Szkoda zdrowia, szkoda siły —
Trawić alkoholem
Na swoją niedolę,
Lepiej za te parę groszy
U nas użyjesz rozkoszy,
Świetlica „Trzeźwości“
Chętnie wita gości —
Od soboty do niedzieli
Będziecie się u nas śmieli,
Bo w Polskim Narodzie
„Trzeźwość“ dzisiaj w modzie.

Eugenjusz Kłosowski.

CHOROBY WENERYCZNE W POLSCE.

Ukazała się cenna broszura, wydana nakładem Ministerjum Opieki Społecznej (Odb. z mieś. „Zdrowie Publiczne“) p. t. „Referaty wygłoszone na posiedzeniu Sekcji Przeciwwenerycznej Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia w dniu 13.XI. 1935. *Dr. Wiktor Borkowski:* Stan walki z chorobami wenerycznemi zagranicą. *Dr. Franciszek Małkiewicz:* „Stan walki z chorobami wenerycznemi w Polsce“. Warszawa 1936. Str. 33.

P. Dr. Borkowski (autor art. p. t. „Trzy klęski społeczne — Alkoholizm, Nierząd, Choroby weneryczne“, drukowanego w „Trzeźwości“), podaje przegląd systemów walki z chorobami wenerycznemi w różnych krajach. Dane te wskazują na niezmierne trudności w walce z ch. w., p. Dr. Małkiewicz omawia m. in. stan chorób wen. w Polsce w ostatnich 8 latach. Rzeczy te są bardzo smutne. Liczba chorych wenerycznych wzrasta. Świadczy o tem statystyka (str. 28). *Liczba chorych wenerycznych, przypadająca w Polsce na 10.000 ludności w zestawieniu lat: 1925 — 1933* (z uwzględnieniem przyrostu naturalnego ludności):

m. Warszawa	—	r. 1925:	59,3 —	r. 1933:	83,2 —	wzrost	% :	40,3
woj. Śląskie	—	„	17,4 —	„	25,4 —	„		46,1
„ Poznańskie	—	„	18,7 —	„	22,8 —	„		22,1
„ Pomorskie	—	„	15,1 —	„	21,9 —	„		45,3
„ Wileńskie	—	„	14,3 —	„	18,5 —	„		29,5
„ Krakowskie	—	„	6,9 —	„	11,5 —	„		66,2
„ Stanisławowskie	—	„	9,1 —	„	11,2 —	„		23,7
„ Kieleckie	—	„	4,8 —	„	9,7 —	„		101,4
„ Łódzkie	—	„	13,7 —	„	9,5 —	zmn.	% :	30,0
„ Lwowskie	—	„	6,5 —	„	9,3 —	wzrost	% :	42,9
„ Białostockie	—	„	5,9 —	„	6,9 —	„		16,0
„ Warszawskie	—	„	4,4 —	„	6,7 —	„		52,4
„ Poleskie	—	„	5,0 —	„	6,7 —	„		34,2
„ Tarnopolskie	—	„	3,2 —	„	4,7 —	„		48,3
„ Wołyńskie	—	„	5,4 —	„	4,6 —	zmn.	% :	13,6
„ Lubelskie	—	„	4,5 —	„	4,4 —	wzrost	%	5,2(?)
„ Nowogródzkie	—	„	3,15 —	„	3,5 —	„		12,1
całe Państwo	—	„	10,11 —	„	13,13 —	„		29,9.

Podając te liczby, p. Dr. Małkiewicz mówi: „Zastraszające szerzenie się chorób wenerycznych w Polsce... niemożność opanowania tych chorób ani z pomocą rozbudowywanego coraz bardziej bezpłatnego lecznictwa przeciwwenerycznego, ani też z pomocą odpowiedniej propagandy... zmuszają do wprowadzenia w stosunku do chorych... pewnych zarządzeń i środków przymusowych, bez których opanowanie tej klęski społecznej będzie, jeśli nie niemożliwe zupełnie, to napewno niezmiernie trudne do przeprowadzenia“. Niewątpliwie tak jest — ale mamy jeszcze pewne zjawisko, które bardzo poważnie przyczynia się do wzrostu i rozpowszechnienia chorób — to alkoholizm. Już w czasach zamierzchłej starożytności wiedziano, że nierząd i pijaństwo wiążą się ze sobą nierozerwalnie, tak się dzieje i obecnie. Forel twierdził, że 76% mężczyzn i 65% kobiet zarażonych chorobami wenerycznemi — zaraziło się w stanie podchmielenia, lub upicia się. Handlowa usilna propaganda wódki monopolowej, niekrępowana już żadnemi ograniczeniami prawnemi — wydaje swe makabryczne owoce — m. in. w postaci wzrostu chorób wenerycznych; tem smutniejsza więc, że głosy b. poważne, żądające reaktywowania ustawy przeciwalkoholowej rozlegają się w pustce, milkną bez echa...

Jan Szymański.

HANDEL ŚRODKAMI ODURZAJĄCYMI, A LIGA NARODÓW.

W artykule p. t. „Liga Narodów, a walka z narkotykami“ („Trzeźwość“ Nr. 7 — 8 z r. 1934) zaznajomiliśmy czytelników z działalnością Ligi Narodów na polu walki z nadużywaniem opjum i innych środków odurzających od początku istnienia instytucji genewskiej do r. 1932. Ze sprawozdania Komisji V-ej, złożonego Zgromadzeniu Ogólnemu Ligi Narodów (druk Nr. A 56 1935 XI z dnia 25 września 1935 r.), dowiadujemy się o dalszych postępach tej akcji zarówno na terenie Ligi Narodów, jak i w poszczególnych krajach, wchodzących w jej skład, lub biorących udział w jej pracach, zmierzających do ukrócenia nielegalnego handlu narkotykami i zmniejszenia narkomanji na swoich terytorjach. Z danych statystycznych i innych, gromadzonych przez właściwe organy Ligi Narodów, wynika, że dzięki coraz surowszej i bardziej drobiazgowej kontroli, wymaganej przez Ligę Narodów, zgodnie z zawartemi konwencjami międzynarodowemi, legalna fabrykacja narkotyków stara się przystosować do legalnego zapotrzebowania. Olbrzymie ilości środków odurzających z produkcji legalnej przedostają się do handlu nielegalnego coraz rzadziej, mimo to jednak handel nielegalny istnieje i usiłuje zaopatrywać się w nielegalnych fabrykach narkotyków.

W niektórych krajach stwierdzono wzrost liczby narkomanów. Nie należy wyprowadzać stąd wniosku, że usiłowania Ligi Narodów zawiodły. Fakt ten podkreśla raczej ważność zagadnienia, jakie staje obecnie przed światem. Doświadczenie wykazało, że ci, którzy przyczyniają się do zwiększenia narkomanji dla własnych zysków, gdy napotkają na drodze skierowane przeciwko sobie siły międzynarodowe, wynajdują nowe sposoby i w rezultacie wyprzedzają zawsze zorganizowaną międzynarodową walkę z nadużywaniem narkotyków. Niezależnie od tego depresja moralna, związana z kryzysem ekonomicznym, sprzyja nadużywaniu środków odurzających. Członkowie V-ej Komisji wyrazili się z uznaniem o wynikach, osiągniętych dzięki wysiłkom międzynarodowym i przyznali, że zagadnienie przybrałoby charakter znacznie poważniejszy, gdyby nie interwencja Ligi Narodów. Mimo to energicznego tempa walki zwolnić nie można, a przeciwnie, sytuacja wymaga wysiłków zwiększonych wobec zmienionego nastawienia sprawy.

Niezbędny jest tu współudział wszystkich zainteresowanych przez przystąpienie do istniejących konwencyj międzynarodowych. Wobec rozwoju fabrykacji nielegalnej i uporczywej działalności nielegalnego handlu, tylko akcja zbiorowa może dać pomyślne wyniki, w przeciwnym bowiem razie zwycięstwo nad handlarzami narkotyków wydaje się poważnie zagrożone. Stwierdzono, że nawet rządy tych krajów, które z jakichkolwiek względów do konwencji nie przystąpiły, wprowadziły u siebie pewne rygory, zmierzające do walki z nielegalnym obrotem tych środków. A jednak formalność podpisania konwencyj jest konieczna dla nadania akcji charakteru bardziej jednolitego i zwartego. Następujące kraje dotąd nie przystąpiły do żadnej z 3-ch konwencyj opjumowych: Związek Socjalistycznych Republik Rad, Argentyna, Paragwaj, Arabja Saudyjska i Abisynja. Ponadto 19 państw nie podpisało konwencji genewskiej z r. 1925, a 16 — konwencji o ograniczeniu fabrykacji z r. 1931.

Pomimo, że Związek Socjalistycznych Republik Rad żadnej kon-

wencji dotychczas nie podpisał, delegat Związku złożył na posiedzeniu Komisji V-ej nader cenną deklarację. Po krótkiem sprawozdaniu, w którem podkreślił, że produkcja opjum oraz handel środkami odurzającymi podlegają w Rosji ścisłemu nadzorowi, zaznaczył, że jego Rząd jest gotów współpracować z organami międzynarodowymi pod egidą Ligi Narodów w celu osiągnięcia w całym świecie bardziej zadawalających wyników w walce z nadużywaniem środków odurzających.

Delegat bułgarski ponowił zapewnienie swego Rządu, że Bułgarja w dalszym ciągu czynić będzie wysiłki w celu istotnego przyczynienia się do rozwiązania zagadnień, któremi zajmuje się Komisja. Specyficznie lokalne warunki w Bułgarji uczyniły to zadanie wyjątkowo trudnem. Rząd bułgarski ponowił prośbę o przyznanie mu reprezentacji w Komisji celem skoordynowania swych wysiłków z jej pracami.

Delegat turecki oświadczył, że jego Rząd zdaje sobie całkowicie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie przedstawia dla ludzkości wzmożenie nielegalnego handlu środkami odurzającymi. Władze tureckie wypowiedziały nieubłaganą walkę nielegalnej fabrykacji i handlowi środkami odurzającymi. Mają one szczery zamiar nie schodzić z raz obranej drogi.

Podobne oświadczenia, podkreślające chęć dalszej owocnej współpracy z Ligą Narodów w tej dziedzinie, złożyli delegaci Chin, Kuby, Iranu, Rumunji i Wenezueli.

Raport stwierdza, że wszystkie kraje składają roczne sprawozdania, dotyczące obrotu środkami odurzającymi. Jedyny wyjątek stanowią kraje Ameryki Południowej.

Ważnym krokiem naprzód przy zwalczaniu nielegalnego handlu i narkomanji byłoby ograniczenie produkcji opjum surowego i liści koka. Tylko dzięki łatwemu otrzymywaniu surowca możliwe jest istnienie nielegalnych fabryk, zaopatrujących handel nielegalny, a pośrednio narkomanów. Zwołanie konferencji, poświęconej ograniczeniu produkcji surowca, jest utrudnione skutkiem nieotrzymania dotychczas przez Komisję niezbędnych danych i materjałów, ustalających właściwe cyfry. Jednak już dziś niektóre kraje, produkujące opjum, przedsięwzięły kroki w celu zmniejszenia uprawy surowca. Rząd chiński przedewszystkiem opracował i wprowadza w życie program, przewidujący stopniowe, a potem całkowite zaniechanie hodowli opjum w Chinach.

Najważniejszem zagadnieniem w chwili obecnej jest rozwój fabrykacji pokątnej. Zdaje się być faktem, że fabryki legalne przestały zaopatrywać handel nielegalny w narkotyki. Niestety, we wszystkich częściach świata zaczęto ujawniać istnienie nielegalnych fabryk i laboratorjów. Ten nowy obrót rzeczy wymaga wzmożonej czujności i poważnego wysiłku ze strony organów Ligi Narodów. Na porządku dziennym najbliższego posiedzenia Komisji Doradczej do spraw opjum umieszczono sprawę środków zaradczych ze strony rządów, aby przeciwdziałać fabrykacji pokątnej.

Delegat kanadyjski złożył oświadczenie, że na Dalekim Wschodzie nielegalna fabrykacja heroiny wzrosła znacznie, co stwarza poważne niebezpieczeństwo dla kontynentu północno-amerykańskiego, któremu grozi zalew narkotykami.

Zwrócono również uwagę na zalecenie Komisji, aby kraje fabrykujące nie wydawały nowych koncesyj na wyrób i przeróbkę środków odu-

rzających, o ile fabryki istniejące są w stanie nietylko zaspokoić rynek wewnętrzny, lecz i wywozić poza granice kraju. Komisja jest zdania, że istnienie fabryk narkotyków w liczbie, przekraczającej konieczność, stwarza niebezpieczeństwo przedostania się pewnej ilości wyprodukowanego towaru do handlu pokątnego.

Handel nielegalny jest wciąż przyczyną wielkiej troski organów Ligi Narodów. Nie można ukryć, że pomimo wysiłków, skomplikowanej organizacji i współpracy większości krajów, handel nielegalny nie uległ zmniejszeniu. Wobec niebezpieczeństwa, jakie tkwi w tem dla ludzkości, należy wzmóc wysiłki na terenie międzynarodowym. Na wniosek przedstawicieli Stanów Zjednoczonych i Kanady Komisja Opjumowa postanowiła zająć się ułatwieniami pocztowemi, z jakich korzystają handlarze narkotyków. Sprawę tę omawia projekt konwencji o zwalczaniu handlu nielegalnego, rozpatrywany obecnie przez rządy. W najbliższym czasie będzie zwołana konferencja międzynarodowa, której celem jest porozumienie co do zastosowania środków, zmierzających do skoordynowania wysiłków w walce z handlem nielegalnym na terenie zarówno międzynarodowym, jak i poszczególnych państw.

W obecnej chwili obraduje w Genewie Komitet ekspertów, zwołany przez Sekretarjat Ligi Narodów dla omówienia projektu tej konwencji. Z ramienia rządu polskiego w Komitecie tym zasiada stały Delegat Rządu polskiego do Komisji Doradczej Ligi Narodów do spraw handlu opjum i innemi środkami odurzającemi, Dr. Witold Chodźko.

Delegat polski podkreślił, że niezmiernie celowem byłoby ujednostajnienie zasady stosowania kar do handlarzy narkotyków na podstawie ustaw, obowiązujących w różnych krajach. Nowy kodeks polski zalicza do delicta juris gentium handel nielegalny narkotykami, co pozwala na ściganie go bez względu na miejsce przestępstwa, narodowość przestępcy oraz bez względu, czy w miejscu popełnienia przestępstwa jest ono karalne.

Delegat chilijski zawiadomił o zawarciu traktatu z republiką argentyńską. Traktat ten przewiduje na zasadzie zaleceń rozmaitych organów Ligi Narodów współdziałanie obu rządów w celu zwalczania handlu nielegalnego, jak również stałe porozumiewanie się władz policyjnych i sanitarnych obu krajów.

W związku ze zwiększeniem pokątnej fabrykacji i handlu nielegalnego Liga Narodów jest zmuszona zaostrzyć swą walkę z nadużywaniem środków odurzających. Jest to wynikiem zarówno wzmożenia pokątnej fabrykacji, jako też wzrostu handlu nielegalnego. Delegat polski oświadczył na posiedzeniu Komisji, że narkomanja może być zwalczana nietylko drogą walki z handlem nielegalnym, ale również drogą usilnej propagandy i wzmożonego nacisku wychowawczego przeciwko nadużywaniu narkotyków. Takie podejście do zagadnienia narkomanji było najbardziej charakterystyczną cechą dla tegorocznych rozpraw Komisji piątej. Prawie wszyscy delegaci przyczynili się swemi przemówieniami do wyświetlenia tej sprawy. Delegaci Chin, Francji, W. Brytanji i Holandji dostarczyli szczególnie interesujących danych o zarządzeniach swoich rządów w Chinach, Indochinach francuskich, na Malajach i w Indjach holenderskich, zarówno w dziedzinie propagandy, jako też i wychowania. Da-

ne te świadczą, że wśród młodego pokolenia użycie opjum poważnie się zmniejsza. Do Komisji Doradczej należy opracowanie wspólnego planu działania. Pomimo, że w niektórych krajach istnieją już pewne normy postępowania, zadaniem najbliższej chwili będzie przepisy te zebrać, przedyskutować i opracować takie metody propagandowe i pedagogiczne, które możnaby zastosować z możliwie najlepszymi wynikami we wszystkich państwach, prowadzących walkę z nadużywaniem narkotyków.

Istotny rozwój narkomanji i ilości narkotyków, zużywanych corocznie w różnych krajach, są dotychczas raczej wielkiemi niewiadomemi. Zwrócili na to uwagę delegaci Węgier, Włoch, Polski, W. Brytanji i Wenezueli. Podkreślali przeszkody, na jakie natrafia walka z handlem nielegalnym i narkomanją wskutek niedokładnej znajomości zasięgu zagadnienia. Należy poczynić wszelkie możliwe wysiłki, aby uzyskać dokładne dane w obu tych kwestjach. Będzie to trud nielada, ale też stoimy przed ogromem zadania, którego przezwyciężenie wymaga niesłychanej energji i wielkich zasobów materjalnych, bez których wszelkie poczynania uderzają w próżnię i giną bezowocnie.

podała Marja Sokalówna.

PSY NA USŁUGACH PRZEMYTNIKÓW I STRAŻY GRANICZNEJ.

Poza przenoszeniem sacharyny, oraz rozmaitych narkotyków w plecakach, mecjach, a hurtowo w samochodach, istnieje jeszcze trzeci sposób, a mianowicie przy pomocy psów, używanych nie tylko dla ostrzegania ich panów o bliskości strażników. Sposób ten zaczyna być dopiero wprowadzany w życie na pograniczu śląskiem. Psy „zblatowane“ (taką bowiem nazwę noszą w gwarze potocznej), dają swój instynkt i węch, co łącznie ze sprytem i znajomością terenu przez właściciela czworonogów stanowi potężny atut przeciwko strażnikom granicznym i funkcjonarjuszom celnym.

Pies taki wyrządza duże szkody skarbowi. Przenosi on jednorazowo na grzbiecie po kilka kilo przemytu t. z. więcej, niż jest to w stanie uczynić skrycie cyklista, lub pieszy wędrowiec, przekraczający granicę w punkcie kontrolnym i mający przemyt ukryty pod odzieżą.

Czworonożny przemytnik jest o tyle wyszkolony, że potrafi biec z Niemiec do Polski, bez zatrzymania się w drodze i odbywać drogę tę z powrotem, bez przystawania w drodze i nie interesowania się kotami i przedstawicielkami płci pięknej, gdy umie omijać strażnika na posterunku czy też będącego w obchodzie i szczerzyć kły na psa urzędowego, gdy zdobędzie sztukę wymijania przeszkód — wówczas pan jego zaczyna wraz z nim „pracować“.

Przemytnik prowadzi swego pieska od miejsca zamieszkania w Polsce, po przez pola do swego dostawcy po stronie niemieckiej. Ten okłada boki i brzuch psa woreczkami z kokainą czy z sacharyną zszytemi w specjalny i dostosowany do kształtów psa serdak-kamizelkę. Transport ten musi pies przenieść do Polski. Na szyję zakłada mu się obrożę, najeżoną od zewnątrz kolcami stalowemi, poczem wypuszcza na drogę. Za dzie-

sięć minut pies jest już w Polsce, u swego pana, gdzie uwalnia się go od ładunku, wynagradzając za „bohaterstwo“ miską smakowitego jadła.

Ale strażnicy nie znają litości... Każdy spostrzeżony pies - przemytnik, o ile nie da się ująć, zostaje z punktu zastrzelony. Trafia się to dość często. Na granicy istnieje dziwny zwyczaj.

Na dowód zabicia psa celny strzelec musi dostarczyć swej władzy tylną, lewą łapę, poległego w szkodzeniu skarbowi, czworonoga.

W urzędach pogranicznych można oglądać tablice pokryte gęsto, poprzybijanemi do niej łapami rozmaitych maści i odcieni, z których każda mówi o tragicznym losie jej właściciela.

Biedne pieski! Czemu instynkt nie ostrzegł was przed niebezpieczeństwem, na jakie naraziła was chciwość waszych panów? Gdybyście wiedziały o niem, może zamiast wracać wiernie do swych panów z przemytem, popędziłybyście w odwrotnym kierunku, w głąb Niemiec, gdzie-



Dobry strażnik, jadący na służbę, by nie męczyć pieska służbowego, wiezie go na barana do miejsca przeznaczenia.

czekałoby was życie, mogłybyście sobie brykać i biegać na swobodzie... a tu kulka z karabinu.

Czy wasze psie serca nigdy nie zaznały strachu, gdy łowiłyście uszami echa licznych strzałów, wstrząsających sercami i powietrzem na pograniczu? Może kogoś razi mój sentyment? Ba, ale czyż nie mogłem go nabrać, odwiedzając rokrocznie wystawy psie, organizowane przez Prezesa Związku Hodowli Psa Rasowego, p. Trybulskiego? Ale czy widzieliście deski z psiemi łapami? Z łapami najwierniejszych psów, które utraciły życie, dzięki przysłowiowej psiej wierności?

* *

*

— Do psów, wiecie, należy odnosić się z szacunkiem. Ile razy psy ocaliły mi życie. Raz spałem i nagle słyszę przez sen pies skowycze, skowycze tak żałośnie i niespokojnie. Otworzyłem oczy, a nocowałem w roz-

walonej chałupie — opowiada jeden z sowieckich strażników — tylko nasza placówka stanęła tam na nocleg *).

Świecił księżyc. Wyszedłem na dwór i chciałem, nie wiem sam po co, wyjść za rozbity mur. Wychodzę, a na mnie z tamtej strony patrzy tygrys **). Przetarłem oczy! Moi dwaj towarzysze śpią. A pies tak rozpaczliwie wyje. I widzę, jak na podwórzu, w cieniu, gęsiego pełzną basmacze (rozbójnicy - partyzanci) piętnastu ludzi. Myślę sobie, jak podejdą, rzucę im granacik pod nogi. Rzeczywiście rzuciłem. Basmacze zaczęli wrzeszczeć, a Rosjanie zakryli twarz rękami, widać, że cywile, położyli się i leżą, jak nieżywi. Mówię do jednego: „daj mi swój karabin, bo ja nie mam czasu“. A ten się nie rusza. A to sukin syn, myślę sobie i wtedy wziąłem i strzeliłem do niego z nagana, żeby go ożywić. Ma się rozumieć ruszył się odrazu, bo ja tylko troszkę go zraniłem i podawał mi naładowane karabiny, a ja tylko strzelałem i strzelałem. Całą noc ostrzeliwaliśmy się. Odtąd żadnemu psu nic złego nie robię. I dużo jeszcze było wypadków, kiedy psy mnie ratowały. Wiecie, psy są bardzo ważne w na-



Młodociany przemytnik w asyście dwóch strażników i psa granicznego, który go „wywąchał“, wytropił i schwytał.

szem życiu. Basmacze wtedy o świcie odczepili się odemnie, a ja ranny w ramię, nie mogłem ich ścigać.

A jeżeli chcecie usłyszeć o psach, to wam opowiem o naszym Babaju. Możeście widzieli w naszym oddziale takiego żółtego psa z obciętemi uszami i ze złamanym ogonem. A toć ten Babaj jest mądrzejszy od wielu ludzi. W dzień najlepiej lubi leżeć w bagnistym strumyku, całkiem w wodzie, tylko głowa wystaje, żeby mu było chłodno i żeby nie gryzły go moskity. Babaj leży w dzień w aryku, a kiedy zapada zmrok, zbiera wszystkie psy z oddziału i rozprowadza je po posterunkach. Dwadzieścia wiorst przejdzie wzdłuż granicy, do sąsiedniej komendantury i wszędzie, gdzie trzeba, rozstawia psy na posterunkach: koło pikiet, koło wedet, albo poprostu według własnego uznania. Wieczorem je rozprowadzi, a w nocy

*) Opowiadanie o granicznym psie Babaju, zaczerpnięte jest z „Sobowtórów“ Borysa Pilniaka.

**) Akcja ma miejsce w Tadżykistanie, na pograniczu Afganistanu, Rosji Azjatyckiej i Indyj Angielskich.

pójdzie skontrolować. Jeżeli który pies zaśnie, on go zębami za ucho i takie mu spuści grzanie, że ten je popamięta całe życie. O świcie Babaj zbiera wszystkie psy i prowadzi je do kuchni na śniadanie, a potem, do wieczora psy są wolne. Ilu czerwonoarmistom psy te uratowały życie, ilu kontrabandzistów schwytały — tego nie da się obliczyć. Kiedy przechodzi czerwonoarmista, zwyczajny człowiek, rybak, — psy nie zwracają na niego najmniejszej uwagi, a jeżeli basmacz, albo przemytnik — poprostu nie można pojąć, jak to poznają. Jeżeli basmaczy, albo przemytników jest dużo, biegną do oddziału z alarmem. Albo, nagle Babaj ginie na jakieś trzy dni, albo i na tydzień i wraca wychudły, poszarpany, głodny. Pewnego razu przyszedł ze złamanym ogonem. On tak chodzi



Przemytnik wraz z rowerem i ładunkiem zakazanego towaru.

wzdłuż całej granicy, gdzie stacjonuje nasz oddział, prawie do samego Pamiru — kontroluje psy, jak się zachowują w komendanturach, albo na posterunkach, uczy je, sprawdza czy wszystko w porządku, poprostu, wiecie, jak dowódca oddziału. Wszystkie psy go szanują. I charakter, wiecie, ma Babaj surowy i sprawiedliwy. Pewnego razu Babaj przyprowadził do sztabu małego dzika, przyciągnął go za ucho. A w Merwie jest pies podobny do Babaja, to ten pociągiem jeździł do Kuszki, żeby zaprowadzić psie porządki.

Jednocześnie z zakończeniem opowiadania o Babaju, któremuby można było przyznać honorową obrożę polskiego pieska granicznego i posłać prezent w postaci kiełbasy, pocztą, która z Moskwy do tej miejsco-

wości idzie miesiąc, zaczęła grać w pobliżu orkiestra wojskowa, z tej strony Piandżu.

— Afgańczycy zaraz zbiorą się na brzegu, żeby słuchać muzyki — powiedział towarzysz B. — naszą orkiestrę dobrze słychać w Afganji.

Przyszedł Afgańczyk młodzieniec, który nie umierał od ukąszenia gadów, ale i umiał je wyszukiwać i pogwizdywać im. Zawód nieumierania od ukąszeń jadowitych gadów pochodzi ze starożytności. Ojcowie uczyli dzieci, niektóre z nich umierały, ale pozostałe przy życiu były odporne na jadowite ukąszenia.



Pies przemytniczy, używany do transportu narkotyków w charakterystycznem przybraniu do noszenia towarów. Obok strażnik, który go złowił.

Poza pakazami nieszkodliwości Afgańczyk wyszukuje dla Gostorgu skór żmij i waranów — jaszczurek pustynnych dwu metrowej wielkości. Afgańczyk poszedł starać się o karakurta, którego ukąszenie jest śmiertelne i po chwili wrócił z karakurtem w ręku, którego puścił na stół.

Strażnicy odsunęli się od stołu. Afgańczyk pozwolił karakurtowi pobiegać po stole i schował go do pudełka razem z gniazdkiem jego, podobnem do greckiego orzecha.

Takie to dziwne zwierzaki „uprzyjemniają“ służbę sowieckim straż-

nikom, w sercu Azji. Z odcinka tego można sobie wyobrazić, ile to stworzeń, poza dzikimi i niegorszymi od tygrysów Basmaczami czyha na czerwonoarmiejców i jakie korzyści mają oni z psów, z których przedstawicielem — Babajem zapoznaliśmy się na wstępie tego opowiadania.

*
* *

Te dwa powyższe reportaże podają zastosowanie psów do wręcz biegunowych zadań.

Jedne z nich służą przestępcom, drugie państwu.

W jaki sposób odbywa się szkolenie psa przemytniczego Czytelnik już się orjentuje, wobec czego opiszę poniżej, w krótki sposób, jak się szkoli psy do zwalczania przemytnictwa.

Do tego rodzaju służby używa się przeważnie w naszych warunkach, nie Dobermanów, jak gdzieindziej, ale Owczarków alzackich, po-



Przemytnicy z pogranicza prusko-niemieckiego na G. Śląsku wraz z tobołami, w których Str. Gran. po rozpakowaniu znalazła kokainę.

pularnie zwanych wilkami. Już od pierwszych chwil tresury wpaja się w wilczka sympatję i szacunek dla ludzi umundurowanych. Przewodnicy i treserzy psów, umundurowani, są dla czworonogów dobrzy, karmią je i głaszczą. Osobnicy cywilni w Centralnej Szkole Tresury Psów Granicznych drażnią się z niemi, krzyczą i dokuczają. W ten sposób wychowany pies odrazu ma wobec cywilów wrogie nastawienie, a przyjacielskie dla umundurowanych, a o to właśnie chodzi, bowiem każdy cywil, spotkany w strefie granicznej z reguły jest przemytnikiem i pies go też za wroga uważa, i traktuje narówni z jego dwunożnym panem, strażnikiem granicznym. Stosowanie psa w polu, to znaczy na otwartej przestrzeni daje znakomite wyniki. Wobec tego, że np. mokra gleba trzyma ślad 12 godzin, a przy pogodzie bezwietrznej do 24 godzin, pies w tym czasie zdol-

ny jest do wytropienia śledzonego nawet na znacznej przestrzeni. Niektóre psy potrafią, pozatem, nawet po sześciu tygodniach, rozpoznać osoby, których zapach zapamiętały sobie z przedmiotów: części ubrań, okazanych im uprzednio. Ponieważ przemytnik obarczony pęcherzami, lub bańkami z eterem, lub spirytualjami, z reguły przekrada się cichaczem i nocą, węch psa i słuch, chwytający dźwięki niedostępne dla ucha ludzkiego, czynią z niego bardzo skutecznego pomocnika w służbie granicznej, strażnicy bardzo dbają o swych czworonożnych kolegów i nie męczą ich bezcelowo. Niektóre psy są już tak ułożone, że skoro widzą, że ich pan dosiada roweru, wskakują mu na plecy i „na barana“ jadą, nieraz do oddalonego, miejsca rozpoczęcia służby.

Ale nietylko do wskazania przestępcy są używane psy graniczne. Taki czworonożny detektyw potrafi oczywiście prędzej dogonić przemytnika jadącego na rowerze, niż jego pan na piechotę i przy pomocy kłów i groźnego szczekania zmusić do zatrzymania. Również pies uchronić może swego pana od nagłej na niego napaści, dokonanej gdzieś z za krzaka, czy stylu i w razie zaobserwowania większej grupy przemytników, pobiec, z kartką umocowaną przy obroży, lub w pysku, do komisarjatu lub placówki po posiłki. Tych wszystkich umiejętności nabywa pies w szkole tresury. Uczy się go pozatem przechodzenia przez przeszkody, chwytania za rękę i obezwładniania napastnika, aportowania wszelkich przedmiotów znalezionych w terenie. Tak wyszkolony pies potrafi niejednokrotnie oddać cenne usługi państwu i społeczeństwu przez wykrywanie i wyłapywanie przemytników. Często również się zdarza, że psy natrafiają na „składnice“ przemytnicze, t. j. towary zakopane w ziemi, skąd mają być zabierane, lub dzielone między poszczególnych kolporterów przemytu.

W ten sposób odnaleziony towar wędruje do komisarjatu, a w pobliżu miejsca, gdzie był zakopany, urządza się zasadzkę na przychodzących po spodziewany przemyt odbiorców. Tutaj najważniejszą osobą jest pies. Bez szczekania daje on do zrozumienia strażnikom, że ktoś zbliża się do opustoszałego wkopu i po chwili słychać okrzyki „stój! ręce do góry!“ skierowane do wspólników i odbiorców przemytnika.

Niejednokrotnie schwytany pies przemytniczy „zdradza“ swego dotychczasowego pana i jak ras Gugsa do Włochów, przechodzi na stronę przeciwników — do Straży Granicznej. Takie psy są zazwyczaj bardzo inteligentne, a po krótkiem przeszkoleniu stają się niemniej pożytecznymi funkcjonarjuszami państwowymi od swych ogoniastych kolegów, pełniących służbę bezpieczeństwa od pierwszych miesięcy (6 — 8) swej psiej młodości.

Z psem obchodzi się strażnik bardzo uprzejmie, gdyż z przydziałów tych czworonogów korzystać mogą tylko prawdziwi przyjaciele psów, odpowiednio wyszkoleni.

Nieraz psy giną od kul przemytniczych, a wtedy w rozkazach podaje się „skreślenie z ewidencji psa służbowego“.

Oznacza to, że pies „padł na posterunku“, tak jak przystało na dzielnego obrońcę granicy państwa.

Michał Godlewski.

PRAWO ZWYCZAJOWE, CZY PISANE?

Sprzedawanie narkotyków, w pierwszym rzędzie takich, które zawierają w sobie alkaloidy makowca, jest surowo wzbronione. W ostatnich latach, w związku z nagminnem szerzeniem się narkomanji, wydano szereg zarządzeń, utrudniających w znacznym stopniu nielegalne zaopatrywanie się w narkotyki. Niedawno byłem w aptece z niewinną receptą na pięć gramów tinctura opii i musiałem długo czekać na jej wykonanie, zanim aptekarz nie porozumiał się z lekarzem i nie uspokoił swego zawodowego sumienia: a nuż jestem narkomanem i korzystam z własnoręcznie napisanych nielegalnych recept!

Czekając na swoje lekarstwo myślałem o tem, jak ciężką musi być dola narkomana w dzisiejszych czasach. Zaopatrywanie się w narkotyki w aptekach jest rzeczą prawie niemożliwą, recepty pisane lege artis z najbardziej autentycznemi pieczątkami wzbudzają podejrzenia aptekarzy, a cena grama suchej morfiny w handlu nielegalnym waha się od 15 do 20 zł. Dwadzieścia złotych dziennie — na to nie każdy może sobie pozwolić! Starzy morfiniści zawsze znajdą jakiś sposób na wydobycie swojej dziennej dawki, choćby to było połączone z trudnościami niemożliwemi do przezwyciężenia dla normalnego człowieka, ale cały „młody narybek", ci początkujący narkomani, którzy kręcą się około starszych i doświadczonych towarzyszy, mają bezwzględnie — zdawałoby się — zamkniętą drogę do narkotyku.

Gdy tak sobie myślałem o smutnym losie narkomanów, weszła do apteki jakaś starsza jejmość w chusteczce i zażądała „o p i u m". Oczywiście, poinformowała pana aptekarza o tych przykrych dolegliwościach, które zmusiły ją do szukania ratunku w tem gorzkiem lekarstwie, po chwili otrzymała małą buteleczkę (zauważyłem, że było w niej przynajmniej dwa gramy opium) i wyszła. Zdziwiło mnie, że nie żądano od niej recepty, a później przypomniałem sobie, że istnieje taki przepis (nie wiem, czy „pisany", czy też tylko oparty na tradycji), który pozwala aptekarzowi wydać w nagłych wypadkach dwa i pół grama tinctura opii.

Zdaje się, że to odchylenie od ogólnie obowiązujących przepisów stanowi specjalny przywilej kucharek. Gdybyśmy, powodowani ciekawością, dokonali inspekcji tych małych pokoików, które przylegają do naszych kuchni, znaleźlibyśmy tam, ukryte w jakichś mrocznych kącikach, małe zakurzone buteleczki z resztkami ciemno-brunatnego płynu. Stoją sobie one spokojnie, nie zauważone przez nikogo, nie wzbudzające niczyjej ciekawości, zapomniane do czasu, aż jakieś przykre żołądkowe sensacje przypomną domownikom o ich przeznaczeniu i właściwościach leczniczych.

Ale gdyby przypadkiem wpadł nam w ręce podręcznik farmakologji, dowiedzielibyśmy się, że w tych niepozornych buteleczkach kryją się groźne i niszczące siły. Dowiedzielibyśmy się, że dwa gramy tinctura opii równają się dwóm santi morfiny, a w podręcznikach medycyny i psychopatologji sądowej moglibyśmy przeczytać o ludziach, którzy tę nalewkę opiumową, przrządzaną na spirytusie, przyjmują nie doustnie i po kilka kropelek, ale wstrzykują ją sobie podskórnie, domięśniowo i dożylnie.

A teraz właściwa historja, zupełnie autentyczna, chociaż zaczynająca się w sposób, właściwy zmyślonym opowiadaniom. Któregoś dnia zeszłego miesiąca o bardzo wczesnej godzinie telefonuje do mnie portjer jednego z warszawskich hoteli. Zawiadamia mnie, że zatrzymał się u nich major Z. Pan major jest chory i pragnie pana widzieć jaknajprędzej. To wszystko.

Ubieram się i jadę. Jurek? — Nie widziałem go przeszło rok. Jego historja: wojna, w czasie pokoju pijaństwo, delirjum tremens, emerytura, posada, delirjum tremens, zakład leczniczy, potem znowu delirjum, znowu zakład, no a potem już niema dokąd iść, niema co z sobą robić. Zawsze w mundurze. Na piersi: virtuti militari, trzy krzyże walecznych, krzyż niepodległości. Zawsze jakieś zawiłe wewnętrzne afery, samoobserwacja, doprowadzona do absurdu i prowadząca do fałszywych sformułowań. Hyperkrytycyzm i duże mniemanie o sobie. Światopogląd maksymalistyczny. Inteligencja wysoka. Reakcje infantylne. Lat 39.

W pokoju straszliwy nieład. Jakieś niesamowite spiętrzenia bielizny i ubrań, butów, papierów i książek. Na bieliźnie rdzawo-brudne plamy. Krew?... Jurek leży na łóżku, nawznak. Kolana podkórczone, odrzucone na boki. Kołdra naciągnięta na głowę. Widzę koniuszki palców, jakgdyby przytrzymujące ją. Ręce muszą być przyciśnięte do ciała i odwrócone dłońmi do góry — myślę, — to jest bardzo niedobra pozycja... Ostateczna. To już chyba nie są te powszednie krzywdy, codzienne bóle, te „sytuacje bez wyjścia", poza któremi przecież, w najtajniejszej skrytości ducha, przeczuwamy jakieś rozwiązanie. Tu człowiek dojrzał do swojej ostatecznej prawdy i wie, wie już bez żadnego oszukaństwa, bez żadnej słabiutkiej nadziei, że jest sam i ze straszliwą pogardą odwraca się od świata i zasłania przed nim swoje umęczone oblicze, podczas gdy jego ciało bezwolnie się otwiera, żeby przyjąć na siebie czyjąkolwiek miłość.

„Noli me tangere" — mówię i wstydzę się zaraz bardzo, ale przecież trzeba było jakoś powiedzieć, że jestem i że rozumiem. A on nic, chociaż wiem, że nie śpi. Więc podchodzę bliżej, odchylam kołdrę, pod którą skrył się przed światem, — a stamtąd krzyczą do mnie wypchane dziwnem światłem źrenice, rozszerzone na całą niebieskość oka, ale co krzyczą, tego nie mogę pojąć. Więc prędko spoglądam niżej, domagam się jakiejś konkretnej odpowiedzi, której jego oczy nie chcą mi udzielić. Notuję: Głowa uwięziona między wzniesionemi ramionami. Ręce zmieniły poprzedni układ i leżą na prześcieradle bezwładne i już bez wyrazu. Pod skórą przebiegają jakieś nagłe dreszcze i wygląda to jak fala, która szybkim pochodem spływa ku najniższym regjonom ciała i obejmując sobą ostatnie rezerwy utajonych wstrząsów, kulminuje się wysokiemi kurczami brzucha. Skóra, którą miał zawsze dobrze wypełnioną mięsem, teraz ukazuje miejscami dyskretne zwiotczenia, a jej gorąca brzoskwiniowa karnacja splamiona jest wielkiemi naciekami, podskórnemi wylewami krwi, których siność groźnie kondensuje się w kilku miejscach i przechodząc w najniższe b-molowe oktawy grozi wybuchem abscesów. Na czole drobne kropelki potu. — Już wiem.

Więc: co trzeba zrobić? — Odpowiada, że trzeba zaraz, jaknajprędzej pójść do jakiegokolwiek lekarza — on tu w Warszawie nikogo nie zna, a zresztą nie może wstać, nie może nawet sięgnąć ręką po papiero-

sa! — i wydostać receptę na 10 gramów tinctura opii. To wystarczy na sześć, siedem godzin. Pozatem trzeba kupić pięciogramową strzykawkę i kilka igieł. Swoją stłukł kilka godzin temu. Tylko muszę się śpieszyć, bardzo śpieszyć, bo dla niego każda minuta ma niezwykłe, wyjątkowe znaczenie, niedające się określić zwykłemi ludzkiemi porównaniami.

Za godzinę byłem spowrotem. Jurek nie mógł sam sobie zrobić zastrzyku. Ręce mu się trzęsły, więc kłół się bardzo boleśnie, a krew gęstemi kroplami znaczyła na jego skórze drogę tych bezskutecznych wysiłków. Musiałem zrobić zastrzyk. Trzeba było szukać miejsc zdrowych, nieobjętych sinicą. Najpierw trzy centymetry pod skórę, żeby jaknajprędzej przerwać reakcję, a później siedem dożylnie. Ale tych żył nie można było znaleźć. Zwykle występowały wyraźnie na jego suchych, muskularnych rękach, a teraz ukryły się gdzieś i nie pozwalały się odszukać. Można je było wymacać, ale nie czuło się pod palcami ich miłej, żywotnej prężności: były dziwnie zwiotczałe, miękkie, w wielu miejscach poprzerywane twardemi zgrubieniami i właśnie stąd, z tych niezrozumiałych zgrubień szedł przez nasze palce drogą subtelnych połączeń nerwowych przykry niepokój i szybko podchodził do serca i konkretyzował się zimnym, wulgarnym lękiem przed czemś, czego imienia nie śmiemy wzywać nadaremno. Wreszcie znaleźliśmy jakąś drobną, niebieską żyłkę, która nie broniła się tak, jak inne. Wszędzie było dużo krwi: na rękach, na rękawach koszuli, nawet na ścianie.

Za godzinę był wykąpany i ogolony. Gdy wchodził do pokoju, pomyślałem, że to jest przecież zupełnie inny człowiek i że chyba niepodobieństwem będzie powrócić w rozmowie do tych niedawnych chwil: w tym stanie dosytu fizycznego, w jakim znajdował się obecnie, wszelka myśl o przeżytem cierpieniu musiała wydawać się absurdem. Przecież nie można było powiedzieć mu: no, dobrze, masz przed sobą całe siedem godzin, a może nawet trochę więcej. Przez ten czas zdążymy pomówić o sprawach, które wydadzą się nam miłe. Zdążymy również zaopatrzyć się w recepty i w zapas narkotyku. Przypuśćmy, że zdobędziemy go tak wiele, że wystarczy na miesiąc, a nawet na rok. Ale co będzie dalej? I właśnie przed tem „dalej“ zamykają się granice wyobraźni, nie dopuszczają do świadomości niczego, coby mogło i powinno być zrozumieniem niedalekich i nieuniknionych wypadków. W tem właśnie najdobitniej wyraża się działanie narkotyku: w supremacji momentu nad wyobraźnią. Rzeczywistość bieżącej chwili suwerennie dominuje nad nami i wyłącza te wszystkie mechanizmy, które normalnie określają nasze stanowisko wobec świata i aktualizują naszą wewnętrzną postawę w ramach przystosowania się do życia i zachowania własnej osobowości. — Jednak, wbrew moim przewidywaniom, te drażniące sprawy zostały między nami poruszone podczas długiej rozmowy, która przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych.

Nad temi godzinami dominowało uczucie bezradności wobec pewnych konkretnych faktów, tak niepozornych, że w chwili obcowania z nimi nie raczymy zaszczycić ich uwagą, a które później, w retrospektywnem ujęciu, stają się widomą manifestacją groźnego losu. Bo pomyślmy: gdyby służąca Wikcia — dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątać kawalerskie mieszkanie Jerzego—zamiast opium, które koiło ja-

kieś jej dolegliwości, używała kropel Inoziemcowa, dzisiejsze nasze spotkanie i dzisiejsza rozmowa nie przekroczyłyby nigdy progu realizacji.

Fakty przedstawiają się następująco: któregoś dnia Jerzy obudził się z silnemi bólami żołądkowemi, którym towarzyszył przykry stan lękowy. Jeszcze nie tak dawno temu w podobnych chwilach znajdował ucieczkę w alkoholu. Obecnie nie pije zupełnie, odkąd życie zaczęło odkrywać przed nim coraz więcej uroków i obdarzać go pewnemi sukcesami. Ostatnia kuracja w zakładzie ugruntowała w nim mocne zapory, które ratowały go w chwilach powracającej tęsknoty za alkoholem, która w podstępny sposób umiała przyjmować na siebie pozory bólów brzucha, czy innych organicznych dolegliwości, na które właśnie radykalnem lekarstwem jest wódka. Obecnie zdaje już sobie sprawę z tych mistyfikacyj, ale ta świadomość nie koi bólu, który staje się coraz bardziej dokuczliwy. I wtedy przychodzi Wikcia no i zaraz służy mu swoją pomocą, bo i ona również „ma coś we środku niedobrze“, ale pan aptekarz dał jej takie gorzkie lekarstwo, za którego skuteczne działanie ona może ręczyć i które zaraz panu majorowi przyniesie.

Istotnie, lekarstwo okazało się nie tylko skuteczne, ale i wywoływało nastrój miłego rozmarzenia, znosiło stany lękowe, te wszystkie wewnętrzne zahamowania i konflikty, którym zawdzięczał tyle swoich niepowodzeń,—poprostu ułatwiało życie. Więc stał się częstym gościem aptek, no a nikt przecież nie mógł odmówić panu majorowi sprzedania buteleczki opium, tembardziej, że p r a w o p o z w a l a a p t e k a r z o w i n a w y d a n i e d w u c h g r a m ó w b e z r e c e p t y. A później zabrakło aptek, wszędzie już znali pana majora, trzeba było jeździć do innych miast tylko po to, żeby przywieźć ze sobą trochę opjum, które zażywał w coraz większych dawkach. Teraz chodziło o to, żeby spotęgować działanie, nie podnosząc dawek. Zaczął robić zastrzyki, najpierw podskórne, później domięśniowe. To było bardzo bolesne (nalewka opiumowa na spirytusie!), ale przynosiło olbrzymie zadowolenie, utrzymujące się niekiedy na pograniczu stanów ekstatycznych. Później i tę metodę trzeba było zmienić. Dopóki utrzymywał się w granicach 2 do 3 cm.^{3} pro dosi, jakoś znosił głuchy, tępy ból (inaczej niepodobna tego określić), towarzyszący każdemu zastrzykowi. Ale wprowadzenie samemu sobie domięśniowo 10 cm.^{3} tinctura opii okazało się zadaniem, przekraczającem granice jego wytrzymałości. Więc zaczął robić zastrzyki dożylne. Ta metoda dawała piorunujący skutek. Nie zdążyło się jeszcze wyjąć igły, a już waliła się na człowieka potężna fala rozkoszy i przygniatała go swoim ciężarem. Całe ciało stawało w ogniu i zdawało się, że to miljony gorących szpileczek w zawrotnym rytmie uderzają po napiętej skórze, mózg napełniał się groźnym stukotem serca, które sprzeciwiało się takim zamachom, a później, gdy milkło zwolna, znużone tym gwałtownym protestem, kark tężał powoli, a ciało obejmował przejmujący spokój. — To jest najpewniejsza metoda — mówił Jerzy — człowiek przynajmniej wie napewno, że jeżeli go odrazu szlag nie trafi, to wszystko będzie dobrze.

Dowiedziałem się od Jerzego, w trakcie tej naszej ostatniej rozmowy, że jeszcze kilku naszych wspólnych znajomych w podobny sposób uległo nałogowi. Rozpoczynali zawsze od tych niewinnych dwugramowych buteleczek, żeby skończyć na fałszowaniu recept, ruinie materjalnej i zupełnym wewnętrznym upadku.

Naprawdę, wydaje mi się, że należałoby jaknajprędzej wydać surowy zakaz sprzedawania w aptekach nawet najmniejszych ilości opjum, a naszym Wikciom i Marysiom zezwolić na używanie kropli Inoziemcowa w ilościach nieograniczonych.

Michał Klimowicz.

WŁOSKIE PRAWO SANITARNE Z 27.VII. 1934 W SPRAWIE NARKOMANJI.

(Na podstawie Office International d'Hygiène Publique, Suplément au Bulletin Mensuel. 1. XXVII. N. 1. 54 str. 1935 r.).

Włoskie Prawo Sanitarne traktuje sprawy narkomanji dość rygorystycznie, zawierając szereg surowych przepisów, mających na celu zwalczanie tego nałogu. Przedewszystkiem jeśli idzie o sam obrót narkotykami, każdy, kto chce importować, exportować, przewozić, czy w inny sposób handlować opium i innemi substancjami, mającemi na celu przygotowanie narkotyków, musi być do tego upoważniony przez prefekta (namiestnika) prowincji, w której mieszka. Aptekarze nie potrzebują tego zezwolenia, gdy idzie o sprzedaż i dostawę lekarstw, co do których ilość narkotyków była ustalona. Kto, będąc upoważniony do sprzedaży narkotyków w formie i dawkach lekarstwa, sprzedaje je w ilości większej, niż była przepisana, albo osobie nieupoważnionej do odbioru, lub sprzedaje, czy dostarcza morfinę, djacetylmorfinę, kokainę i ich sole w formie innej niż pod postacią maści (pommdaes), albo w rozczynie (solution), a w każdym razie w innej formie, niż to określił Min. Spraw Wewnętrznych z udziałem Rady Zdrowia, podlega karze więzienia od 6 miesięcy — 2 lat, oraz karze pieniężnej 1 — 10 tysięcy lirów. Lekarze i lekarze weterynarze podlegają art. K. K. Włoskiego, za nadużywanie narkotyków bez potrzeby, nie stosując się do ogólnych zarządzeń. Lekarze chirurdzy i lekarze weterynarze powinni przy zapisywaniu narkotyków ujawnić imię, nazwisko i adres chorego, lub właściciela chorego zwierzęcia, któremu wydają przepis; pozatem winni wskazać ilość narkotyku i sposób użycia w ciągu dnia, postawić datę i podpis. W przeciwnym razie grozi im kara od 200 — 2000 lirów.

Dyrektorzy szpitali i wszelkich zakładów leczniczych oraz gabinetów prywatnych mogą przepisywać narkotyki w ilości potrzebnej do użytku tychże zakładów i w granicach dozwolonych. Obowiązani są prowadzić kontrolę wejścia i wyjścia tych środków z zakładów, oraz usprawiedliwiać użytek, na jaki były wzięte.

Każdy, kto będąc upoważniony do sprzedaży tych środków w formie lekarstw, robi to niezgodnie z przepisami wyżej wymienionymi, lub sprzedaje osobie nieupoważnionej do odbioru przez dowód, albo nie prowadzi specjalnego rejestru obrotu temi środkami, lub nie umieszcza na przepisie daty, podlega karze roku więzienia i karze pieniężnej 2000 — 5000 lirów. Przy recydywie grozi dodatkowa kara zawieszenia prawa wykonywania praktyki lekarskiej. Lekarz, który odwiedza lub niesie pomoc osobie ulegającej stałemu nałogowi narkotyzowania się, winien w ciągu 2 dni zgłosić ten fakt do policji. W przeciwnym razie grozi mu

kara od 200 — 2000 lirów, a w przypadku recydywy 1 rok więzienia przy równoczesnem zawieszeniu praktyki lekarskiej.

Osoba, która ma zaburzenia psychiczne, wynikające z nałogu narkotyzowania się i staje się w jakiś sposób niebezpieczną dla siebie i swego otoczenia może być z urzędu umieszczona w domu zdrowia celem odbycia kuracji. Przyjęcia do domu zdrowia mogą się domagać rodzice, opiekuni chorego lub też policja, a zatwierdza to Sędzia Pokoju na skutek wizyty chorego u lekarza.

W wypadku nagłym policja winna prowizorycznie ulokować chorego, a w wyniku tego sąd wyda odpowiednie zarządzenia. To samo odnosi się do umysłowo chorych.

Niezależnie od powyższych przepisów prefekt (namiestnik prowincji) może zarządzić zamknięcie lokalu, w którym pogwałcono prawo o narkotykach, oraz zawiesić lub odwołać dane upoważnienie.

Nadzór i kontrola nad temi sprawami należy do Min. Spraw Wewnętrznych wraz z udziałem prefektów i organów im podległych, oraz specjalnie z udziałem dyrekcyj portów lotniczych i morskich przy kontroli okrętów i samolotów.

Podała: *K. Piwowarczykowa.*

PROTOKÓŁ
POSIEDZENIA POLSKIEGO KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZWALCZANIA NARKOMANJI,

odbytego w dniu 4 grudnia 1935 roku w Państwowym Zakładzie Higjeny przy ul. Chocimskiej 24 w Warszawie.

Obecni: Pp. Min. W. Chodźko, Prok. J. Firstenberg, Dr. J. Jakóbkiewicz, Prof. Br. Koskowski, Doc. W. Łuniewski, Płk. Dr. J. Nelken, K. Piwowarczykowa, Doc. Dr. G. Szulc, Nacz. W. Sokolewicz, M. Sokalówna, Red. J. Szymański, Dyr. H. Zajączkowski, K. Kalinowski. Nieobecność usprawiedliwili: Pp. Dyr. J. Adamski, Prof. J. Mazurkiewicz, Prof. J. Modrakowski, Ks. M. Krygier i Prof. J. Muszyński.

Porządek dzienny:

1) Odczytanie protokółu z poprzedniego posiedzenia.
2) Sprawozdanie z akcji na terenie międzynarodowym — (Ref. Dr. W. Chodźko).
3) Projekt zmiany rozporządzenia o uznaniu niektórych substancyj za wywołujące szkodliwe skutki dla zdrowia — (Ref. Doc. Dr. G. Szulc).
4) Współpraca Komitetu z Izbami Lekarskiemi — (Ref. Prok. J. Firstenberg).
5) Sprawa wznowienia działalności sądów dyscyplinarnych lekarskich—(Ref. Prok. J. Firstenberg).
6) Kontrola wyrobu pieczątek i receptarjuszy lekarskich — (Ref. Prok. J. Firstenberg).
7) Akcja prasowa Komitetu — (Ref. Doc. Dr. G. Szulc).
8) Zagadnienie eteromanji — (Ref. Dr. W. Chodźko).
9) Zagadnienie produkcji krajowej narkotyków — (Ref. Nacz. W. Sokolewicz).
10) Nowe metody kuracji odwykowej — (Ref. Doc. W. Łuniewski).
11) Wolne wnioski.

Zagaił posiedzenie przewodniczący Doc. Dr. G. Szulc. Odczytano protokół, który po dokonaniu drobnych poprawek redakcyjnych przyjęto.

Na wniosek przewodniczącego Zebranie wyraża D-rowi J. Jakóbkiewiczowi uznanie za wyczerpujące i doskonałe opracowanie protokółu.

Następny punkt porządku dziennego: „Sprawozdanie z akcji na terenie międzynarodowym" referuje p. Min. W. Chodźko.

Podczas 20-tej Sesji „Komisji Doradczej Ligi Narodów do Spraw Opjum" w Genewie, rozpoczętej 20 maja 1935 r., Komisja wybrała na rok 1935 na przewodniczącego Komisji Opjumowej Delegata Szwajcarji Dra Carrièr'a, na Wice-przewodniczącego Dra W. Chodźkę — Delegata Rządu Polskiego i na referenta Komisji prof. Carnoy — senatora i b. ministra Spraw Wewnętrznych Belgji. Komisja odbyła 22 posiedzenia. Pozatem delegat Polski brał udział w 3 posiedzeniach podkomitetu w sprawie stosowania postanowień Działu IV Konwencji Haskiej 1912 r. w sprawach chińskich oraz w jednem posiedzeniu podkomitetu do spraw haszyszu (konopi indyjskich). Min. Chodźko referuje ważniejsze sprawy, podjęte na wymienionych posiedzeniach: o nowych rozporządzeniach japońskich z 1.I. 1935 r., przystosowujących przeciwnarkotyczne ustawodawstwo Japonji do postanowień Konwencji Opjumowej 1931 r.; o wprowadzeniu numeracji seryjnej na opakowaniach narkotyków wysyłanych przez hurtowników; o niebezpieczeństwach propagandy przez radjo w sprawach, związanych z narkomanją, jako akcji podjętej na terenie międzynarodowym z inicjatywy polskiej, na skutek energicznego wystąpienia Polskiego Komitetu w Warszawie, które to wystąpienie znalazło żywy oddźwięk w Genewskim Komitecie do Walki z Opjum; o postanowieniach, tyczących się nadzoru nad narkotykami na składach, znajdujących się w portach wolnych — (Ports - francs § 20 Kodeksu Wzorowego); w sprawie walki z nielegalną fabrykacją narkotyków Delegat Polski zwrócił uwagę na niedostateczność wyłącznie policyjnych zarządzeń i na bardziej skuteczne sposoby walki na drodze społecznej i ustawodawczej, zapoczątkowanej w Polsce w kierunku podjęcia badań nad liczbą narkomanów i sposobami skutecznego ich leczenia, traktowania handlarzy narkotykami, jako przestępców antyspołecznych; konieczność izolowania narkomanów podobnie, jak się izoluje chorych zakaźnych w czasie leczenia i t. p., co wywołało duże zainteresowanie Komisji, a nawet wyrażenie przez delegata Austrji powinszowania Rządowi Polskiemu z powodu postępów, osiągniętych w dziedzinie ustawodawstwa karnego w Polsce (mowa o art. 9 K. K.); o nieskoordynowaniu z Delegatem Polski wystąpień W. Miasta Gdańska w sprawach walki z narkomanją na terenie międzynarodowym w Genewie, coby może łatwiej dało się usunąć przy powstaniu „Organu Kontrolującego", jako Urzędu Centralnego w Polsce, który mógłby zapewne wejść w bezpośredni stały kontakt z Gdańskim „Państwowym Urzędem Centralnym do Walki z nielegalnym handlem narkotykami" i w ten sposób ułatwić walkę z przemytem narkotyków do Polski, jak również ułatwiłoby polską akcję na terenach zagranicznych w sprawach kontrabandy i t. p.; o niedostateczności kredytów udzielanych policji na walkę z przemytem narkotyków, jako przeznaczonych do walki z kontrabandą; o zarządzeniach wydanych w Chinach dla walki z narkomanją naogół bardzo pożytecznych i zasługujących na wielkie uznanie, ale zawierających m. in. i karę śmierci, co w stosunku do narkomanów, jako ludzi chorych, budzi poważne zastrzeżenia; o konieczności przyśpieszenia zwołania konferencji międzynarodowej w sprawie zawarcia Konwencji, dotyczącej represyj w stosunku do handlu nielegalnego i przemytu narkotyków.

W dniu 29 maja 1935 r. na pierwszem posiedzeniu podkomitetu w sprawie haszyszu Delegat Polski sformułował następujący najbliższy program prac podkomitetu:

1) zebranie przez Sekretarjat materjałów w sprawie modyfikacji postanowień Konwencji Opjumowej 1925 r. w dziale haszyszu;

2) zebranie informacyj o toksykomanach i ich leczeniu w północnej Afryce francuskiej;

3) odesłanie sprawy ujednostajnienia nomenklatury konopi indyjskich i ich części składowych do komitetu rzeczoznawców, który winien być utworzony;

4) zaproszenie do udziału w pracach podkomitetu delegata Siamu.

Wszystkie te propozycje zostały przyjęte.

Pozatem na X Sekcji Międzynarodowego Biura Higjeny Publicznej w Paryżu w październiku 1935 r. Min. Chodźko przedstawił 1-szy przypadek kodeinomanji w Polsce (publikacja „Bulletin mensuel de l'Office International d'Hygiène Publique" T. XXVII. Nr. 12. 1935 r.).

Delegaci Kanady i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej poinformowali o szerzącej się od pewnego czasu kodeinomanji w Ameryce. Między innemi został stwierdzony zwyczaj podawania kodeiny podskórnie, co powoduje powstawanie guzów kulistych, długotrwałych. Rękę z guzami nazywają „bras de ciment". W Kanadzie stwierdzono np. 34 przypadki kodeinomanji w jednym szpitalu. U kodeinomanów dzienne dawki dochodzą do 4,8 grm. kodeiny. Kodeinomanja w Kanadzie pochodzi, jak twierdzi delegat kanadyjski, od zbyt częstego stosowania kodeiny przez lekarzy. Potwierdzają to cyfry globalne, dotyczące importu do Kanady kodeiny:

w roku	1926	— 311	kg.
„	1929	— 724	„
„	1929	— 724	„
„	1933	— 1.040	„

Na miljon mieszkańców konsumcja kodeiny	w Kanadzie	wynosi	— 109 kg.
„ „ „ „	w Stan. Zjednoczonych	„	— 29 „
„ „ „ „	w Anglji	„	— 11 „
„ „ „ „	w Australji	„	—3—4 „

Na zakończenie swego sprawozdania Min. Chodźko zaznacza, iż w podjętem ostatnio zamierzeniu rejestracji narkomanów w Polsce możnaby było zastosować ten system, jaki w Danji zastosowano w stosunku do wenerycznych chorych, podając w rejestracji prawdziwe tylko pierwsze litery imienia i nazwiska chorych.

Dyr. *Zajączkowski* zaznacza, że nieostrożnie wykonana rejestracja narkomanów przez lekarzy uniemożliwiłaby w wielu wypadkach leczenie narkomanów. Bardzo często zgłaszają się na leczenie do Zakładu w Świacku narkomani, którzy, jako warunek rozpoczęcia kuracji, stawiają zupełną pewność zachowania kompletnej dyskrecji.

W związku z ogłoszonym przypadkiem kodeinomanji komunikuje, że w Świacku ostatnio leczyło się 2 kodeinomanów: jeden przypadek, jako rezultat interwencji w duszznicy oskrzelowej, a drugi jako zejście morfinomanji.

Wice-Prok. *Firstenberg* popiera myśl, aby w zamierzonej w Polsce rejestracji narkomanów zastosować nie tyle pseudonimy, o których się mówiło w projektach, lecz kryptonimy.

Po odbytej na temat sprawozdania p. Min. Chodźki dyskusji, przewodniczący w imieniu Komitetu dziękuje p. Min. Chodźce za reprezentowanie z wysoką godnością nie tylko Rządu Polskiego i Komitetu Walki z Narkomanją, ale wszystkiego tego, co jest najszlachetniejsze w ludzkości.

3 punkt porządku dziennego: „Projekt rozporządzenia o uznaniu niektórych substancyj za wywołujące szkodliwe skutki dla zdrowia", referuje Doc. Dr. G. Szulc i odczytuje odnośne rozporządzenie w nowej zaprojektowanej redakcji, którą następnie zebranie akceptuje.

4-ty punkt porządku dziennego: „Współpraca Komitetu z Izbami Lekarskiemi"

referuje Wice-Prok. Firstenberg, podkreślając konieczność nawiązania kontaktu z Naczelną Izbą Lekarską, a za jej pośrednictwem z Izbami Okręgowemi, celem oddziałania zapomocą odpowiedniej akcji propagandowej na ogół lekarzy; tą drogą można najłatwiej i najskuteczniej wpłynąć na środowiska lekarzy i zmienić ich poglądy w kwestji zapisywania narkotyków. Dotąd tylko część lekarzy zastosowała się do nowego stanu prawnego, normującego sprawę wystawiania recept na narkotyki oraz innych spraw, dotyczących walki z narkomanją. Dużo lekarzy natomiast zachowuje postawę, jakby oponentów, gdyż wielu z nich wręcz oświadcza, że w przypadkach głodu narkotycznego będą przepisywać narkotyki, zgodnie ze swojem przekonaniem. Są również tacy lekarze, co poprostu nie znają nowego rozporządzenia z r. 1934, tacy, co o niem zdążyli już zapomnieć i wreszcie tacy, co uważają, że maksymalna ilość, jaką wolno zapisać, równa się 10-krotnej dawce najwyższej dziennej narkotyku, nie zaś 10-krotnej dawce jednorazowej. Stąd wnioskować należy, że odnośne rozporządzenie Ministerjum Opieki Społecznej nie dotarło do ogółu lekarzy. Również i propagandowe odczyty Warsz. T-wa Lekarskiego, wygłoszone w 1933 roku, uświadomiły jedynie nieznaczną stosunkowo liczbę lekarzy. Zwłaszcza na prowincji ogół lekarzy pozostał nawet niepoinformowany. Stąd wynika konieczność podjęcia energicznej i trwającej czas dłuższy akcji propagandowej w tym kierunku i to właśnie przy pomocy Izb Lekarskich. Komitet może m. in. spowodować wydanie przez Naczelną Izbę Lekarską i przez wszystkie Okręgowe Izby Lekarskie takiego okólnika w sprawach narkomanji, któryby dotarł do wszystkich absolutnie lekarzy. Prócz tego prowincjonalne Izby Okręgowe winny zwołać specjalne zebranie propagandowe, poświęcone zagadnieniu narkomanji.

Doc. *Łuniewski* informuje, że występuje bardzo często w charakterze eksperta w sprawach karnych przeciwko lekarzom o zapisywanie zbyt dużych ilości narkotyków. W związku z tem wyłoniło się zagadnienie, czem ma się rzeczoznawca kierować w swych orzeczeniach? W stosunku do lekarzy złej woli łatwo jest decydować i takie sprawy są pomyślnie załatwiane w Sądzie. Gdy psychjatra lub neurolog zapisuje nadmierną dawkę narkotyku, można od niego wymagać należytego orjentowania się w tem, co robi. Wówczas jednak, gdy zapisuje narkotyki lekarz inny, wytwarza się sytuacja bardzo kłopotliwa. Nasuwają się bowiem wątpliwości, nieraz bardzo poważne, i wówczas tego rodzaju wątpliwe sprawy odsyła się do zaopinjowania do Izby Lekarskiej. A że takich spraw już dużo zostało odesłanych do Izby Lekarskiej, nieprzygotowanej do opinjowania w tego rodzaju sprawach, wszystkie one leżą tam nierozpatrzone, budząc zrozumiałe rozdrażnienie. I powstaje pytanie, co wtedy robić?

P. *Marja Sokalówna* zwraca uwagę na to, że pewne sfery lekarskie pragną przenieść odpowiedzialność za recepty z lekarzy na aptekarzy.

Nacz. *Sokolewicz* zwraca uwagę na to, iż dzieje się również inaczej, kiedy aptekarze, w celach pozbycia się starych zasobów narkotyków bardzo chętnie wydają recepty na narkotyki, zwłaszcza takie, których rozchód zaczął gwałtownie zmniejszać się, jak np. heroiny na skutek zalecenia Naczelnej Izby Lekarskiej, aby nie przepisywać wcale heroiny. Jeśli więc lekarz zapisze przypadkiem heroinę, czyby nie było dobrze, gdyby aptekarz miał obowiązek w takim wypadku zawiadomić Izbę Lekarską, a nie korzystał ze sposobności pozbywania się starego zapasu heroiny.

Min. *Chodźko* oświadcza, iż trzeba liczyć się z tem, że jak istnieją np. nieuleczalni gruźlicy, tak samo mogą istnieć nieuleczalni narkomani i tu jest jądro sprawy. Zagadnienie polega na tem, aby tego rodzaju nieuleczalnie chorym wydawano zaświadczenia, na podstawie których mogliby oni otrzymywać narkotyki.

Prof. *Koskowski* daje przykłady nieuleczalnych chorych, dla których muszą być wydawane narkotyki bez zamierzonych ostatnio ograniczeń i utrudnień. Dzisiejsza sytuacja pod tym względem jest nienormalna, gdyż na zapytanie np. lekarza, skiero-

wane do Województwa, czy ma prawo w konkretnym wypadku nieuleczalnie choremu zapisywać stale narkotyki, urzędnik po długiej zwłoce daje odpowiedź iście Pytyjską, po której lekarz znowu nie wie, jak ma postępować.

Doc. *Łuniewski* podziela powyższe stanowisko i uważa, iż również tacy nieuleczalni chorzy, jak np. rakowaci i t. p., oraz nieuleczalni narkomani muszą mieć narkotyki. Niezależnie więc od złej woli i od sprzeczności z sumieniem lekarskiem, sytuacja lekarzy w wielu wypadkach pozostaje bardzo trudną. Należy przeto jednocześnie z obostrzeniem przepisywania recept na narkotyki, sprecyzować wyraźnie te kategorje przypadków, kiedy wolno lekarzowi przepisywać narkotyki wbrew przewidywanym ograniczeniom. W każdym razie w 4-ch zasadniczych przypadkach należy dać lekarzowi prawo zapisywania narkotyków, mianowicie, gdy chodzi:

1) o uśmierzenie bólu, 2) o usunięcie objawów zapaści, 3) o nieuleczalnie chorych i 4) w przypadkach ze szczególnemi wskazaniami, jak np. przy dusznicy bolesnej i t. p. Można pójść nawet dalej i stworzyć przy Urzędach Wojewódzkich specjalne „Komisje szczególnego trybu", złożone np. z 3 lekarzy, które miałyby prawo wydawania chorym, potrzebującym narkotyków, zaświadczenie, dające prawo na otrzymywanie narkotyków w odpowiedniej ilości.

Płk. Dr. *Nelken* jest zasadniczo przeciwny tworzeniu „komisyj szczególnego trybu", ponieważ takie komisje będą z natury rzeczy niejednakowe i komisje „lżejsze" będą miały u siebie gros klienteli z całego kraju. Praktycznie nie da się to przeprowadzić. Należy przedewszystkiem postawić zdecydowanie sprawę, że ambulatoryjne leczenie narkomanji nie istnieje — tylko zakładowe.

Wice-Prok. *Firstenberg* stwierdza, iż z punktu widzenia prawnego można działać skutecznie na podstawie już wydanych przepisów i zarządzeń. Przyczyną wszystkich zdarzających się obecnie nieporozumień jest to, że istniejące zarządzenia nie doszły do wiadomości ogółu lekarzy. Należy więc przeprowadzić dalszą akcję informacyjną i propagandową Komitetu, między innemi przy pomocy Izb Lekarskich. Co się tyczy proponowanych „Komisyj specjalnych" — można wprowadzić zasadę, że każdej takiej Komisji przewodniczy delegat Departamentu Służby Zdrowia, albo wprowadzić konieczność aprobaty Departamentu, albo nawet stworzyć tylko jedną Komisję dla całego kraju przy Departamencie. Jeżeli chodzi o zagadnienie sporządzenia ewidencji narkomanów — to w niektórych wypadkach Ministerjum Sprawiedliwości zwalnia organy sądowe od obowiązku zachowania w tym zakresie tajemnicy urzędowej w stosunku do władz sanitarnych, celem ułatwienia prac statystycznych, zaś od tajemnicy lekarskiej w odnośnych przypadkach zwalnia wyraźny przepis, zaprotokółowany na ostatniem posiedzeniu Komitetu (art. 254 K. K.). Walczyć natomiast musimy również z wypadkami przepisywania narkotyków pod presją chorych. Głównie jednak chodzi o akcję propagandową.

Po wymianie zdań zebranie postanowiło wystąpić do Naczelnej Izby Lekarskiej z wnioskiem, aby Izby Lekarskie zajęły się sprawami tu poruszonemi i przeprowadziły odpowiednią akcję propagandową wśród lekarzy.

5-ty punkt porządku dziennego referuje Wice-Prok. *J. Firstenberg*, wypowiadając pogląd, iż wszystkie drobne wypadki wykroczeń w sprawach narkotykowych powinny być kierowane nie na drogę karną, lecz do Sądów Dyscyplinarnych Izb Lekarskich, pod warunkiem jednakże, że w tych Sądach Dyscyplinarnych będzie: 1) postępowanie szybkie i że 2) orzecznictwo dyscyplinarne będzie stało na odpowiednim poziomie. Obecnie jednak postulat szybkości postępowania nie może być zrealizowany, gdyż od paru lat Sądy Dyscyplinarne wszystkich Izb Lekarskich są nieczynne z powodu braku odpowiedniego rozporządzenia wykonawczego i sprawy, skierowane na drogę dyscyplinarną, leżą przez dłuższy czas bez biegu. Pożądane jest, aby Zarząd

Komitetu interwenjował w Departamencie Służby Zdrowia, prosząc o możliwie szybkie wydanie wspomnianego rozporządzenia.

Na propozycję przewodniczącego Zebranie przyjmuje wniosek p. Firstenberga.

6-ty punkt porządku dziennego referuje Wice-Prok. *J. Firstenberg*, wyjaśniając, iż obecnie na rynku grawersko-drukarskim panuje anarchja, pozwalająca narkomanom obstalowywać gumowe pieczątki i drukowane receptarjusze z nazwiskami istniejących lekarzy, co ułatwia im ogromnie fałszowanie recept. Niezbędne jest wprowadzenie przepisu — w postaci ustawy lub rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych, któryby nakładał na drukarnie i grawernie obowiązek żądania od osób zamawiających receptarjusze lub pieczątki lekarskie, aby okazały dowód osobisty.

Prof. *Koskowski* zwraca uwagę na to, że taki tryb istnieje obecnie w stosunku do faksimile, więc nie widzi powodów, dla których nie możnaby zastosować go i w stosunku do pieczęci lekarskich oraz receptarjuszów.

Doc. *Szulc* uważa, iż unifikacja kształtu pieczątek lekarskich i zarządzenie, by wykonywanie obstalunków na pieczątki i receptarjusze przez drukarnie i grawernie odbywały się na podstawie okazywania dokumentów osobistych, nie tylko nie uszczupli w niczem praw lekarzy, lecz będzie ochraniać świat lekarski od nadużyć fałszowania recept i podpisów lekarskich.

Na wniosek przewodniczącego Zebranie uchwala wystąpić z odpowiednim wnioskiem w tej sprawie i przewodniczący wyraża podziękowanie p. Firstenbergowi za inicjatywę w tak ważnych dla walki z narkomanją sprawach.

7-my punkt porządku dziennego: „Akcja prasowa Komitetu“ referuje p. Doc. *G. Szulc*, stawiając zapytanie, czy należy organizować regularną informację prasy codziennej w szerszym zakresie. Próba była robiona przed 2 laty; w tym celu zorganizowano wspólne posiedzenia Komitetu z przedstawicielami prasy. Jednak tego rodzaju akcja nasuwa obawę wywołania niezdrowej sensacji drażliwą kwestją.

Płk. Dr. *Nelken* uważa, iż nie należy inicjować akcji w pismach codziennych, gdyż to mogłoby raczej zainteresować publiczność w niepożądanym kierunku i przyciągać do próbowania narkotyków.

Doc. *Łuniewski* popiera stanowisko Płk. Dr. Nelkena i przypuszcza, iż akcję prasową należałoby ograniczyć do poważniejszych pism fachowych.

Wice-Prok. *J. Firstenberg* natomiast uważa, iż odpowiednio ujęta akcja prasowa może być przeprowadzoną i w pismach codziennych, które mogą przynieść dużo korzyści dla sprawy. Jako przykład przytacza cykl 5 korespondencyj „Dobrego Wieczoru“ o eteromanji na Górnym Śląsku. Za pośrednictwem pism codziennych informacje dochodzą najprędzej do ogółu i jednocześnie dochodzą do wszystkich zainteresowanych sfer, jak np. sądowników, nauczycieli, lekarzy, policji ect. Istotnie bardzo niebezpiecznym w prasie codziennej jest moment sensacyjności podawanych wiadomości, jednak możliwem jest ustrzec się tego, przy odpowiedniem zorganizowaniu sprawy. Ale nie na drodze konferencyj prasowych, w które nie wierzy. Raczej na drodze wręczania pismom przez Komitet poważnie opracowanych materjałów z zastrzeżeniem, że nie wolno czynić zmian w komunikatach. Tego rodzaju stały kontakt z prasą przy pomocy własnych komunikatów jest bardzo pożądany, działalność Komitetu, mimo jej niesłychanie owocnych wyników, jest szerszemu ogółowi bardzo mało znana.

Min. *Chodźko* wskazuje na 2 artykuły J. Radzimińskiego z 14 i 18.XII. 1934 r. (Kurjer Poranny) w sprawie eteromanji, które należy uważać za pożyteczne.

Dr. *Jakóbkiewicz* proponuje dla uniknięcia przerabiania przez dzienniki komunikatów na sensacyjne, wysyłać je tylko do Ajencji prasowej Express lub do Pat'a, ponieważ komunikaty ich umieszcza prasa bez modyfikacyj.

8-my punkt porządku dziennego: „Zagadnienie eteromanji“ referuje p. Min. *W. Chodźko.*

Zagadnienie eteromanji w Europie Zachodniej dotąd nie istnieje. Chociaż we Francji, Niemczech, Anglji i w Ameryce Północnej przypadki picia eteru zostały ujawnione, to jednak statystyka w tym zakresie nie istnieje. W niektórych krajach zanotowano zjawisko, że eteromanja, jako nałóg szerzący się zwłaszcza na szerszą skalę zjawia się nieraz tam, gdzie pewne czynniki rozwinęły energiczną akcję abstynencką w postaci propagandy przeciwalkoholowej. Tam właśnie na miejsce używanego przedtem alkoholu występuje użycie eteru (Lewin). W Polsce eteromanja jest zagadnieniem bardzo poważnem. Cenne są pod względem informacyjnym materjały ogłoszone przez czasopismo „Trzeźwość" (artykuł p. Hrabina), oraz dwa artykuły dziennikarza J. Radzymińskiego w Kurjerze Porannym 14 i 18 grudnia 1934 r. Wynika z nich, iż całe wsie na Górnym Śląsku są objęte nałogiem eteromanji, nawet szereg gmin na terenie dwóch powiatów. Zwłaszcza we wsiach Czyżowice, Gorzyce, Gorzyczki, Lubomia i innych, mieszkańcy „upijają się do nieprzytomności eterem; co gorsza, że tutaj piją eter nie tylko dorośli, ale i dzieci; niemowlętom, skoro płaczą i nie mogą spać, dają t. zw. waczek: — szmatkę zamoczoną w eterze". Są informacje, że piją eter i w dwóch powiatach woj. Warszawskiego. Tymczasem zamierzenia Ministerjum Przem. i Handlu, oraz innych ministerjów usiłują znowelizować prawodawstwo w kierunku ułatwienia nabywania eteru. Koniecznem jest raczej zaostrzyć pod tym względem ustawodawstwo. Przedewszystkiem zaś należy poddać przypadki eteromanji obowiązkowemu zgłaszaniu przez lekarzy, kierowników szkół, przez dyrektorów zakładów psychjatrycznych, kierowników więzień i t. d. Należałoby zażądać sprawozdań dotyczących chorych na eteromanję od szpitali psychjatrycznych w Rybniku i Lublińcu. Wobec przypuszczeń istnienia nielegalnych fabryk eteru, należałoby spowodować wydanie polecenia władzom policyjnym wykrycia źródeł fabrykacji eteru w kraju.

W samym terenie, nawiedzonym eteromanją należy energicznie działać i na wzór prowadzonej walki z chorobami zakaźnemi, wysyłać do wsi objętych eteromanją, kolumny sanitarne z lekarzem i pielęgniarką na czele dla zbadania i działania na miejscu przy pomocy propagandy i umiejętnej opieki nad mieszkańcami oraz przeprowadzenia całkowitej likwidacji ognisk eteromanji.

Po dyskusji nad referatem zostały przyjęte 2 wnioski:

1) aby Zarząd Komitetu wystąpił z propozycją do Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej zwołania konferencji do Katowic z udziałem przedstawicieli Górnośląskiego Samorządu, Policji, Straży Granicznej, Wojska, Sądownictwa i Prokuratury, Nauczycielstwa, Duchowieństwa i Służby Zdrowia z udziałem przedstawicieli Departamentu Służby Zdrowia i Komitetu Walki z Narkomanją, oraz Izby Lekarskiej — i 2) Polski Komitet do Spraw Narkotyków wypowiada się jednogłośnie za obostrzeniem istniejących przepisów, dotyczących obrotu eterem, wobec szerzenia się eteromanji nietylko na Górnym Śląsku, ale i w innych częściach kraju.

Punkt 9-ty porządku dziennego: „Zagadnienie produkcji krajowej narkotyków" i punkt 10-ty: „Nowe metody kuracji odwykowej" zostały przeniesione na następne zebranie.

Dr. *Zajączkowski* stawia wnioski:

1) aby Polski Komitet do Spraw Narkotyków zwrócił się z prośbą do Ministerjum Opieki Społecznej o zezwolenie i polecenie dyrektorom zakładów państwowych i samorządowych, zajmujących się leczeniem narkomanów, robienia inspekcyj w sąsiednich aptekach odnośnego województwa, celem ułatwienia kontroli nad pacjentami, leczącymi się w danym Zakładzie.

2) aby Polski Komitet do Spraw Narkotyków wyraził swą opinję, że metoda leczenia przymusowego narkomanów, polegająca jedynie na skierowaniu na dłuższe leczenie jednorazowe do zakładu leczniczego jest niekompletna i że leczenie pełne nar-

komanów powinno polegać na obowiązku zgłaszania się narkomanów na conajmniej kilkudniową obserwację szpitalną w przeciągu najbliższych 3 lat po ukończeniu leczenia, a mianowicie w pierwszym roku co 3 miesiące, a następnie 2 lata co 6 miesięcy.

Na propozycję p. prof. Koskowskiego postanowiono 2 przytoczone wnioski Dra Zajączkowskiego bez opinji Komitetu przesłać do Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej.

Na tem posiedzenie zakończono.

Przewodniczący
Doc. Dr. Gustaw Szulc.

W związku z punktem IV porządku dziennego, p. t. „Współpraca Komitetu z Izbami Lekarskiemi“ prok. J. Firstenberg stwierdził, że jakkolwiek poprzednio opierając się na art. 254 K. K. był zdania, że lekarze mają prawo informować Władze Sanitarne o stwierdzanych przypadkach narkomanji, obecnie po rozpatrzeniu art. 15 Rozp. Prez. 25.IX. 34 r. o wykonywaniu praktyki lekarskiej, stoi na stanowisku, że lekarze nie mają prawa zgłaszać Władzom Sanitarnym tychże przypadków, gdyż kolidowałoby to z obowiązkiem zachowania przez nich tajemnicy lekarskiej.

E T E R Y Z M.

NIESPODZIEWANY WYBUCH ETERU. KRÓL ETEROWCÓW PRZED SĄDEM.

Przed sądem w Rybniku zasiedli znani przemytnicy eteru: Alfred Sitek, Jan Łatka, Czesław Harazim, Joachim Ciuraj, Alfred Szymiczek i Konrad Lorenc. Herszt szajki, zwany „królem eterowców“, Ernest Sitek, zdołał zbiec zagranicę, tak, że tylko wspólnicy odpowiadali obecnie przed sądem, za spowodowanie wybuchu eteru przy przelewaniu. W dniu 20 października 1935 r. rozlewali oskarżeni w mieszkaniu Ciuraja przemycony z Niemiec eter do mniejszych butelek. W pewnej chwili, najprawdopodobniej wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, nastąpił tak silny wybuch eteru, że drzwi i okna powylatywały i mury popękały. Ponadto wyleciała w powietrze część dachu. Oskarżeni odnieśli szereg poparzeń na twarzy i rękach.

W toku dochodzeń stwierdzono, że eter przyniósł do domu Ciuraj. Okazało się dalej, że eter rozlewano do butelek przy świetle lampy naftowej.

Podczas rozprawy oskarżeni zaprzeczali, jakoby posiadali eter. Zeznania świadków wypadły jednak dla oskarżonych bardzo obciążająco. Przodownik straży granicznej stwierdził, że krytycznego dnia mieli oskarżeni otrzymać 100 litrów eteru. Kierownikiem szajki, według zeznania świadków, miał być Ernest Sitek, który eter nabywał zagranicą. Reszta oskarżonych zajmowała się dalszym transportem eteru, który odwożono do Małopolski, gdzie szajka miała swoich nabywców.

Sąd skazał wszystkich oskarżonych po trzy miesiące bezwzględnego więzienia.

(„A. B. C.“ — 10.XII.35).

WYROK W SPRAWIE „ETEROWEJ“.

Sąd Okręgowy w Katowicach na sesji wyjazdowej w Rybniku, Wydział V. Karno-Skarbowy, rozpoznawszy sprawę przeciwko Frontowi Emilowi, urodzonemu dn. 18 września 1911 r. w Krotoszowicach, synowi Antoniego i Marjanny z domu Sztokowa, zamieszkałemu w Krotoszowicach, pow. Rybnik,

oskarżonemu o przestępstwo z art. 7 § 2, 45 ustęp 2 uks. łącznie z art. 1 rozp. Min. Skarbu z dn. 11 czerwca 1920 r. Dz. U. R. P. poz. 314 i Rady Ministrów z dn. 11.X.1933 r. Dz. U. R. P. poz. 561 i z art. 117 i 9 ustawy z dn. 22 czerwca 1923 r. Dz. U. poz. 559, popełnione przez to, że oskarżony dn. 8 września 1934 r. w okolicy miejscowości Wodzisław świadomie nabył i transportował przedmioty, pochodzące z przestępstwa przemytnictwa, a to 11,55 kg. eteru, przyczem tym samym czynem bezprawnie przechowywał dla zbycia środek odurzający, a to eter etylowy.

o r z e k ł:

oskarżonego Emila Fronta uznaje się winnym przestępstw powyżej opisanych i za to zasądza go w myśl art. 45 ust. 1, 2 uks. art. 7 ustawy z dn. 22 czerwca 1923 r. poz. 559 Dz. U. R. P. przy zastosowaniu art. 31 uks. na karę pieniężną w kwocie 20.000 zł. zamienioną w razie nieściągalności w myśl art. 20 uks. na karę aresztu przez 10 dni, t. j. w stosunku za każde 20.00 zł. jeden dzień, a nadto na karę więzienia przez 3 miesiące w myśl art. 7 ustawy z dn. 22 czerwca 1923 r. poz. 559 Dz. U. R. P.

Oskarżonego uwalnia się od ponoszenia kosztów postępowania karnego i skarbowego oraz opłaty sądowej na zasadzie art. 598 kpk. i 83 przepisów o kosztach sądowych.

Na zasadzie art. 9 ust. z dn. 22 czerwca 1923 r. poz. 559 orzeka się konfiskatę zakwestjonowanych u oskarżonego wyżej wyszczególnionych przedmiotów.

U z a s a d n i e n i e.

Dn. 8 września 1934 r. straż graniczna przytrzymała w Godowie oskarżonego, jadącego na rowerze i transportującego 11,55 kg. eteru, pochodzącego z przemytu.

Na tej podstawie oskarżony postawiony został w stan oskarżenia o popełnienie występków z art. 7 § 2 L. 2 uks. i 1, 7, 9, ust. z dn. 22 czerwca 1923 r. Dz. U. R. P. poz. 559 łącznie z ustawami i rozporządzeniem powołanem w tenorze wyroku.

Oskarżony przy rozprawie nie przeczył, że znaleziono przy nim wyżej wymienioną ilość eteru, zaprzeczył jednakowoż winy i bronił się, że pewien nieznany mu osobnik wręczył mu pakiet i prosił, aby za wynagrodzeniem 5 zł. zawiózł mu ten pakiet na dworzec do Godowa. Co w tym pakiecie było oskarżony miał rzekomo nie wiedzieć. Powyższa obrona oskarżonego odparta została całkowicie wynikami rozprawy. W szczególności na podstawie zeznań świadka Edwarda Szcześniaka nieprawdziwość obrony oskarżonego została całkowicie stwierdzona. Sam oskarżony zeznał przed Urzędem Celnym, że w dn. 8 września 1934 r., będąc w Wodzisławiu, jakiś nieznany osobnik zaproponował mu za wynagrodzeniem zawieść blaszankę eteru z Gorzyc do Gołkowic. Oskarżony sam zeznał dalej, że zgodził się na powyższą propozycję i w tym celu wyjechał na rowerze, po drodze jednak do Godowic został przytrzymany. Wprawdzie oskarżony przy rozprawie zeznał, że nie wiedział, iż wiezie eter, to jednak Sąd temu tłumaczeniu nie dał wiary, gdyż eter, żeby jaknajszczelniej zamknięty, wydziela mimo to woń tak silną, że trudno pomylić się co do zawartości naczynia, zresztą obrona oskarżonego odparta została także zeznaniami świadka Szcześniaka, który mając konfidencjonalne wiadomości o przemycie eteru, uczynił zasadzkę i przychwycił oskarżonego, który pozatem znany jest świadkowi jako zawodowy przemytnik eteru.

Na podstawie powyższych wyników rozprawy uznał Sąd oskarżonego winnym popełnienia czynów w wyroku opisanych. Przy wymiarze kary nie przyjął Sąd żadnej okoliczności łagodzącej, a jako obciążającą przyjął straszne skutki popierania nałogu spożycia eteru.

Powszechnie znaną jest rzeczą, że nałóg używania eteru w powiecie Rybnickim jest wprost nagminny, a skutki tego przejawiają się w najrozmaitszych formach i dlatego uważa Sąd, że tylko stosowanie prawa z całą surowością może zapobiec dalszej

degeneracji społeczeństwa powiatu Rybnickiego. Temi motywami się kierując wymierzył Sąd oskarżonemu karę więzienia przez 3 miesiące jako odpowiadającą jego przewinieniu. Również stosując przepisy art. 45 L. 2 uks. skazał Sąd oskarżonego na karę pieniężną w wysokości 200.000 zł., zamieniając na wypadek nieściągalności na karę aresztu zastępczego przez 10 dni.

Tak karę wolnościową jak i karę pieniężną, ze względu na skutki, jakie spożycie tak znacznej ilości mogłoby pociągnąć, uznał Sąd za odpowiadającą przewinieniu oskarżonego.

Orzeczenie o kosztach i opłacie sądowej polega na art. 598 kpk. i 83 przepisów o kosztach sądowych a o konfiskacie na art. 9 powołanej ustawy.

WIĘZIENIE ZA ROZPIJANIE LUDZI ETEREM.

Ludność Spisza i Orawy, oraz część ludności powiatu nowotarskiego masowo z nałogu truje się eterem. Jeden kieliszek eteru wystarcza na upojenie, powodując równocześnie *wstręt do alkoholu*. Nałóg ten jednak gorszy jest od alkoholu — ponieważ szybciej się weń popada i znacznie trudniej się od niego odzwyczaić. Ludność miejscowa pije eter *w stanie surowym*, zakrapiając go jedynie miętowemi kroplami. Skutki tego nałogu są niezwykle szkodliwe przedewszystkiem ze względu na potomstwo, jak też ze względu *i na zwyrodnienie umysłowe*, które powstaje w miarę silniejszego popadania w nałóg. W walce ze szkodliwym nałogiem, komisarjat straży granicznej w Nowym Targu zlikwidował przed kilku laty *tajne źródło sprzedaży eteru w jednej z aptek nowotarskich*. Ostatnio znowuż zaczęto obserwować zgubne skutki używania eteru. Przedewszystkiem *nauczycielstwo szkół powszechnych* po wsiach powiatu nowotarskiego zauważyło, iż straszną *trucizną eteru trują się nie tylko starsi, lecz dają eter pić także dzieciom*.

W toku ponownych dochodzeń przeprowadzonych znowuż przez straż graniczną, znaleziono *drugie źródło sprzedaży nielegalnej eteru w drogerji Amalji i Wiktora Ossowskich w Nowym Targu*. Podczas przeprowadzonej rewizji znaleziono wprawdzie *niewiele eteru*, bo zaledwie 11½ kg.; zakwestjonowano jednakże szereg dowodów (listy przewozowe, wtórnikowe, odcinki czekowe i dowody kasowe), na podstawie których ustalono, *iż w ciągu niecałych 5-ciu lat Ossowscy sprowadzili i sprzedali 658 kg. eteru etylowego*, dostarczonego przez Franciszka Tanewskiego z Białej.

Sprawa oparła się o sąd, a onegdaj wobec poprzedniego wyroku skazującego, odbyła się *ponowna rozprawa* przeciwko Ossowskim w sądzie apelacyjnym w Krakowie. W wyniku tej rozprawy prócz grzywny i ponoszenia kosztów procesu skazano *Wiktora Ossowskiego na 7 miesięcy bezwzględnego więzienia, a Amalję Ossowską na 2 miesiące aresztu*, orzekając oskarżonej *warunkowo* zawieszenie kary na przeciąg lat 3.

(Il. Kurj. Codź. 1.III. 1936).

AKADEMJA TRZEŹWOŚCI W WARSZAWIE
(9.II. 1936 r.).

Podczas „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“, odbywającego się w całem państwie pod protektoratem J. Em. Kardynała Prymasa Hlonda, zarząd Główny Tow. „Trzeźwość“ urządził, jak i w latach poprzednich, uroczystą akademję trzeźwości w wielkiej sali Tow. Higjenicznego, użyczonej w tym celu bezpłatnie przez Zarząd Główny Tow. Higjenicznego.

Publiczność przybyła niezmiernie licznie, szczelnie wypełniając salę. Akademja rozpoczęła się odegraniem przez orkiestrę mokotowskiego Koła „Trzeźwości“ hymnu



Akademja Trzeźwości w Warszawie (9.II. 36 r.).

abstynentów polskich. Akademję otworzył p. red. Jan Szymański, proponując na przewodniczącego Akademji prokuratora S. N. p. Stanisława Czerwińskiego oraz na członków prezydjum ks. prałata Balula, dr. Jasielewicza, prof. M. Michałowicza, dr. K. Mitkiewicza, sen. Iżyckiego, naczelnika dr. H. Palestra, dr. St. Stypułkowskiego, p. Z. Olszewską, ks. rektora Padacza, prof. Orzęckiego, dyrektora Tazbira i mec. Szczerbińskiego.

Pierwszy wygłosił przemówienie sen. prof. Mieczysław Michałowicz na temat: „Niema czasu do stracenia" (podamy je w całości w następnym numerze naszego pisma), następnie prof. Wolnej Wszechnicy mec. Michał Orzęcki mówił o „Alkoholu — wrogu ukrytym", p. Zofja Olszewska wygłosiła dwa monologi (jeden z nich podajemy wyżej) i wreszcie p. mec. Jan Stanisław Szczerbiński wygłosił odczyt p. t. „Alkohol, krew i krata", podkreślając tragiczny związek pomiędzy alkoholem a przestępczością. Publiczność z wielką uwagą wysłuchała wszystkich przemówień, darząc prelegentów długo niemilknącemi oklaskami. W drugiej części Akademji nastąpiły popisy dzieci ze świetlicy Tow. „Trzeźwość" na Annopolu, oraz występy świetliczan Tow. „Trzeźwość" na Starem Mieście. Dzieci odtańczyły taniec rusałek, deklamowały wiersze okolicznościowe (Krysia Zawadzka i Basia Dorantówna), śpiewała Jadzia Idzikowska, poczem nastąpiła inscenizacja i „taniec marynarzy". Świetliczanie ze świetlicy Tow. „Trzeźwość" na Starem Mieście dali recytację chóralną utworu p. Kłosowskiego, p. Lipiński deklamował swój wiersz „O małym Janku" (podajemy go w „Trzeźwości"), p. Tykwińska deklamowała wiersz p. Herwichowej. Ludowe piosenki odśpiewali p. Sztern i Winosławski. P. Woźniakówna deklamowała wiersz „Świetliczanin" p. Krzepkowskiej, poczem p. Niedzielska i p. Tykwińska odegrały inscenizację „Chłop i djabeł". Orkiestra świetlicy pod kierownictwem p. Łucyka odegrała kilka utworów, p. Jakóbowski deklamował kilka wierszy. Akademję zakończyła orkiestra mokotowskiego Koła „Trzeźwości" odegraniem kilku utworów.

Występy dzieci i młodzieży ze świetlic Tow. „Trzeźwość" spotkały się z bardzo gorącem i serdecznem przyjęciem ze strony publiczności.

Na wniosek Prezydjum Akademji w imieniu zebranych wysłane zostały telegramy hołdownicze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej oraz do J. Em. Kardynała Prymasa jako protektora „Tygodnia Propagandy Trzeźwości".

Akademję zakończył krótkiem przemówieniem p. red. Szymański, wzywając zebranych do współdziałania w walce z alkoholizmem jako ogromną klęską społeczną i państwową.

Akademja pozostawiła jaknajlepsze wrażenie.

KURS ALKOHOLOGJI W KRAKOWIE.

W Krakowie zorganizowało Tow. „Trzeźwość" z pomocą Departamentu Służby Zdrowia M. O. S. 11-dniowy Kurs Alkohologji dla inteligencji. Największa sala Kopernika w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego zapełniła się słuchaczami o jaknajlepszych kwalifikacjach na przyszłych działaczy w walce z alkoholizmem. Wykładów słuchano z nadzwyczajną uwagą, a z rozmów na przerwach sądzić można było o ogromnem zainteresowaniu się zagadnieniem i wielkiem zadowoleniu, że bez potrzeby wyjazdu do stolicy, co dla wielu osób stanowi dziś trudność nie do przezwyciężenia, umożliwiono inteligencji krakowskiej skorzystanie z Kursu na tak dużą skalę. Na Kurs bowiem złożyło się 35 godzin wykładowych i 23 prelegentów pierwszorzędnych. Oprócz sił miejscowych z Uniwersytetu Jagiellońskiego, organizując Kurs, prezes Kalinowski, zaprosił jeszcze najlepszych specjalistów zpoza Krakowa. Nacisk położono tym razem na psychiczną stronę zagadnienia, toteż oprócz siedmiu psychja-



Kurs Alkohologji w Krakowie (Sala Kopernika Uniwersytetu Jagiellońskiego).

strów i neurologów jeszcze większość innych prelegentów omawiała wpływ alkoholizmu w dziedzinie głównie duchowej. Przemawiali dyrektorzy znanych w kraju zakładów leczniczych dla alkoholików i narkomanów, oraz zakładów psychjatrycznych w Tworkach (dr. Łuniewski), w Kobierzynie (dr. Stryjeński) w Świacku (dr. Zajączkowski), w Gościejewie (dr. Hruzewicz), w Batowicach (prof. Uniw. Jag. dr Zieliński), w Klinice Psychjatrycznej Uniw. Jag. w Krakowie (prof. dr. Pieńkowski i dr. Chłopicki). Tematem prelekcji prof. Pieńkowskiego było życie afektywno - popędowe jako dźwignia w walce z alkoholizmem. Kwestją dziedziczności zajmowali się prof. Uniw. Poznańskiego dr. Wodziczko, docent Uniw. Jag. dr. Skowron (asystent prof. Godlewskiego), dr. Chłopicki i dr. Hruzewicz. Rodzina stanowiła przedmiot wykładów prof. Uniw. Poznańskiego dra Gantkowskiego, dra Wodziczki, dzieckiem w szkole i poza nią zajmowali się referenci Min. Opieki Społ. Woytowicz-Grabińska i Szymański, problem etyczno-kulturalny omawiały wykłady prof. Uniw. Jag. ks. Wichra, dra Borkowskiego z Warszawy, oraz pp. Kalinowskiego i Skiby ze Lwowa, o charakterze i wychowaniu mówili b. kurator Przyjemski i dr. Chłopicki, na temat przestępczości sędzia dr. Czuchajewski i red. Szymański, stronę fizjologiczną omawiali dyr. Szulc z Warszawy i prof. Uniw. Jag. drowie Kaulbersz i Rogalski, higjenę psychiczną dr. Chłopicki, kwestje gospodarcze poruszały wykłady M. Skiby, sprawy walki z alkoholizmem, jej systemów i ustaw wyczerpał red. Szymański, o związku z gruźlicą wykładał dr. Biernacki, o napoju bezalkoholowym w postaci owocu płynnego informował red. Tomaszewski z Poznania. W ten sposób kilkaset osób z elity społecznej Krakowa zaznajomiło się gruntownie z zagadnieniem alkoholizmu i wiadomości te spożytkuje w pracy społecznej wśród warstw jak najszerszych ludności.

Organizatorem i niestrudzonym kierownikiem Kursu był p. Kazimierz Kalinowski Prezes Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość", któremu też w dniu zakończenia Kursu 31 marca r. b. wdzięczni słuchacze zgotowali zasłużoną, a serdeczną owację. W uroczystości zakończenia Kursu wzięli udział przedstawiciel Min. Opieki Społecznej p. red. Jan Szymański i Naczelnik Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego p. Dr. Salak. — Dn. 22 kwietnia odbyło się zebranie kursantów, przybyło 160 osób — przeprowadzono dyskusję nad metodami realizacji zagadnień walki z alkoholizmem. Dyskusji nie wyczerpano — w najbliższym czasie ma się odbyć 2-gie takie zebranie. Świadczy to wymownie o świetnym wyniku Kursu.

KURS ALKOHOLOGJI W TOW. „TRZEŹWOŚĆ".

W końcu lutego i na początku marca urządziło Tow. „Trzeźwość" kurs alkohologji przeznaczony dla osób, pragnących poświęcić się pracy przeciwalkoholowej w charakterze działaczy społecznych. Wykłady prowadził p. red. Szymański po dwie godziny dziennie — razem 18 wykładów. Kurs zakończony został przez seminarjum dyskusyjne (dwa wieczory po 2 godziny). Słuchaczy było około 50 osób, przeważnie młodzież należąca do Świetlicy Tow. „Trzeźwość".

Po zakończeniu Kursu przemawiał słuchacz Kursu p. Ostoja Ostaszewski.

„W czasie trwania obecnego Kursu zwróciła moją uwagę jednodniówka „Trzeźwość" wydana jeszcze w 1928 roku, w której słusznie na naczelnem miejscu umieszczona została odezwa ś. p. Ks. Biskupa Władysława Bandurskiego, przezwanego ze względu na wygłaszane przez siebie piękne nauki — złotoustym kaznodzieją. Z tej odezwy p. t. „Ocućcie się pijacy" pozwolę sobie parę zdań przytoczyć:

„Pijaństwo, to największa klęska ludzkości, narodów i państw, to jedna z przyczyn nędzy i ubóstwa powszechnego, co wciąż wzrasta z niepohamowaną siłą.



Kurs Alkohologji w Tow. „Trzeźwość“ w Warszawie. (Luty—marzec 1936).

Chcecie zwalczyć biedę — to nie pijcie rozpalających trunków, które doprowadzają człowieka i całe rodziny do ostatecznej zguby i ruiny majątkowej, pozbawiają ludzi sił i zdrowia, a życie zatruwają jadem niezadowolenia i nienawiści społecznej.

„OCUCCIE SIĘ PIJACY".

Wołajmy wszyscy, bo czas najwyższy ratować polską rodzinę i całe społeczeństwo przed tą straszną zarazą, czas najwyższy ratować młodzież i dzieci, które się tą mocną zatruwają trucizną".

Jeżeli rozważymy te smutne, a jakże prawdziwe słowa, to dopiero zrozumiemy silne znaczenie zakończonego obecnie Kursu alkohologji, który przygotował nowy zastęp rycerzy do walki ze smokiem alkoholizmu.

To też pragnę w imieniu swojem, a mam głębokie przekonanie, że i w imieniu wszystkich obecnych wyrazić Szanownemu Zarządowi T-wa „Trzeźwość" szczerą wdzięczność za zorganizowanie powyższego Kursu.

W tej chwili jest dla mnie niepojęte, że tyle lat przeżyć mogłem, nie zdając sobie sprawy z istnienia tak palącego zagadnienia.

O ileż pod tym względem szczęśliwsza jest młodzież znajdująca się na sali, która od zarania swego życia, zapoznawszy się ze szkodliwością alkoholu, może propagować ideę całkowitej abstynencji alkoholowej i tym sposobem przyczynić się do wzmocnienia moralności oraz siły duchowej, fizycznej i ekonomicznej narodu polskiego.

Przesłuchanie Kursu zdjęło z naszych oczu różową zasłonę, która ukrywała prawdziwe oblicze alkoholu.

Za to otwarcie oczu nam wszystkim, na to palące zagadnienie, za pięknie opracowany przez p. Redaktora Szymańskiego cykl wykładów wygłoszonych nietylko z nadzwyczajną znajomością przedmiotu i erudycją, ale z gorącym zapałem, nie jesteśmy w możności niczem się odwdzięczyć.

Ażeby jednak wykazać nasz entuzjazm do pracy przyszłej i dobrą wolę, przyrzekamy Panu Redaktorowi:

1) Ściśle przestrzegać abstynencji alkoholowej nietylko osobiście, ale w gronie swej rodziny i kole swych znajomych;
2) Zaznajamiać wszystkich przy każdej okazji ze szkodliwością używania alkoholu w każdej postaci i w każdej ilości;
3) Zapisać się na członka Tow. „Trzeźwość" i zjednać chociaż kilku nowych członków rocznie.

Niech wdzięczność nasza dla Zarządu Tow. „Trzeźwość, a w szczególności dla Pana Red. Szymańskiego zostanie stwierdzona z naszej strony gorącym oklaskiem".

KURS ALKOHOLOGJI DLA NIEWIDOMYCH.

Z inicjatywy Zjednoczenia Pracowników Niewidomych, a przy poparciu finansowem Ministerjum Opieki Społecznej odbył się w Warszawie w listopadzie 1935 r. w lokalu Zjednoczenia Kurs Alkohologji. Na całość Kursu złożyło się 14 godz. wykładów i 2 godz. seminarjum dyskusyjnego. Wykładali pp.: dr. Mieczysław Dehnel, p. Wanda Woytowicz-Grabińska i red. Jan Szymański. Audytorjum złożone w przeważnej części z niewidomych, bardzo uważnie i z zainteresowaniem słuchało wykładów, sprawdzianem czego była obszerna i ożywiona dyskusja uczestników Kursu na dwugodzinnem seminarjum dyskusyjnem. Po ukończeniu Kursu w im. Zarządu Zjednoczenia i w im. Słuchaczy przemawiał p. Wiceprezes St. Brewiński, dziękując serdecznie Ministerjum O. S. i prelegentom za Kurs.



Z Kursu Alkohologji w Zjednoczeniu Niewidomych w Warszawie. Siedzą p. W. Woytowicz-Grabińska i red. J. Szymański. Stoją (od pr. str.) p. Dr. Dehnel i przy sztandarze Związku jego Wiceprezes p. St. Brewiński.

PRZEGLĄD PRASY

(Alkoholizm Inteligencji).

TRAGICZNE NIEPOROZUMIENIE.

„Mówi się: „Honor munduru", i niejedna tragedja rozegrała się już na tem tle. Nieraz oficer w lokalu publicznym — na trzeźwo lub po pijanemu — wyciągał rewolwer, strzelał i zabijał: „W obronie honoru munduru". Tak zdarzyło się w ostatnich dniach w Katowicach. Społeczeństwo patrzy przerażone i nie chce i nie może zrozumieć, co z tem ma wspólnego „honor munduru".

Nawoływano już nieraz, aby wojskowym poza służbą nie wolno było nosić munduru. *Zwłaszcza w dancingach i innych lokalach.* Gdyż spotkanie tam urżniętego oficera jest *najoczywistszem zaprzeczeniem pojęcia „honoru munduru"*. Burdy w tym stanie wyprawiane — czyż munduru nie kalają? I czy tego munduru nie kala krew, przelana po pijanemu?

Znamy wyższych wojskowych nieposzlakowanych, mających istotnie wysoką wrażliwość na honor munduru. Ci ludzie *nigdy* munduru nie noszą tam, gdzie nastrój pijacki wywołać może skutki najbardziej opłakane.

Czy nie istnieje odpowiedni zakaz wyższych władz wojskowych? Oficer, strzelający na dancingu do spokojnego obywatela, który także przyszedł się beztrosko zabawić — to morderca, którego w oczach społeczeństwa nie zrehabilituje żaden najswoiściej pojęty „honor munduru".

Tyle się już o tem pisało — napróżno".

(„Kurjer Polski" 12.I. 1936 r.).

SKANDAL PIJACKI W TEATRZE NARODOWYM „NIEDYSPONOWANY" AKTOR NIE WYSZEDŁ NA SCENĘ.

„Teatry T. K. K. T.*) są od jakiegoś czasu widownią wypadków, niebywałych w życiu teatralnem. Jeszcze nie przebrzmiały echa skandalu, jakim była przed kilku miesiącami konieczność przerwania w połowie przedstawienia premjery prasowej „Wieczoru Trzech Króli" w Teatrze Polskim spowodu upicia się do nieprzytomności jednego z aktorów, a już jest do zanotowania drugi, taki sam skandal w Teatrze Narodowym.

Od kilku tygodni grana jest w tym teatrze z dużem powodzeniem komedja Adama Grzymały-Siedleckiego pt.: „Spadkobierca", w której Mieczysława Ćwiklińska święci 30-lecie swej pracy aktorskiej, a główne role grają: Węgrzyn, Zelwerowicz, Żeliska i Hnydziński. Otóż przed kilku dniami aktor, grający jedną z ważniejszych ról w sztuce, przyszedł do teatru mocno „niedysponowany", w stanie całkowicie nieodpowiedzialnym.

W jednej z pierwszych scen pierwszego aktu występuje postać, odtwarzana przez owego „niedysponowanego" aktora. Znajdujący się na scenie artyści napróżno oczekiwali jego wejścia... Ledwie wybrnięto z ciężkiej sytuacji i dociągnięto do końca aktu.

W antrakcie zabrano się do cucenia „niedysponowanego" kolegi wszystkimi znanymi środkami z amoniakiem na czele, ale na niewiele się to zdało. I w drugim akcie daremnie oczekiwano ukazania się aktora. Dopiero w przerwie przed ostatnim aktem ustalono jak pokierować djalogami w zmienionych z konieczności sytuacjach. Przedstawienie wobec zdezorjentowanej nieco publiczności odegrano do końca bez udziału jednej z głównych postaci komedji...

Powtarzające się raz po raz skandale tego rodzaju kompromitują aktorstwo polskie w sposób niebywały. Byłby naprawdę wielki czas, aby organizacja aktorska zajęła się tą sprawą i wdrożyła jaknajenergiczniejsze środki. Pijaństwo bowiem wśród aktorów scen stołecznych przybrało rozmiary, zagrażające co wieczór przedstawieniom".

(„Wieczór Warszawski").

W związku z powyższą wiadomością pozostaje niewątpliwie notatka, umieszczona w numerze z dn. 4 maja „Expressu Porannego":

Nieustający „tydzień trzeźwości" w teatrach. Rada Naczelna Z. A. S. P. wydała okólnik, obwieszczający, że kto z aktorów pojawi się w stanie nietrzeźwym do pracy

---

*) Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej.

w teatrze — będzie za pierwszym razem obniżony w kategorji członkowskiej, a przy następnym razie skreślony z listy członków Z. A. S. P. Pozatem niektórzy aktorzy otrzymali osobiście upominające ich listy — podpisane przez prezesa Z. A. S. P. Józefa Śliwickiego.

P. A. L. I ALKOHOL. W listopadzie zeszłego roku odbyło się uroczyste posiedzenie Polskiej Akademji Literatury. Mowę o „Powołaniu Pisarza“ wygłosił sekretarz Akademji, P. Juljusz Kaden-Bandrowski. Jedno z pism stołecznych, krytykując tę mowę nader nieprzychylnie, napisało: „O biedna mowo polska, o przezacna Akademjo Literatury! Nic dziwnego, że po takiej mowie uczestnicy tegorocznej sesji uroczystej hurmem rzucili się na wyroby monopolu spirytusowego“.

Oczy przecierać ze zdumienia! Akademja, Akademja L i t e r a t u r y i wódka — śliczna symbioza, niema co mówić... to już są wawrzyny zgoła oryginalne, ale *nie* literackie, jak je nazwać? Zgadnijcie sami, Drodzy Czytelnicy!

UCZCZENIE P. DYREKTORA R. HERCOD‘A.

Rok 1936 rozpoczął się wielką uroczystością jubileuszową na cześć czcigodnego i niezmiernie zasłużonego kierownika i orędownika międzynarodowego ruchu przeciwalkoholowego p. dr. Roberta Hercod‘a w Lozannie. Ze wszystkich stron świata, gdzie tylko hasło walki z alkoholizmem znalazło oddźwięk, nadeszły telegramy z życzeniami tudzież artykuły, dotyczące niestrudzonej działalności czcigodnego jubilata, pisane przez czołowych działaczy abstynenckich poszczególnych narodów. Są one świadectwem nieulęknionego bohaterstwa, którego dowody złożył Dr. Hercod rozpoczynając walkę z alkoholizmem w 1895 r. w kraju, o tak rozwiniętej produkcji wina jak Szwajcarja. Raz zapisawszy się do szeregu pionierów idei abstynenckiej, szybko zajął miejsce kierownicze nietylko u siebie w kraju, ale i na terenie międzynarodowym, wykazując niezwykłe walory duchowe, wyjątkowy takt i opanowanie. Potrafił on, dzięki wrodzonej sobie sztuce jednania ludzi dla swej umiłowanej sprawy, łączyć i spajać w jeden wspólny wysiłek najbardziej skrajne elementy — jednoczył rozbieżne kierunki poglądów w jedną wolę walki z klęską niszczącą ludzkość całą. Spokojny, tolerancyjny, wyrozumiały umiał jednoczyć i wzniecać entuzjazm do walki, w imię ratowania wszystkich przed zagładą. Pragnie widzieć każdego szarego człowieka, uświadomionego o zgubie czyhającej nań w kieliszku, w szeregach zorganizowanej armji abstynenckiej. Gruntowna znajomość kilkunastu języków daje mu możność zapoznania się z kulturą poszczególnych narodów, z literaturą ich i historją, a te rozległe studja czynią zeń „obywatela świata całego“ pilnie zasłuchanego w niedole i cierpienia, brzmiące jedną pokrewną melodją, zrodzoną w oparach alkoholu. Wróg wspólny wymaga wspólnej obrony, wspólnej zorganizowanej walki. Dr. Robert Hercod jest wodzem zrzeszonego międzynarodowego ruchu przeciwalkoholowego, a sześćdziesięcioletnia rocznica urodzin jest przeglądem Jego wielkich zasług, oraz punktem wyjścia dalszej owocnej pracy. Najwybitniejsi przedstawiciele ruchu przeciwalkoholowego nadesłali do redakcji L' „Abstinence“ obszerne artykuły o działalności p. Hercoda‘a. A więc dr. Legrain, M. F. Riémain, Dr. P. Dauphin, Prof. Ed. Zunz, Prof. H. Gachot, Ruys de Beerenbrouck, Pr. Bregman, Dr. fil. T. Dahlgren, Dr. J. Scharfenberg, dr. A. Holitscher, Prof. dr. Amaldi, Dr. Neytschev, Dr. Courtenay C. Weeks, M. A. Slak.

Zarząd Gł. Tow. „Trzeźwość“ i redakcja naszego pisma wysłały do p. dyr. Hercod‘a telegramy z serdecznemi życzeniami dalszej owocnej pracy i najlepszych jej wyników.

KOMITET ORGANIZACYJNY MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU PRZECIWALKOHOLOWEGO W WARSZAWIE.

Dnia 7 marca 1936 r. odbyło się w Państwowej Szkole Higjeny posiedzenie plenarne Polskiego Komitetu Organizacyjnego XXI Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie z udziałem 50 delegatów Instytucyj i Organizacyj, oraz osób prywatnych — w zebraniu wzięli udział przedstawiciele Ministerstwa Opieki Społecznej, Ministerstwa Spraw Wojskowych i Zarządu Miasta Warszawy. Przewodniczył na zebraniu dr. Falkowski, dyrektor Szpitala św. Jana Bożego w Warszawie.

Po referacie p. red. J. Szymańskiego o mającym się odbyć w Warszawie w roku 1937 Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym, rozwinęła się obszerna dyskusja, w wyniku której postanowiono powołać do życia szereg sekcyj do pracy w specjalnych działach, a mianowicie: finansowo-gospodarczą, prasowo-propagandową, kolejową, zlotu młodzieży abstynenckiej, pań, zwiedzania Warszawy, wycieczek po Polsce, mieszkaniową, wystawy, filmów, specjalnych Zjazdów, oraz sekcję jadłodajni bezalkoholowych, propagandy mleka i napojów bezalkoholowych i Komisję naukową.

W końcu zebrania dokonano wyboru Prezydjum Komitetu w następującym składzie, pp.: Minister dr. W. Chodźko, prof. dr. sen. M. Michałowicz, doc. dr. G. Szulc, red. J. Szymański, dr. St. Stypułkowski, ks. T. Gałdyński, ks. St. Sprusiński, sen. Al. Iżycki, M. Sokalówna, prof. dr. M. Grzegorzewska, M. Moczydłowska-Niekraszowa, ks. prałat W. Balul, K. Kalinowski, prof. dr. St. Władyczko, doc. dr. Wł. Sterling, inż. Szadziewicz, ks. Rektor Padacz i red. M. Godlewski.

Dn. 13 marca 1936 r. odbyło się posiedzenie Prezydjum Komitetu w Państwowej Szkole Higjeny pod przewodnictwem prof. dr. Władyczki. Na zebraniu tem dokonano wyboru Władz Prezydjum; na przewodniczącego Komitetu wybrany został p. Minister dr. W. Chodźko, na wiceprzewodniczących: p. prof. dr. M. Michałowicz, p. doc. dr. G. Szulc i ks. prałat W. Balul, na generalnego sekretarza p. red. J. Szymański, na sekretarza p. M. Sokalówna, na skarbnika p. dr. St. Stypułkowski.

Następnie powołano Komisję naukową w następującym składzie: przewodniczący p. doc. dr. G. Szulc, członkowie: pp. prof. dr. M. Grzegorzewska, doc. dr. Wł. Sterling, dr. St. Stypułkowski i prof. dr. St. Władyczko.

NIEUZASADNIONY ATAK.

W senacie podczas obrad nad budżetem Ministerjum Opieki Społecznej p. sen. Z. Głowacki poruszył sprawę Państwowego Zakładu Leczniczego dla nerwowo wyczerpanych kobiet w Gościejewie, zarzucając, że gospodarka w tym Zakładzie jest rozrzutna, gdyż w chwili objęcia administracji przez Ministerjum Opieki Społecznej dn. 1.IV. 35 r. było pacjentek 2 na 11 osób personelu, że obecnie chorych jest tylko 10, że pomimo tak małej liczby pacjentek przyjęto lekarza asystenta (zakładem kieruje dyrektor lekarz) i w dodatku żonę Dyrektora. W wyniku tych wywodów p. sen. Głowacki uważał za stosowne tak kosztowny Zakład zlikwidować, a pacjentki przenieść do zakładów psychjatrycznych.

Według posiadanych przez nas informacyj, powyższe twierdzenia p. senatora Głowackiego nie odpowiadają rzeczywistości. Mianowicie w chwili przejęcia Zakładu przez M. O. S. chorych było 12 osób, dn. zaś 12 marca liczba chorych wynosiła 27 (Zakład przeznaczony na 30 chorych) — personel Zakładu składa się z 12 osób, w tem dwuch lekarzy, 1 urzędnik i 9 osób personelu niższego, a mianowicie 1 pielęgniarka, 2 korytarzowe, 1 praczka, 1 kucharka, 1 pomocnica kucharki (6 osób), reszta: ogrod-

nik, fornal, parobek pracują na fermie Zakładu, 23 morgi pola, sadu owocowego, warzywnika, szparagarni i oranżerji. Inwentarz: 3 konie, 3 krowy. Pozatem monter, obsługuje własną elektrownię Zakładu. Lekarka konsultantka została zaangażowana 1 sierpnia 35 r., gdy liczba chorych od kilku miesięcy wynosiła 24 osób i lekarz-dyrektor nie był w stanie ze względu na charakter chorych (niejednokrotnie stan ciężki), leczonych w Zakładzie, należycie wykonywać swe obowiązki. Leczenie prowadzone w Zakładzie wymaga bezwzględnie stałego dyżurowania personelu lekarskiego w dzień i w nocy, co wykonywują naprzemian Dyrektor i lekarka konsultantka; zaangażowanie żony dyrektora dało znaczne zaoszczędzenie na poborach lekarki asystentki, które po potrąceniach wynoszą około 130 zł. miesięcznie.

Dopłata Skarbu Państwa do prowadzenia Zkładu w Gościejewie wynosiła w okresie budżetowym 1935/36 — 31.000 zł., zużyta została prawie całkowicie na inwestycje (studnia artezyjska, wodna pompa elektryczna, przebudowa strychu zakładu na pokoje mieszkalne, co powiększy Zakład o 10 łóżek dla chorych i t. d.).

Należy podkreślić, że schorzenia leczone w Gościejewie absolutnie nie nadają się do leczenia w zwykłych zakładach psychjatrycznych. W czasie, gdy podnosi się dotkliwe braki w dziedzinie lecznictwa Zakładowego w Polsce, stworzenie przez Państwo dwu nowocześnie urządzonych specjalnych Zakładów dla alkoholików i narkomanów (Świack dla mężczyzn, Gościejewo dla kobiet), należy uważać za zjawisko dodatnie w zakresie lecznictwa społecznego i zapobiegawczego. Liczba chorych, mogących korzystać z kuracji w obu naszych Zakładach, jest w stosunku do rzeczywistych potrzeb minimalna — dowodzi tego pośrednio istnienie w Niemczech w obecnym czasie przeszło 60 tego typu lecznic specjalnych.

Z ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Z zadowoleniem i ulgą przyjął ogół członków A. L. K. — wieść, że wreszcie po prawie dwuletnich obustronnych staraniach, unormowano sprawę stosunku Abstynenckiej Ligi Kolejowców do Rodziny Kolejowej.

Dnia 20.XII. 1935 r. podpisany został — na mocy uchwały Zarządu A. L. K. — protokół z posiedzenia delegatów Rodziny Kolejowej i Abstynenckiej Ligi Kolejowców, odbytego dnia 24 września 1935 r. w Warszawie, pod przewodnictwem p. Dyr. Gabinetu Ministra Komunikacji Gustawa Rożałowskiego — ustalający wzajemną współpracę obu Organizacyj.

Abstynencka Liga Kolejowców, pozostając nadal jako odrębne stowarzyszenie — ma zapewnione korzystanie z aparatu organizacyjnego Rodziny Kolejowej — i rozwijanie za jego pośrednictwem propagandy antyalkoholowej.

Drugie dziesięciolecie działalności A. L. K. otwiera zatem przed nami nowe widnokręgi rozwoju, nowe drogi i nowe niezmiernie wdzięczne pole pracy.

Od nas zależy tylko, należyte wykorzystanie nowego terenu pracy, jakim jest Rodzina Kolejowa — dziś najpotężniejsza organizacja na P. K. P., licząca ponad 200.000 członków — i obejmująca ogół kolejarzy i ich rodzin.

Musimy sobie uświadomić, że z Rodziną Kolejową zawsze łączyć nas będzie wspólny i zasadniczy cel — do którego tylko różnemi dążymy drogami, a mianowicie, troska o zdrowie polskiego kolejarza i jego rodziny.

A zadanie to spełnić można jedynie dobrze pojętą i sharmonizowaną współpracą, nawiązaną we wszystkich komórkach obu Organizacyj.

Zarząd Główny Rodziny Kolejowej pierwszy podążył w tym kierunku, wydając do wszystkich Zarządów Okręgowych R. K. odpowiedni okólnik — oraz komunikat (umieszczony w jednym z miesięczników K. P. W.).

„RODZINA KOLEJOWA"
ZARZĄD GŁÓWNY
w Warszawie.

16 stycznia 1936 r.

Okólnik Nr. 33.

Do
Zarządu Okręgowego Rodziny Kolejowej

Na terenie kolejowym działa od r. 1926 Stowarzyszenie „Abstynencka Liga Kolejowców", której zasadniczem zadaniem statutowem jest: zwalczanie wśród kolejarzy alkoholizmu w każdej formie i współpraca ze wszystkiemi zrzeszeniami, zwalczającemi alkoholizm tak w kraju, jak i zagranicą.



Fragment frontu domu Koła A. L. K. w 17-stą rocznicę odzyskania niepodległości.

Z uwagi na to, że zwalczanie alkoholizmu wśród kolejarzy i ich rodzin godzi się z akcją Rodziny Kolejowej celem ochrony zdrowia pracowników kolejowych i ma doniosłe znaczenie w dobie obecnej i dla przyszłych pokoleń, Zarząd Główny Rodziny Kolejowej prosi Zarządy Okręgowe i Zarządy Kół o bezzwłoczne nawiązanie kontaktu z władzami organizacyjnemi Abstynenckiej Ligi Kolejowców, (Zarządami Okręgów i Kół) i popieranie ich działalności, jak również o udzielanie pomocy w organizowaniu nowych Kół Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

Dla użytku Zarządu Okręgowego przesyła się odpis protokułu, spisanego w sprawie stosunku Abstynenckiej Ligi Kolejowców do Rodziny Kolejowej w dniu 24.IX. 1935 r.

Za Zarząd Główny

Sekretarz Generalny: *Klechniowski.* Prezes Zarządu Głównego: *Kominkowski.*

RODZINA KOLEJOWA WSPÓŁPRACUJE Z ABSTYNENCKĄ LIGĄ KOLEJOWCÓW

Na terenie Polskich Kolei Państw. działa od r. 1926 Stowarzyszenie „Abstynencka Liga Kolejowców", której zasadniczem zadaniem statutowem jest: zwalczanie alkoholizmu wśród pracowników kolejowych i współpraca z krajowemi i zagranicznemi zrzeszeniami mającemi analogiczne zadania.

Ponieważ zgubny wpływ alkoholu na zdrowie pracowników kolejowych i ich rodzin nie może być obojętny dla Rodziny Kolejowej, której jednem z głównych zadań jest troska o zdrowie pracowników kolejowych i ich rodzin, jak również o poprawę ich bytu materjalnego i o wychowanie zdrowego młodego pokolenia kolejarzy — Zarząd Główny Rodziny Kolejowej ustalił z Zarządem Głównym Abstynenckiej Ligi Kolejowców zasady współpracy obu stowarzyszeń na polu walki z alkoholizmem i postanowił działalność tego stowarzyszenia usilnie popierać.



Wycieczka Koła Lwów A. L. K. — na tle szybów węglowych, (Katowice, 26.IX. 1935).

Zarząd Główny Rodziny Kolejowej pragnie, ażeby w roku 1937, gdy odbędzie się w Polsce wielki międzynarodowy kongres kolejarzy abstynentów, kolejarz polski mógł wykazać całemu cywilizowanemu światu, że nie jest mu obcą również ta dziedzina pracy społecznej i, że docenia należycie niebezpieczeństwo, jakie grozi jemu i jego najbliższym ze strony alkoholizmu.

Teraz głos ma Abstynencka Liga Kolejowców — i od swego założenia największe pole do pracy.

WAGON WYSTAWA A. L. K.

Po objeździe kresów wschodnich w ramach Dyrekcji Okr. Kolei Państw. w Wilnie — wagon wystawa skierowany został na teren Dyrekcji Okr. Kolei Państ. w Warszawie - Wileńskiej do dnia 25.X. 1935 r. Następnie objechał 42 większe stacje Dyrekcji warszawskiej i po powrocie do Warszawy — skierowany został na teren Warsztatów Głównych — Warszawa - Praga, gdzie pozostawał do dnia 21.XII. 1935 r.

Zarząd Koła Nr. 2 A. L. K. w Warszawie zorganizował w wagonie—wystawie kilkadziesiąt odczytów i prelekcyj poświęconych walce z alkoholizmem, które podczas

postoju wagonu w Warszawie wygłaszali pp. Dr. Dehnel i student med. Sawicki, zaś poza obrębem Warszawy student uniw. Grudzień.

Koło warszawskie wydało i rozpowszechniło podczas zwiedzania wagonu 20.800 broszur, ulotek i odezw wśród pracowników kolejowych, oraz 10.250 broszur i ulotek o treści antyalkoholowej wśród publiczności zwiedzającej wagon. Zainteresowanie wagonem—wystawą było bardzo duże, czego dowodem jest wielka liczba zwiedzających: na stacji Warszawa-Wileńska zwiedziło wagon około 14.000 osób, na 42 stacjach poza Warszawą około 16.000 osób i w Warsztatach Warszawa - Praga około 1200 osób, czyli razem podczas tego objazdu, zwiedziło wagon wystawę 31.200 osób, w tem połowa — to kolejarze i ich rodziny.



II-ga pielgrzymka Koła Lwów A. L. K. — na Sowińcu w dniu 24 września 1935 r.

W dniu 22.X. 1935 r. zwiedził wagon - wystawę Dyrektor Departamentu Służby Zdrowia p. Dr. Jan Adamski, interesując się stanem wagonu i postępami jego pracy przeciwalkoholowej.

W miesiącu styczniu 1936 r. wagon—wystawa oddany został do użytku Polskiego Związku Przeciwgruźliczego, objeżdżając od dnia 3.I. — do dnia 31 stycznia 1936 r. większe stacje Dyr. Okr.Kol. Państw. w Poznaniu.

Kolejarze i ludność Wielkopolski rekrutująca się ze wszystkich sfer, z dużem zainteresowaniem zwiedzała wagon—wystawę — i to już od wczesnego rana do późnych godzin wieczornych, tak, że obsługa wagonu pracować musiała bez wytchnienia przez kilkanaście godzin na dobę. Dobrze się tu zasłużył (nie mniej zresztą jak w objazdach wagonu w miesiącach poprzednich) — gospodarz i zarazem konwojent wagonu - wystawy p. Ludwik Błahut — poświęcając wiele nocy na pracę dla uporządkowania i doprowadzenia do pierwotnego stanu wagonu - wystawy.

Według sprawozdania wagon zwiedziło w tym czasie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w tem dużo młodzieży szkolnej.



Zarząd Koła Lublin A. L. K. na tle półek z książkami, w nowym lokalu Koła przy ul. I-go Maja Nr. 47.

Przez cały miesiąc luty b. r. wagon - wystawa objeżdżał Dyr. Okr. Kolei Państ. w Katowicach, rozpoczynając objazd od Katowic, gdzie zatrzymał się na czas trwania „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“, a następnie skierowany zostanie do Piotrowic, Rybnika, Mysłowic, Siemianowic, Chorzowa i Tarnowskich Gór — i dalej na teren D. O. K. P. w Krakowie do Dziedzic, a stąd do Lwowa dla dalszego wyposażenia. Objazd wagonu -wystawy na Śląsku, zorganizował Zarząd Okręgu A. L. K. w Katowicach. W najbliższych miesiącach wagon—wystawa będzie objeżdżał kresy wschodnie w ramach D. O. K. P. w Radomiu, Lwowie i Wilnie.

KURS ALKOHOLOGJI.

X Kursu Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny, w dniach od 2—7 grudnia 1935 r. wysłuchało 25 członków A. L. K., co stanowi prawie 9% ogólnej liczby zapisanych słuchaczy (282 osoby). Najliczniej delegowały na kurs swych członków Okręgi: katowicki, lwowski i radomski. Państwowa Szkoła Higjeny przyznała słuchaczom A. L. K. dziesięć stypendjów. Piętnastu pozostałych słuchaczy korzystało z pomocy Zarządu Głównego A. L. K. W imieniu delegatów A. L. K. — uczestnik kursu p. Inż. Juljan Kossowski, złożył serdeczne podziękowanie Organizatorom kursu, za wykłady ujmujące wszechstronnie zagadnienie walki z alkoholizmem, i zapewnił Ich, że uzyskane wiadomości zużytkują dla dobra ogólnego.

POSIEDZENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO A. L. K.

W niedzielę dnia 19 stycznia b. r. odbyło się we Lwowie — w świetlicy Koła Lwów w Lewandówce, posiedzenie Zarządu Głównego Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

W posiedzeniu wzięło udział 13 członków Zarządu Gł. i Komisji Rewizyjnej. Po raz pierwszy w posiedzeniu Zarządu Gł. wziął udział delegat Zarządu Głównego Rodziny Kolejowej p. Mgr. Wydro Władysław, serdecznie witany przez Zarząd Gł. A. L. K. Porządek dzienny obrad obejmował m. in. sprawozdanie Prezydjum Z. Gł. z załatwienia sprawy stosunku A. L. K. do Rodziny Kolejowej, zatwierdzenie preliminarza budżetowego Zarządu Gł. A. L. K. na rok 1936, organizację poradni przeciwalkoholowych przy niektórych Kołach A. L. K., oraz kursów wyrobu nektarów sposobem domowym — i dziesięciolecia A. L. K.

Po zakończeniu obrad prezes Dr. Juljusz Notz zaprosił delegata Zarządu Gł. Rodziny Kolejowej p. Mgr. Wydrę i członków Zarządu Gł. A. L. K. do wzięcia udziału w pierwszym „Opłatku Abstynenckim“ urządzonym w świetlicy Koła Lwów.

TYDZIEŃ PROPAGANDY TRZEŹWOŚCI.

Pomimo trudniejszych warunków pracy, w tegorocznym „Tygodniu Propagandy Trzeźwości“ Okręgi i Koła A. L. K. wykazały znacznie więcej żywotności aniżeli w latach poprzednich.

Na apel Zarządu Głównego we wszystkich Okręgach i Kołach urządzono różne imprezy przeciwalkoholowe, a więc odczyty, przedstawienia, wieczornice abstynenckie, zabawy bezalkoholowe i t. p. — zapraszając w wielu wypadkach prelegentów z odległych miast.

Dla niektórych Okręgów i Kół „Tydzień Propagandy Trzeźwości“ był okazją dla zapoczątkowania cyklu odczytów lub nawet kursów alkohologji, organizowanych przy pomocy pokrewnych Towarzystw.

Z okazji „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“ Zarząd Główny A. L. K. wydał odezwę — napisaną przez p. Inż. Juljana Kossowskiego.



Front i wejście do lokalu i bibljoteki Koła Lublin A. L. K. przy ul. I-go Maja Nr. 47.

Z ŻYCIA KÓŁ A. L. K.

Koło Kowel — urządziło dnia 28 stycznia b. r. w teatrze kolejowym w Kowlu „Gwiazdkę“ dla najbiedniejszej dziatwy. Obdarowano kilkadziesiąt bardziej biednych dzieci podarkami i słodyczami. Gwiazdkę urozmaicała zabawa i śpiewy uradowanej dziatwy, jako miła zapłata dla organizatorów „Gwiazdki“, p. Kossowskiej i p. Dr. Bolesława Turowskiego prezesa Koła. Dnia 22 lutego b. r. odegrane zostały staraniem Koła w Kowlu w teatrze kolejowym „Świt“, sztuka p. t. „Dawaj Wódki“ Eli Oleskiej i komedja Aleksandra Hr. Fredry p. t. „Kalosze“.

Koło Lwów — odbyło dnia 25 września 1935 r. drugą pielgrzymkę na Wawel, do grobu Odnowiciela Polski Marszałka Józefa Piłsudskiego. Po złożeniu hołdu drogim prochom Wodza Narodu, pielgrzymka wzięła udział w sypaniu kopca na Sowińcu. Dn. 26 września 1935 r. wycieczka Koła zwiedzała Kraków. W dniach następnych udała się do Wieliczki, a później korzystając z gościnności kolegów Koła katowickiego, na dwudniowy pobyt na Śląsk. Udział w pielgrzymce wzięło 36 a w wycieczce 27 członkiń i członków Koła. W wycieczce przewodniczył wzorowo wiceprezes Koła p. Tadeusz Chwalbiński.

W wigilję 17 rocznicy odzyskania niepodległości urządziło Koło uroczyste zebranie członków Koła — przy współudziale członków prezydjum Zarządu Głównego A. L. K. z prezesem Dr. J. Notzem na czele.

Prezes Koła p. Adam Rauch po wygłoszeniu przemówienia — wezwał obecnych do złożenia hołdu pamięci Wielkiego Marszałka — i tych wszystkich, którzy krwią i bohaterską śmiercią wywalczyli nam wolność i niepodległość Ojczyzny. Obecni przez powstanie i chwilowe milczenie uczcili Ich świętą pamięć. Po zebraniu i w dniu następnym ogół członków Koła uczestniczył w uroczystych obchodach urządzonych w Lewandówce i we Lwowie.

Domy Koła ozdobione były flagami o barwach narodowych, a nad domami błyszczał orzeł biały — przez dwa dni pięknie obustronnie iluminowany. W niedzielę dnia 19 stycznia b. r. Koło Lwów, korzystając z okazji zwołania we Lwowie posiedzenia Zarządu Głównego A. L. K. urządziło po raz pierwszy w czasie istnienia A. L. K. „Opłatek Abstynencki“. Uroczystość „Opłatka“ odbyła się w sali własnej Koła w Lewandówce, i wobec szczupłości pomieszczenia zgromadziła tylko 70 członków obu Kół lwowskich i delegatów przybyłych z całej Polski. W charakterze miłych gości wzięli udział w „Abstynenckim Opłatku“: Ks. Dr. Jan Ciemniewski imieniem Polskiej Ligi Przeciwalkoholowej we Lwowie i p. Mgr. Władysław Wydro, jako przedstawiciel Zarządu Głównego Rodziny Kolejowej. Obecni na „Opłatku“ wysłuchali kilku miłych, z serca płynących przemówień: Dra. Juljusza Notza prezesa Zarządu Głównego A. L. K., Ks. Dr. Jana Ciemniewskiego, Mgr. Władysława Wydry i Inż. Juljana Kossowskiego, wszystkie pełne szczerej i serdecznej zachęty do dalszej wytrwałej pracy na niwie trzeźwości. Przez powstanie i chwilę skupionego milczenia uczczono pamięć Wodza Narodu Marszałka Józefa Piłsudskiego, oraz pamięć tych wszystkich, którzy z grona braci abstynenckiej odeszli na zawsze. Najmłodszy abstynent — dziesięcioletni Roman Matkowski koncertem skrzypcowym uprzyjemnił podniosłą uroczystość „Abstynenckiego Opłatka“.

W „Tygodniu Propagandy Trzeźwości“, zapoczątkowano w Kole cykl odczytów na tematy przeciwalkolowe. Wykłady odbywały się w świetlicy Koła w Lewandówce. Pierwszy wykład p. t. „Rodzina a Alkohol“ wygłosił p. Dyr. Bronisław Duchowicz, dalsze wygłosili p. p.: Mgr. Zofja Szczypulanka, Dr. Juljusz Notz. Dyr. Mikołaj Skiba i inni. W dyskusji po odczycie p. Dyr. Duchowicza, słuchacze prosili o urządzenie kur-



Opłatek w Kole Lwów A. L. K. w dniu 19 stycznia 1936 r,

su sporządzania bezalkoholowych win owocowych oraz nektarów, jako napojów zastępczych.

Wiele czasu poświęca Zarząd pracom przygotowawczym do obchodu dziesięciolecia Koła, a z nim całej Abstynenckiej Ligi Kolejowców, między innemi realizacji pierwszego sztandaru A. L. K. uzupełnieniu autografów w księdze pamiątkowej Koła.

Po dokonaniu remontu w domach i przystosowaniu ich do celów Koła, oraz urządzeniu świetlicy i powiększeniu bibljoteki, wzmogła się wydatnie praca w Kole.

Koło Lublin, z uwagi na wzmożoną frekwencję czytelników i niedogodności, utrudniające abonentom dostęp do bibljoteki i czytelni, przeniosło bibljotekę z budynku drużyn konduktorskich, (do którego dostęp był możliwy jedynie przez peron stacyjny), do nowowynajętego lokalu przy ul. 1-go Maja Nr. 47, składającego się z jednej sali z frontowem wejściem.

Godzi się nadmienić, że przedtem lokal ten zajmowała restauracja z wyszynkiem napojów alkoholowych. Dziś w miejscu szyldu knajpy, widnieje na błękitnem tle złoty napis „Abstynencka Liga Kolejowców Koło Lublin". W miejscu, gdzie do niedawna rozpierał się za szynkwasem szynkarz, gdzie niejeden występek, niejedna zbrodnia brała swój początek, gdzie spływały z rzeką łez biednych matek, żon i dzieci ciężko zapracowane przez ich synów, mężów i ojców pieniądze, dziś mieści się abstynencka bibljoteka, abstynencka czytelnia, i nie gwar i mowa pijacka, lecz cichy szept czytających (a tych liczy obecnie bibljoteka 341 osób), i głosy żądające zamiast wódki, nowych i coraz nowych książek, przerywają ciszę obszernej i schludnej sali. A Koło Lublin ciągle czyni starania, aby zaspokoić te żądania i dalej powiększać liczbę książek, jak też i liczbę czytelników.

W dniu 1 stycznia b. r. ilostan bibljoteki wynosił 3.902 tomów. W roku 1935 zakupiono 475 książek za 2.016.84 zł. Bibljoteka jest czynna codziennie od godz. 16 do 19, a w soboty do godz. 20-tej.

*

Zjazd Delegatów Okręgów i Kół Abstynenckiej Ligi Kolejowców, połączony z obchodem dziesięciolecia A. L. K. odbędzie się we Lwowie, w dniach 21 i 22 maja b. r.

Z okazji dziesięciolecia A. L. K., poza zwiedzaniem Lwowa i najbliższych jego okolic, Zarząd Główny organizuje kilka wycieczek krajoznawczych dookoła Polski. Pierwsza wyruszy ze Lwowa dnia 23 maja i uda się do Suśca (dom wypoczynkowy A. L. K. Koła Lublin), a stąd do Białowieży, Wilna, Warszawy i Gdyni (na dwudniowy pobyt nad polskiem morzem) i z powrotem przez Poznań i Kraków.

Druga wycieczka po zwiedzeniu domu wypoczynkowego w Suścu, uda się do zagłębia naftowego, (Drohobycz i Borysław), a następnie przez Sambor, — Zagórz do Krosna (zwiedzanie ruin zamku w Odrzykoniu), i dalej przez Zakopane (dwudniowy pobyt) do Katowic. W drodze powrotnej obie wycieczki zjadą się w Krakowie aby złożyć hołd Wskrzesicielowi Polski Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu i wziąć udział w sypaniu kopca na Sowińcu.

W miesiącu lipcu b. r. urządzi A. L. K. dalsze wycieczki: na Podole (do Zbaraża, Trembowli i Zaleszczyk) i dalej na Huculszczyznę (do Worochty, Tatarowa i innych), a w sierpniu b. r. do Częstochowy.

Organizowane wycieczki zagraniczne do Ziemi Świętej, a później do Hiszpanji, z wielu przyczyn nie mogły być zrealizowane. Poza podanemi wycieczkami, Zarząd Główny nie przewiduje w roku bieżącym jakichkolwiek innych wycieczek.

Najbliższy Zjazd i obchód pierwszego dziesięciolecia działalności winien skupić we Lwowie ogół Członków A. L. K. i Ich rodziny.

Zarząd Główny A. L. K. uprzejmie prosi Członków, chcących wziąć udział w obchodzie dziesięciolecia (oraz w jednej z pierwszych dwu wycieczek), aby na ten czas

zarezerwowali urlopy wypoczynkowe, i ułożyli tak Swe stosunki służbowe i rodzinne, aby Ich udziałowi w pierwszej wielkiego znaczenia imprezie A. L. K. nie mogło nic stanąć na przeszkodzie. Zgłoszenia prosimy kierować do sekretarjatu Zarządu Głównego A. L. K.

Za Zarząd Główny:

Zast. Gen. Sekretarza: *Ziemiański Stefan.* Wiceprezes: *Rauch Adam.*

K R O N I K A.

ZJAZD. Zjazd Delegatów Kół Towarzystwa „Trzeźwość“ odbędzie się w roku bieżącym w dniach 13 i 14 czerwca w Warszawie w siedzibie Towarzystwa, — ul. Oboźna 4, m. 28.

PŁOCK. Staraniem Koła „Trzeźwość“ Oddziału Pol. Tow. Higjenicznego odbył się odczyt p. Doc. Dra Gustawa Szulca, Dyrektora Państw. Zakładu Higjeny w Warszawie p. t.: „Zagadnienie alkoholizmu w świetle biologji“. Odczyt wywarł na słuchaczach duże wrażenie i wywołał długo niemilknące oklaski.

PRZEKŁAD. Artykuł *ks. Dr. Jana Ciemniewskiego* p. t. „Alkoholizm a charakter“, drukowany w „Trzeźwości“ został umieszczony w przekładzie w czasopiśmie „Novi Život“, organie Jugosłowiańskiego Związku Trzeźwości, ukazującym się w Zagrzebiu pod red. p. Dr. Vuk'a Vrhovac'a.

PRZEDRUK. „La Petite Lumière“, organ szwajcarskiej Ligi Kobiet Abstynentek, wychodzący w Lozannie, podaje tekst francuski artykułu p. Dr. Hercod'a, drukowanego w „Trzeźwości“ p. t. „Współczesne kierunki światowego ruchu przeciwalkoholowego“.

KOWEL. Kurs Alkohologji, urządzony staraniem miejscowego Koła Tow. „Trzeźwość“, pod kierownictwem p. Dr. St. Leszkiewicza odbył się niedawno z wielkiem powodzeniem przy bardzo licznym udziale słuchaczy. — Z powodu braku miejsca szczegółowe sprawozdanie odkładamy do najbliższego numeru.

LWÓW. Podczas niedawnych tragicznych wypadków niemałą rolę odegrał alkohol. Podczas krwawych zajść i grabieży, jak pisze „Express Poranny“: „Na bocznych ulicach dzielnicy Gródeckiej, wiodących szczególnie na plac Bema, spotykano mnóstwo pijanych. Byli to ci, którzy po zrabowaniu szynków nadużyli alkoholu. W browarach lwowskich zrabowano kilka tysięcy butelek piwa“.

RADOM. Kurs Alkohologji, urządzony z inicjatywy p. Dr. J. Vorbrodta i p. K. Kryśki w dniach 15—17 marca udał się znakomicie. Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze.

ECHA X-GO KURSU ALKOHOLOGJI w P. Szkole Higjeny. Na uroczystość zakończenia Kursu nadszedł z Wilna telegram: „Zarząd Wileńskiego Towarzystwa „Mens“ dla walki z alkoholizmem wita gorąco kierownictwo, wykładowców i słuchaczy Kursu, życząc, by każdy kursant był apostołem trzeźwości w Polsce“, Prezes Prof. Dr. Hryniewicz, Sekretarz Dr. Genzel. — Pełną poświęcenia i inicjatywy starościną Kursu była p. inż. *Marja Kuropatwińska* z Lublina, dzielnie dopomagał jej w pracy starosta p. *Dr. M. Gąssowski* z Choroszczy.

NOWA SIEDZIBA TOW. „TRZEŹWOŚĆ“. W końcu lutego b. r. Towarzystwo nasze przeniosło się z dotychczasowego lokalu w Rynku Starego Miasta do nowej, obszerniejszej siedziby przy ul. Oboźnej 4, m. 28. Dnia 10 marca dokonał poświęcenia lokalu ks. prałat *Wincenty Balul*, członek Zarządu Gł. Towarzystwa.

WAŻKIE SŁOWA. Podczas Ogólnopolskiego Zjazdu Związku Strzeleckiego delegacja Zjazdu udała się do p. Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, Generała Rydza-Śmigłego, który w odpowiedzi w przemówieniu swem zaznaczył m. in. „Chcę powiedzieć

jeszcze jedno, przypomnieć stare polskie przysłowie: „wedle stawu — grobla". Mówię to dlatego, iż wiem, że Związek Strzelecki, jako organizacja, ma duże ambicje i stawia sobie wielkie cele. I słusznie. Ale z chwilą, kiedy ma te ambicje, kiedy stawia sobie te wielkie cele, to musi odpowiednio do tych ambicyj wyzwolić w sobie siły moralne, musi dać odpowiednie napięcie i natężenie pracy, aby nie było dysproporcji między wielką ambicją i między tem, co daje życie w dniu codziennym".

Święta prawda! Jakże często zapomina się u nas o konieczności *wyzwalania z siebie sił moralnych* — przeciwnie, dzień w dzień jesteśmy świadkami wprost przeciwnego zjawiska: topienia sił moralnych w kieliszku. To też ginie ich na dnie kieliszka w Polsce bardzo dużo. Straty są kolosalne, niedające się obliczyć. — A więc: nie marnować sił moralnych!

CZY DOBRZE? P. *Kornel Makuszyński* jest osobistością zbyt znaną, aby trzeba było go przedstawiać — wiadomo więc, że ten wybitny poeta jest m. in. także humorystą, pilnie i ze szczerą wesołością czytanym przez liczne rzesze czytelników. Otóż w jednym ze swych feljetonów w „Kurjerze Warszawskim" p. Makuszyński napisał m. in. następujące słowa: „Dżdżysta noc. Deszcz siąpi, jak prelegent w radjo z beznamiętną wytrwałością. Na ulicach pusto jak na odczycie Tow. Trzeźwości..."

Tu dowcip nie udał się, bo oparty jest na nieprawdzie. Na odczyty Tow. „Trzeźwość" stale przychodzą od szeregu lat tak liczne rzesze słuchaczy, że Tow. musiało pomyśleć o wynajęciu nowego lokalu z większą salą odczytową i w tej sali zaczyna się już robić ciasno. Dowcip więc p. M. jest całkiem niedowcipny, ale pomylony, bo oparty na mylnej informacji. Dostojnej postaci p. Makuszyńskiego nie zauważyliśmy nigdy na naszych zebraniach, stąd wniosek, że błędne swe wyobrażenie o „pustkach" na odczytach Tow. „Trzeźwość" oparł na kłamliwych wiadomościach osób „trzecich" — o czem snadnie może się p. Makuszyński przekonać, albo osobiście, przychodząc z wysokiego swego Olimpu do nas, albo nawet przeglądając tylko numery „Trzeźwości"; są tu ciekawe obrazki, z których widać, że pustka na naszych odczytach, kursach, akademjach znajduje się tylko w bujnej wyobraźni znakomitego humorysty.

PAŃSTWOWA NACZELNA RADA ZDROWIA na dorocznem plenarnem posiedzeniu dnia 27.IV. 1936 r. w Ministerjum Opieki Społeczenej pod przewodnictwem p. Podsekretarza Stanu, Dr. Eugenjusza Piestrzyńskiego uchwaliła m. in. ponownie wniosek swój zeszłoroczny w sprawie reaktywowania najważniejszych przepisów ustawy przeciwalkoholowej.

Ś. † P.

MINISTER RUYS DE BEERENBROUCK

Prezes Senatu Holenderskiego,
Prezes Światowego Związku Przeciwalkoholowego
zmarł przedwcześnie w Holandji.

Międzynarodowy ruch przeciwalkoholowy poniósł stratę niezmiernie ciężką i bolesną.

Cześć pamięci wybitnego męża stanu, ogromnych zasług działacza przeciwalkoholowego!

Zarząd Główny Tow. „Trzeźwość".
Prezydjum Pol. Komitetu Org. XXI Międzynarod. Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie
Redakcja czasopism „Trzeźwość" i „Walka z Alkoholizmem".

DRUK UKOŃCZONO DN. 7.V. 1936 R.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, Sp. z o. o., Senatorska 17. Tel. 251.58